

Prof. Lech Mażewski
Konflikt bydgoski 1981

Syn „Ognia”
żąda odszkodowania

Prof. Czesław Brzoza
Stulecie konstytucji marcowej

Artur Domosławski
Wygnaniec Zygmunt Bauman

OD KŁAMSTWA DO KŁAMSTWA



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311102

KĄŻDY MA SWOJE LATO

Anita Poddębniak
Maciej Grzybowski
Nicolas Przygoda
Sandra Drzymalska

reżyseria Tomasz Jurkiewicz

w kinach od 12 marca



TVP
TELEWIZJA POLSKA



PAŃSTWOWY INSTYTUT KINEMATYKI
POLSKIE FILMY



INTEKSA

Promocja filmu
dotrainingowana z środków



PAŃSTWOWY INSTYTUT KINEMATYKI

Patronat medialny

RADIO 357

KINO

wyborcza.pl

na Temat.pl

Województwo

ROCK

LAVIE

GŁOS KULTURY

24

bookbook
KSIĘGARNIE



Dwa wirusy i koza

Po roku życia w warunkach ograniczeń, jakie każdemu z nas narzuciła pandemia, ciągle mamy nadzieję, że jeszcze kilka miesięcy i każdy, kto będzie chciał, zostanie zaszczepiony. Taki scenariusz jest bardzo prawdopodobny. Tylko co dalej? Naprawianie tego, co stało się z naszą psychiką, będzie o wiele trudniejsze od akcji szczepionkowej. Na dobrą sprawę cały świat dotknięty przez pandemię potrzebuje nowego rozdania. Bo prawie wszyscy kwalifikują się do pomocy psychologów, psychoanalityków i psychiatrów. W największym stopniu potrzebują tego najmłodsi.

Sytuacja jest ciągle bardzo groźna. Tym bardziej nie można z tą, tak powszechnie oczekiwaną, pomocą psychologiczną czekać na finał covidu. Bo przecież mogą być kolejne mutacje wirusa. I kolejne fale zachorowań. Z tymi zagrożeniami, które już znamy, i z ich konsekwencjami musimy nauczyć się żyć.

Tylko co to w praktyce znaczy? Trwała zmiana starych nawyków to jedno. A drugie to żmudny proces odbudowy psychicznej. Musimy naprawić to, co nawarstwiło się w nas przez ten rok. Nie da się tego zrobić samemu. Spróbujmy, choć bez wsparcia z zewnątrz będzie to bardzo trudne.

Potrzebujemy na wielką skalę narodowej terapii. I jak teraz słuchamy odpytanych przez media wirusologów

specjalistów od covidu, tak obok nich powinni się pojawić specjaliści od tego, co się dzieje w naszych głowach.

A dzieje się tam wiele. Niestety, nie tylko z powodu pandemii, na którą mamy ograniczony wpływ. Ale na te wirusy, które dewastują nasze państwo, i na kolejne wojny władzy z kolejnymi grupami, możemy wpływ mieć. Nawet musimy. Jeśli mamy wrócić do normalności, to nie z tymi, którzy jedynie tworzą problemy.

Władza, która od lat nieustannie atakuje, marginalizuje i obraża miliony Polaków, jest jak drugi wirus. Nie mniej dokuczliwy, bo dewastujący naszą psychikę. Niesiemy na plecach dwa ciężkie wory. Pandemię i władzę.

Skuteczne wychodzenie z opresji po pandemii będzie z takim bagażem, jakim nieustannie obarcza nas władza, bardzo trudne. A przede wszystkim mało sensowne. Bo i po co mamy dźwigać podwójny ciężar? Pozbywając się jednego balastu, szybciej wrócimy do względnej normalności.

Obecna władza jest jak koza z dowcipu o rabinie, do którego przyszedł Żyd narzekający na ciasnotę, z jaką boryka się wielodzietna rodzina w jednej izbie. Rabin poradził mu wprowadzić tam kozę. Po miesiącu zrozpaczony Żyd przyszedł ze skargą i usłyszał, by wyprowadzić kozę. Efekt? Wszyscy byli szczęśliwi.

BAKOWSKI



CYTATY

PROF. JERZY BRALCZYK, językoznawca
*Nasze myśli są takie jak nasz język.
I odwrotnie: język jest jak myśl.*
„Polska The Times”

PROF. JAROSŁAW FLIS, socjolog
*Kolejne roczniki są coraz mniej liczne,
więc wpływ młodzieży na wybory będzie
się zmniejszał.*
„Polska The Times”

POMAGAJ I WSPIERAJ PRZEGLĄD

Podczas składania zamówienia
w naszym sklepie internetowym
dodaj do koszyka produkt
DAROWIZNA
lub **DAROWIZNA CYKLICZNA**

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Historia w służbie polityki**
Instytut Propagandy Narodowej
- 12 Socjologia jako powieść**
– rozmowa z Arturem Domosławskim
- 16 Wyblakły mit naczelnika**
PiS traci inicjatywę i respekt
- 18 PiS na wodę, fotomontaż**
Rozgrywki w Wałbrzychu
- 22 Synu, wstydu oszczędź!**
Potomek „Ognia” żąda odszkodowania
- 26 Choroba, czyli rewolucja w rodzinie**
Opiekunowie na cały etat
- 30 Praca 50+? Najlepiej mieć dyplom i nie być kobietą**
– rozmowa z dr hab. Anną Ruzik-Sierdzińską

OPINIE

- 34 Lech Mażewski**
Bydgoszcz '81 – obustronna prowokacja?
- 37 Czesław Skowronek**
Gospodarka morska w zaniku

HISTORIA

- 38 Sto lat temu przyjęliśmy konstytucję marcową**
– rozmowa z prof. Czesławem Brzozą

ZAGRANICA

- 42 #Royalwashing,**
czyli pranie wizerunku arystokracji
Wywiad, który namieszał w mediach
- 44 Sztuka oddawania**
Holendrzy zwrócą dzieła sztuki
- 46 Pocztówki z nie całkiem wolnych krajów**
Reklamy a rzeczywistość

KULTURA

- 48 Specjaliści od mocnych dokumentów**
– rozmowa z Arturem Liebhartem
- 51 Kulturalia**
- 52 Wyspa Żoliborz**
Dzielnica inna niż wszystkie
- 66 Władysław Hasior**

PSYCHOLOGIA

- 55 Wszyscy kłamią**
10 faktów o kłamstwie

OBSERWACJE

- 58 Bielszy odcień bieli**
Co trzeba wiedzieć o śniegu

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Dwa wirusy i koza
- 21 Jan Widacki**
Gwiazdy, eksperci, uczeni
- 25 Andrzej Romanowski**
Na kłopoty – Markiewicz
- 29 Roman Kurkiewicz**
PiS chwalić i zarazem *****
- 33 Tomasz Jastrun**
Osobliwość



16

KRAJ

WYBLAKŁY MIT NACZELNIKA

PiS traci inicjatywę i respekt

46

ZAGRANICA

POCZTÓWKI
Z NIE CAŁKIEM
WOLNYCH
KRAJÓW
Reklamy
a rzeczywistość



48

KULTURA

SPECJALIŚCI OD MOCNYCH DOKUMENTÓW

– rozmowa
z Arturem Liebhartem

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI





f To miały być dwa tygodnie

W czasie pandemii zaskoczyło mnie to, że okazaliśmy się małą, bezradną częścią przyrody. Przygnębiło – że tak długo to trwa, a skutki (społeczne, gospodarcze, zdrowotne) będziemy odczuwać jeszcze dłużej. Zbulwersowało zaś, że tak wielu ludzi chce na pandemii skorzystać – finansowo i politycznie, aż się nie chce przypominać nazwisk i afer.

Barbara Krzemińska-Sobczyk

✉ Zdalna nauka jak więzienna izolatka

Nieco inaczej podchodzę do nauczania zdalnego: staram się pokazać uczniom, że ponieważ nie mamy wyboru, musimy z tego skorzystać i mieć jakąś wartość dodaną. Nauczyłam uczniów pisać rozprawki. Dzwaniłam się z każdym z nich przez kamerkę i czytają swoje prace, ja mam zdjęcia ich prac na ekranie komputera. Mówię, gdzie jest błąd, a oni poprawiają. To jest cudowne, gdy mówią: „Przepraszam, nie mogę się rozczuć”. Mam dzięki temu szansę na indywidualny kontakt z uczniem, żaden z nich mi nie zniknął, mają wiele ocen.

To, że są zamknięci w domach, to już wina ich rodziców. Cała ta sytuacja pokazała wręcz patologie relacji rodzinnych: przemakający rodzice, często żyjący w zupełnie innych światach. Tak widzę problem nauczania zdalnego. Oczywiście wielu nauczycieli źle uczy zdalnie, ale to problem ich dyrektorów. Jeśli chodzi o informatykę online, nigdy tak dużo się nie nauczyłam jak teraz.

Polonistka z liceum w Warszawie



Ten typ nauki nie służy dobrze młodzieży. Brak kontaktu z rówieśnikami powoduje duże problemy psychologiczne. Nauka stacjonarna pomagała w kontaktach i z pewnością wpływała na lepszą jakość edukacji. Zdalne nauczanie uczy kombinatorstwa, poza tym uczniowie zatracają umiejętność uczenia się.

Robert

Zastanawia mnie niespójność w poglądach na tę sytuację. Wśród nauczycieli klas 0-3 i przedszkoli (w tym mnie) jest strach, że pracujemy praktycznie od początku pandemii na żywo i rząd ma w poważaniu nasze zdrowie. Jeśli zaś chodzi o nauczanie zdalne w starszych klasach, mówi się, że to wyrządzanie krzywdy uczniom. Czego więc w końcu chcemy? Bo tu się pojawia konflikt interesów. Nauczyciele, rodzice i uczniowie dzielą się, zamiast jednoczyć, i to tylko sytuację pogarsza, nawet gdyby chciano jakkolwiek zaprotestować. Nie pomaga również ciągła wojna o szczepienia. Warto byłoby ustalić coś wspólnie, a nie ciągłe wojować.

Dorota

f Skąd się wzięli komuniści

Falszowanie historii przez prawicę wynika m.in. ze strachu przed prawdą. To lewica łączyła hasła wyzwolenia narodowego ze społecznym, idea niepodległości lansowana przez prawicę ignorowała interesy zdecydowanej większości Polaków i innych mieszkańców naszych ziem. W końcu to nie lewica była sprawcą targowicy. Dlaczego Tadeusz Kościuszko był lewicowcem i antyklerykałem? Kto zniósł pańszczyznę na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego?

Eugeniusz Sawicki



ZDJĘCIE TYGODNIA



Gwałtownie przybyło zachorowań na COVID-19. Najwięcej przypadków jest na Warmii i Mazurach, Pomorzu i Mazowszu. Wprowadzono tam ścisły lockdown. Np. ośrodek kultury w Grodzisku Mazowieckim, gdzie burmistrz wprowadził obostrzenia jeszcze przed ogłoszeniem ich przez rząd. 11 marca 2021 r.

Izba Gospodarki Elektronicznej szacuje, że **w 2020 r. Polacy wydali w internecie ok. 100 mld zł.**

Z 46 do 429 wzrośnie liczba miejsc biwakowych, które Lasy Państwowe udostępnią amatorom survivalu i odpoczynku w lasach.

Grzegorz Benedyckiński, burmistrz Grodziska Mazowieckiego, podjął decyzję o lokalnym lockdownie, po tym jak miasto pod względem zachorowań znalazło się na drugim miejscu w kraju.

Najwyższa wykrywalność przestępstw kryminalnych jest w Lublinie (75,9%) i w Białymstoku (73,2%). Najgorsze wyniki ma Warszawa (46%).

2,5 mld zł wart jest kontrakt zawarty przez bydgoską Pesę z Českimi Dráhami na dostawę 160 spalinowych zespołów trakcyjnych nowej generacji.

Polski miód należy do najlepszych na świecie. Pod względem produkcji jesteśmy na czwartym miejscu w Unii, po Hiszpanii, Rumunii i Węgrzech.

Najpopularniejszymi imionami dziewczynek urodzonych w 2020 r. były: Zuzanna, Julia, Zofia, Hanna, Maja, Lena, Alicja i Oliwia. A chłopców: Antoni, Jan, Aleksander, Jakub, Franciszek, Szymon i Filip
(portal Dane.gov.pl).

Adam Niedzielski, minister zdrowia, i Filip Nowak, szef Narodowego Funduszu Zdrowia, zalecili szpitalom ograniczenie do minimum lub całkowite zawieszenie planowego leczenia, przede wszystkim operacji wiążących się z intensywną terapią.

Z najnowszego światowego rankingu Indeks Postrzegania Korupcji w sektorze publicznym za 2020 r. wynika, że Polska spadła z 36. na 45. miejsce. Czołówką to Dania, Nowa Zelandia, Finlandia, Singapur i Szwecja. Przed Polską są Łotwa, Litwa i Gruzja.

Edward Siarka, wiceminister klimatu i środowiska, oraz Andrzej Konieczny, dyrektor generalny Lasów Państwowych, podpisali aneks umożliwiający wycinkę w Puszczy Białowieskiej.

39,2 mld zł wydali Polacy na alkohol w 2020 r. (raport firmy Nielsen). Wydatki wzrosły o 7% w porównaniu z rokiem poprzednim. A największy wzrost odnotowano w sprzedaży whisky.

Statystyczny Polak wpatruje się w ekrany komputera, telewizora, tabletu czy smartfona przez 10 godzin i 26 minut dziennie. Czyli łącznie spędzamy w ten sposób 159 dni w roku.

O ponad 80% spadły przewozy lotnicze w 2020 r.

Polki i Polacy coraz później zawierają małżeństwa. Według GUS średnia wieku nowożeńców w ciągu ostatnich 30 lat wzrosła dla kobiet z 22 do prawie 28 lat, a dla mężczyzn z 25 do 30 lat.

PRZEBŁYSKI

Postanka z „Ogniem” pod rękę

„Podczas dzisiejszych uroczystości z okazji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych w moim imieniu w Chełmie kwiaty



złożył Dyrektor Mojego Biura Jędrzej Halerz”(pisownia oryginalna). Któż tak świętował dzień „Ognia”, „Burego”, „Łupaszki” i setek morderców cywilów, kobiet i dzieci? Posłanka Monika Pawłowska, wiceprzewodnicząca Klubu Parlamentarnego Lewica. By-

ła związana z SLD, a później z Wiosną, gdzie była koordynatorką w województwie lubelskim.

Pawłowska, jak na lewicę przystało, kontynuuje tradycję posłów tej formacji, którzy prawie w komplecie głosowali za uchwaleniem dnia „żołnierzy wyklętych”. A przecież mogłaby trochę się rozejrzeć. W jej województwie niejedna rodzina padła ofiarą tych, którzy czekali na III wojnę światową. Choć w czasach ministra Czarnka i wojewody Sprawki wolą o tym milczeć. Zwłaszcza gdy słyszą, jak posłanka z KP Lewica Pawłowska gorąco dziękuje wojewodzie Sprawce za zaproszenie na obchody historii w wersji IPN. Tego się nawet nie chce komentować.

Życie Syguta po TVP Info

Kontakt z tą firmą miały miliony Polaków. Spółka Miejskie Zakłady Autobusowe w Warszawie to potęga. Ponad 1,4 tys. autobusów śmiga całą dobę. Bo 500 mln pasażerów to nie przelewki. By zapanować nad takim mo-
lochem, trzeba tęgich głów. No właśnie. Co więc w zarządzie MZA robi Tomasz Sygut? Figurant, który za PO-PSL był dyrektorem TVP Info. Sygut to przeciwiwielstwo Obajtka. Dziennikarze przychodzący do niego z problemami słyszeli:



„A co ja mogę?”. Ale politycy, którzy stadami go odwiedzali, załatwiali swoje propagandowe interesiki. Sygutowi zaowocowało to później posadą członka zarządu MZA.

20 tys. zł plus premie dla człowieka bez pojęcia to bardzo hojne wiano PO. Do pensji Syguta dokładamy się, kupując bilety. Tylko po co?



Prezenter Kraško

Kto by pomyślał, że „Tele Tydzień”, tygodnik wydawany w Polsce przez Bauera, cieszy się tak wielkim prestiżem w amerykańskiej TVN. Nie tyle nawet ten magazyn, ile Telekamery, nagrody, które przyzna-

je. W tym roku dostali je m.in. pracownicy TVN. Piotr Kraśko w kategorii prezenter informacji oraz Bartek Jędrzejak jako prezenter pogody. Kraśko faktycznie prezentuje się godnie. Mógłby z marszu wcielić się w bankiera w amerykańskim serialu.

Bohaterów Telekamer fetowano w TVN jak noblistów. Gratulacjom i radości nie było końca. Tak bywa, gdy innych nagród brak, a *ego* jest wielkie jak stodoła.



PYTANIE TYGODNIA

Czy zmiana przepisów ochroni pieszych na pasach?

WOJCIECH PASIECZNY,

*Fundacja Zapobieganie
Wypadkom Drogowym*

Będzie bezpieczniej, pod jednym warunkiem: zostanie zorganizowana kampania informacyjna, która wyjaśni wszystkim uczestnikom ruchu, o co dokładnie chodzi w nowym przepisie i jakie wiąże się z nim zagrożenia. Choć będzie obowiązywał od 1 czerwca, nie widzę takich kampanii, tymczasem gdy inne państwa decydowały się na analogiczne zmiany, zaczynały od edukacji społeczeństwa, trwającej nawet dwa lata. Co gorsza, w mediach pojawiają się błędne interpretacje nowego przepisu, np. mówiące, że piesi będą mieli pierwszeństwo, już zbliżając się do przejścia (w rzeczywistości z chwilą wejścia na nie). Nie jest też prawdą, że to pierwszeństwo będzie bezwzględne: pieszy nadal będzie miał obowiązek ocenić prędkość i odległość samochodów, by upewnić się, że może bezpiecznie wkroczyć na jezdnię. Skąd, jeśli nie z telewizji i gazet, mają dowiedzieć

się tego zwykli ludzie, którzy przecież nie zajądą do ustawy?

STANISŁAW BIEGA,

Centrum Zrównoważonego Transportu

Dzięki ustawie, którą właśnie podpisał prezydent, polskie prawo wreszcie jest zgodne z konwencją wiedeńską o ruchu drogowym, ratyfikowaną przez nasz kraj w 1988 r. Należy się z tego cieszyć – i żałować, że uchwalenie regulacji chroniących osoby przechodzące przez jezdnię zajęło tyle czasu. Choć jeszcze nie obowiązują, już zaczynają przynosić wymierne efekty, bo kierowcy coraz częściej zatrzymują się przed przejściami dla pieszych, co wcześniej było prawdziwą rzadkością. Oczywiście można się zastanawiać, czy w pierwszym etapie obowiązywania nowych zasad nie zanotujemy większej liczby wypadków, ale nie mam wątpliwości, że długofalowo będzie bezpieczniej. Praktycznie we wszystkich krajach, które zgodnie z konwencją wprowadziły przepisy chroniące pieszych, liczba ofiar śmier-

telnych w tej grupie znacząco spadła mimo wzrostu intensywności ruchu samochodowego.

KRZYSZTOF LIPKA,

ruch społeczny Pieszy Lublin

Nowe zasady wprowadzono głównie po to, by kierowcy zaczęli zwracać uwagę na przejścia i na samych pieszych. Wbrew niektórym opiniom piesi nie przestaną dbać o własne bezpieczeństwo tylko dlatego, że zmienił się fragment ustawy. Za to dzięki nowym przepisom kierowcy nie będą już mieć wątpliwości, kto i kiedy ma pierwszeństwo. Będą musieli zwalniać przed przejściami i zawsze w tych miejscach ustępować pieszym. Do tej pory bywało z tym różnie, m.in. ze względu na nieprecyzyjne przepisy. Jeśli piesi będą się zachowywać tak jak do tej pory, to ich bezpieczeństwo się nie pogorszy, ale jeżeli kierowcy nie zmienią swoich przyzwyczajeń, to będą przez policję karani mandatami, będą tracić prawo jazdy, a w najgorszym wypadku będą zabierać innym życie.

Not. Michał Sobczyk

Historia w służbie polityki

Instytut Propagandy Narodowej

Bohdan Piętko

Instytutem Pamięci Narodowej wstrząsnęła tzw. afera Greniucha. Chodzi o byłego już p.o. dyrektora oddziału we Wrocławiu, wcześniej delegatury w Opolu, a zarazem byłego aktywistę ONR, który, działając w tej organizacji, wykonywał tzw. salut rzymski, czyli gest od 1933 r. kojarzony nie ze starożytnym Rzymem, ale z Adolfem Hitlerem i nazizmem. W czerwcu 2005 r. Greniuch współorganizował w Myślenicach manifestację ONR dla uczczenia najgłośniejszego incydentu antysemickiego w II RP – tzw. marszu na Myślenice lub wyprawy myślenickiej Adama Doboszyńskiego z 22 czerwca 1936 r. Podczas tej akcji zorganizowane przez nacjonalistycznego polityka bojówki rozbroiły posterunek policji w Myślenicach, wychłostały starostę za rzekome faworyzowanie kupców żydowskich, zdemolowały synagogę oraz sklepy żydowskie i podpaliły na rynku wyniesione z nich towary.

„»Zarzuty kierowane przeciwko dr. Tomaszowi Greniuchowi dotyczą jego zachowań z czasów młodości. Wielokrotnie w ciągu ostatniej dekady przyznał, że były one błędem i przeprosił za nie«, czytamy w oświadczeniu szefostwa IPN. Jego lakoniczna treść znakomicie wyjaśnia, dlaczego Instytut Pamięci Narodowej po pięciu latach rządów obecnego prezesa Jarosława Szarka i towarzyszących mu wiceprezesów przypomina dymiące zgłiszcz. Równoległe ze zniszczeniem prawie wszystkiego, co zastano, nastąpiła dewastacja polskiej polityki historycznej, czego skutkiem ubocznym jest międzynarodowy wizerunek III RP. (...) dziś o wiele łatwiej wmawiać opinii publicznej na całym świecie, że to przedwojenna Polska była sojusznikiem III Rzeszy, razem z Hitlerem wzniciła II wojnę światową, a Polacy współorganizowali Holocaust», podsumował aferę Greniucha red. Andrzej Krajewski w „Dzienniku”.



Tomasz Greniuch (drugi z lewej) prezentuje tzw. salut rzymski. Marsz z okazji 73. rocznicy powstania ONR. Kraków, 14 kwietnia 2007 r.

Katastrofalny wizerunkowo charakter tej afery pogłębia fakt, że IPN eksponuje polskie zasługi dla ratowania Żydów podczas II wojny światowej i zwalcza określenie „polskie obozy zagłady” w zagranicznych mediach, a jednocześnie karierę w jego strukturach zrobił człowiek, który kiedyś lubił sobie pohajlować i afirmował antysemicką ideologię przedwojennej ONR. W IPN jest resztą więcej historyków z podobnymi fascynacjami i przeszłością. Są apologety Brygady Świętokrzyskiej NSZ, nacjonalistycznego nurtu powojennego podziemia zbrojnego, gen. Franco i Błękitnej Dywizji, Janusza Walusia, a nawet belgijskiego SS-Standartenführera Léona Degrelle’a. Przemysław Witkowski w OKO.press już dwa lata temu zwrócił uwagę, że „tego typu historyków jak Greniuch, Bechta czy Muszyński pracuje w IPN dużo więcej”.

Czarno-biała wizja historii

Nie ma w tym jednak nic dziwnego, albowiem IPN od lat realizuje państwową politykę historyczną, której fundamentem pod rządami

Zjednoczonej Prawicy (a nawet wcześniej) stał się skrajny antykomunizm. Prof. Bronisław Łagowski stwierdził w PRZEGLĄDZIE, że IPN to „główna instytucja przemocy symbolicznej”, utworzona wspólnie przez PO i PiS. Ta przemoc symboliczna polega właśnie na lustracji i dekomunizacji. Można nawet zaryzykować pogląd, że celem postsolidarnościowej polityki historycznej jest delegalizacja PRL w świadomości narodowej. Zadania tego nie mogli się podjąć historycy akademicki, traktujący historię jako naukę. Dlatego powierzono je historykom politycznie zaangażowanym po stronie prawicy, a nawet skrajnej prawicy. Pod tym względem poglądy wyrażane w przeszłości przez Tomasza Greniucha nie były sprzeczne z zasadniczą linią prawicowej polityki historycznej, którą realizuje IPN.

Do dzisiaj można znaleźć w internecie artykuł opublikowany przez Greniucha 25 czerwca 2013 r. w „Niezależnej Gazecie Obywatelskiej”, w którym pisał: „Między nami, rocznikami roku 80 i wyżej, a wami, typowymi rocznikami PRL, istnieje pojęciowa i moralna pustka, przepaść niezrozumienia. (...)”

Przejmujemy spuściznę ludzi, którzy z wami walczyli i będziemy kontynuować tę walkę, z tym, że oni, żołnierze przez was wyklęci, mają następców, wy ich nie macie, przeminiecie bez echa” (pisownia oryginalna). Mamy tutaj wyłożoną całą ideologię skrajnie prawicowego antykomunizmu – wykreślenia z historii PRL razem z żyjącymi w niej pokoleniami. Pojawienie się Greniucha w IPN nie było zatem wypadkiem przy pracy, ale wpisywało się w ideologiczno-polityczne oblicze tej instytucji, zwłaszcza po 2016 r., czyli za kadencji prezesa Jarosława Szarka.

IPN powstał na mocy ustawy z 18 grudnia 1998 r., uchwalonej przez rządzącą wówczas koalicję AWS-UW, czyli późniejsze PO i PiS. Do jego ustawowych zadań należy gromadzenie dokumentów organów bezpieczeństwa państwa sporządzonych od 22 lipca 1944 r. do 31 lipca 1990 r. i zarządzanie nimi, ściganie zbrodni nazistowskich i komunistycznych, prowadzenie działalności edukacyjnej, poszukiwanie miejsc pochówku osób poległych oraz wydawanie opinii w zakresie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego przez nazwy budowli, obiektów i urządzeń użyteczności publicznej (to ostatnie dodano po uchwaleniu w 2016 r. tzw. ustawy dekomunizacyjnej).

Podczas kadencji pierwszego prezesa, którym był Leon Kieres (2000-2005), IPN stał się obiektem ataku ze strony prawicy w związku ze śledztwem w sprawie zbrodni w Jedwabnem i wydaną w 2002 r. dwutomową publikacją „Wokół Jedwabnego” pod redakcją Pawła Machcewicza i Krzysztofa Persaka. Co prawda, IPN krytycznie zweryfikował niektóre twierdzenia Jana T. Grossa na temat okoliczności wydarzeń w Jedwabnem 10 lipca 1941 r., ale potwierdził udział Polaków w tej zbrodni. To było nie do przyjęcia dla prawicy. Pojawiły się wtedy z jej strony zarzuty o antypolonizm ówczesnego kierownictwa IPN i postulaty odzyskania tej instytucji dla „prawdziwie polskiej” opcji. Nastąpiło to po objęciu przez PiS po raz pierwszy władzy w 2005 r. Nowym prezesem IPN pod koniec roku został Janusz Kurtyka. Za jego kadencji (2005-2010) IPN zaczął realizować politykę historyczną PiS, a konkretnie wizję tej polityki według Jarosława

i Lecha Kaczyńskich. Wówczas zapoczątkowano tendencyjny kult „żołnierzy wyklętych” i przyjęto skrajnie antykomunistyczną retorykę.

Dogmatyzm i skrajność

Nasilenie tego zjawiska nastąpiło jednak dopiero po ponownym objęciu władzy przez PiS, a szerzej Zjednoczoną Prawicę, w 2015 r. Za kadencji powołanego przez koalicję PO-PSL prezesa Łukasza Kamińskiego

Instytut Pamięci Narodowej po pięciu latach rządów obecnego prezesa Jarosława Szarka przypomina dymiące zgłiszcz.

(2011-2016) również eksponowano „żołnierzy wyklętych”, ale opisywano też ich zbrodnie. Obecnie na taką zrównoważoną narrację historyczną nie ma już miejsca. Na mocy ustawy uchwalonej przez PiS skrócono kadencję Kamińskiego i 22 lipca 2016 r. na nowego prezesa prawicowa większość sejmowa wybrała Jarosława Szarka. Od tego momentu historia



W 2016 r. faworytem w wyścigu o fotel prezesa IPN był Sławomir Cenckiewicz (z prawej). Kaczyński wskazał jednak Jarosława Szarka.

w wydaniu IPN została całkowicie wprzęgnięta w służbę dogmatycznej polityki historycznej.

Kreatorzy tej polityki – jak Ryszard Terlecki czy Jan Żaryn – uzyskali znaczący wpływ na funkcjonowanie IPN. Odejść musieli natomiast naukowcy, którzy nie zgadzali się na nową linię Instytutu lub nie dawali gwarancji jej realizacji: Antoni Dudek, Andrzej Friszke, Andrzej Paczkowski (wszyscy

trzej byli członkami Rady IPN, zlikwidowanej przez PiS w 2016 r.) czy Krzysztof Persak.

Dogmatyzm i skrajność polityki historycznej realizowanej przez IPN polegają najogólniej na tym, że z okresu 1944-1989 zrobiono czarną dziurę zamkniętą klamrą z napisami „totalitaryzm” i „okupacja sowiecka”. Nie ma powojennej odbudowy i industrializacji kraju, nie ma wielkiego dzieła politycznego i ekonomicznego scalenia z Polską Ziemią Odzyskaną

(ta nazwa jest zresztą bezmyślnie wyszydzana jako „określenie propagandowe”), nie ma polskiego Października ’56 i będącej jego następstwem ewolucji ustrojowo-politycznej PRL od autorytaryzmu i ograniczonej suwerenności do demokracji i pełnej suwerenności w 1989 r. Nie ma powojennych reform społecznych ani związanego z nimi awansu cywilizacyjnego i edukacyjnego szerokich rzesz narodu. Nie ma wieloletniej i skomplikowanej historii 45-lecia po 1945 r. Jest wyłącznie terror UB i SB oraz upiorna PZPR – „partia władzy, pieniędzy i bezwstydu”, jak czytamy w ostatnim „Biuletynie IPN”.

Do tego wszystkiego dodano mitologię powojennego podziemia antykomunistycznego. Przy czym kult tego podziemia został zręcznie zmanipulowany. Do worka z napisem „żołnierze wyklęci” wrzucono zarówno ofiary stalinizmu, w tym wybitne postacie sprzeciwiające się powojennej walce zbrojnej (np. Augusta Emila Fieldorfa), jak i poakowskie Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość oraz podziemie nacjonalistyczne (NSZ, NZW). Zrobiono to, by na kościach tych pierwszych przepchnąć kult tych ostatnich – przez wiele lat ocenianych krytycznie w środowiskach niekomunistycznych, także na emigracji. Tak się dziwnie składa, że w kulcie „wyklętych” najbardziej eksponuje się kolaborującą z Niemcami Brygadę Świętokrzyską NSZ i różne kontrowersyjne osoby związane przeważnie z podziemiem nacjonalistycznym.

► IPN zaprzecza sam sobie, heroizując np. Romualda Rajsa „Burego”, który w 2005 r. został uznany przez Oddziałową Komisję Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Białymstoku za winnego zbrodni przeciwko ludzkości. Pion śledczy IPN stwierdził, że działalności Rajsa „nie można utożsamiać z walką o niepodległy byt państwa, gdyż nosi znamiona ludobójstwa”. Jednakże w lutym 2019 r. dwaj historycy z IPN wydali komunikat podważający stanowisko pionu śledczego. Dopiero po fali krytyki w mediach i napięciach dyplomatycznych na linii Polska-Białoruś pion śledczy IPN oświadczył, że komunikat ten nie był z nim konsultowany i nie może zmienić ustaleń śledztwa z 2005 r.

Kult najbardziej skrajnych nurtów i kontrowersyjnych postaci powojennego podziemia zbrojnego Instytut wzbogacił teorią o „powstaniu antykomunistycznym”, które miało trwać od 1944 do 1953 r. (a nawet do 1963 r.) i w którym rzekomo uczestniczyło co najmniej 180 tys. osób. Absurdalność i ahistoryczność konstrukcji „powstania antykomunistycznego” polega na tym, że powojenna partyzantka była ruchem amorficznym, bez centralnego kierownictwa i programu, bez oficjalnego poparcia ze strony legalnej opozycji (PSL) oraz nieuznawanego już wtedy przez aliantów rządu polskiego w Londynie. Kierowali tym ruchem niezależnie od siebie niżsi rangą oficerowie, którzy czekali na III wojnę światową.



Mariusz Bechta wydał książkę Léona Degrelle’a, belgijskiego kolaboranta i pułkownika SS. W 2016 r. został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi za upowszechnianie wiedzy o najnowszej historii Polski.

Szarka przybrała ona postać działań nie tylko wymazujących z przestrzeni publicznej ślady PRL i polskiej lewicy różnych nurtów. Posunięto się dalej – uderzono w ludzi, którzy do powstańczej Polski mieli stosunek krytyczny, ale podjęli pracę dla niej w imię realizmu politycznego i zachowania ciągłości życia narodowego.

Przecież na podstawie opinii IPN nie zmienia się nazw ulic Jakuba Bermana, Romana Zambrowskiego, Józefa Różańskiego, Adama Humera czy Julii Brystygierowej, bo ich nie ma i nigdy nie było. Zmienia się natomiast patronów, którzy wiele dali narodowi polskiemu w niełatwych czasach powojennych – Wilhelma Szewczyka, Jerzego Ziętka, Gustawa

na skrajne upolitycznienie i zideologizowanie tej instytucji, będącej emanacją poglądów wąskiej grupy radykalnie prawicowych osób z zaplecza prezesa PiS. Ludzi traktujących politykę historyczną jako narzędzie walki politycznej, nie tylko z lewicą, ale z każdym, kto nie akceptuje jednostronnego dyskursu o przeszłości i teraźniejszości.

IPN łączy w sobie dwie instytucje o zupełnie odmiennym charakterze: pion śledczy (prokuraturę) i placówkę historyczną (archiwalno-edukacyjno-badawczą) – na co zwrócił uwagę prof. Andrzej Romanowski. Prokurator zmierza przecież

do osądzenia podejrzanego i nie szuka okoliczności łagodzących (to jest zadanie adwokata). Natomiast historyk nie może rozstrzygać kwestii winy i kary, powinna go interesować jedynie analiza procesu dziejowego oparta na standardach naukowej krytyki źródła historycznego. Taka specyfika tej instytucji i nałożone na nią ustawowe zadania doprowadziły do tego, że historycy IPN stali się inkwizytorami, osądzającymi życiorysy osób, które następnie wyrzucają z pamięci zbiorowej lub stawiają na piedestale wedle kryteriów politycznych.

Prof. Adam Leszczyński z kolei stwierdził, że prezes Jarosław Szarek „prawie nie ma dorobku naukowego. Napisał za to wiele książeczek dla dzieci, w których uczy bogoojczyźnianie historii Polski – zawsze heroicznej, zawsze cierpiącej, zawsze katolickiej i szlacheckiej,

bez mniejszości narodowych i chłopów”. Do tego należy dodać liczne wpadki prezesa i Instytutu. Największą była nowelizacja ustawy o IPN w styczniu 2018 r., która wywołała międzynarodowy konflikt z Izraelem i diasporą żydowską, zażegnany wycofaniem się obozu władzy z tej inicjatywy. Była to bowiem kompromitacja na szczeblu wyższym – rządu i jego zaplecza politycznego.

Prezes Szarek wielokrotnie mijał się z podstawowymi faktami historycznymi lub wypowiadał skrajnie polityczne tezy. Powiedział np., że „armia Rzeczypospolitej (*sic!*)

**W 2015 r. budżet IPN wynosił ok. 249 mln zł. W 2020 r. – 405,1 mln zł.
Budżet PAN na ten rok wynosił 90,9 mln zł.**

Przy okazji tegorocznego święta „żołnierzy wyklętych” 1 marca usłyszałem w publicznym radiu wypowiedź pracownika IPN, który ubolewał, że trud jego instytucji w budowaniu legendy „wyklętych” nie jest wspierany publikacjami naukowymi przez historyków akademickich. Może dlatego, że historycy akademicki zachowali jeszcze resztki powagi?

Dekomunizacja – depolonizacja

Kolejnym filarem polityki historycznej realizowanej przez IPN jest tzw. dekomunizacja. Za kadencji prezesa

Morcinka czy Stanisława Kulczyńskiego. Jest to więc działanie godzące w polską pamięć historyczną i kulturę narodową. Zwracają na to uwagę nawet ludzie prawicy, jak chociażby prof. Andrzej Zapałowski. Na początku lutego br. poinformował on, że na podstawie opinii rzeszowskiego IPN usuwane są na Podkarpaciu upamiętnienia polskich żołnierzy i milicjantów poległych w walce z UPA, i prawidłowo nazwał taką „dekomunizację” depolonizacją.

Obecne kierownictwo IPN i jego polityka są poddawane krytyce z wielu stron. Krytycy zwracają uwagę

Socjologia jako powieść

Wygnanie jest kluczowym doświadczeniem życia Baumana, jak i chyba kluczem interpretacyjnym do jego twórczości



ARTUR DOMOSŁAWSKI

– autor „Wygnańca. 21 scen z życia Zygmunta Baumana”

Rozmawia Roman Kurkiewicz

Kiedy znalazłeś tytuł „Wygnańca”? Podejmując decyzję o pisaniu, podpisując umowę, stawiając ostatnią kropkę?

– Tytuły wszystkich moich książek pojawiają się na początku. Tak się złożyło. Możliwe, że wymyślony tytuł porusza jakąś strunę, być może muszę to wiedzieć zawczasu. To dla mnie samego tajemnica. Tytuł „Wygnańca” był chyba, zanim podjąłem w ogóle decyzję o pisaniu – na zasadzie: gdybym pisał, to taki właśnie byłby tytuł.

Bauman pojawił się na moim horyzoncie, kiedy zacząłem się interesować ruchem alterglobalistycznym. To był przełom lat 90. XX w. i pierwszych lat XXI w. Najpierw

Nie chciał stawać na z góry wyznaczonym inkwizytorsko-ipeenowskim polu?

– Tak. Zaczyn tamtej książki-rozmowy powstał mejlowo, w drugim etapie mieliśmy rozmawiać na żywo, w Leeds. Poznałem spory kawał jego życia, udostępnił mi swoje niepublikowane wspomnienia, które spisywał dla córek. Ale nie dokończyliśmy. Zdobyta wiedza nie poszła na marne, dojrzewała. Zdecydowałem się, że chcę opowiedzieć o nim, kiedy w 2018 r. zniszczono mural z jego podobizną przy Dworcu Gdańskim. Dotarło do mnie, że jego książki są wprawdzie obecne, ale to, co opowiadał o świecie, jest słabo słyszalne. I że stała mu się tu jakaś ogromna krzywda, na której zresztą myśmy stracili więcej niż on... Polska ponownie go wygnała.

Wygnańcem Bauman był zarówno fizycznie, kilkakrotnie wypędzany go z miejsc, w których żył, jak i wewnętrznie – nie chciał przynależeć do żadnej siły, koterii.

przeczytałem „Globalizację”, która bardzo współgrała z tym, co słyszałem w brazylijskim Porto Alegre. Tam Bauman jeszcze nie był znany, guru byli Noam Chomsky, Naomi Klein. Poznaliśmy się mejlowo, on do mnie napisał. Osobiście spotkaliśmy się w 2006 r., kiedy jedno z wydawnictw zaproponowało, żebyśmy zrobili wywiad rzekę o jego życiu. Bauman z entuzjazmem się zgodził, ale potem zapał do tego pomysłu mu przeszedł. Chorowała jego żona Janina. Był to też moment, kiedy ostro atakowano go w Polsce. Może stracił chęć do opowieści o swoim życiu w sytuacji, która mogła wyglądać jak tłumaczenie się?

Wiedziałem więc od początku, że tytułem będzie „Wygnańca”. A wygnańcem Bauman był zarówno fizycznie, bo kilkakrotnie wypędzany go z miejsc, w których żył, jak i wewnętrznie – był człowiekiem, który nie chciał przynależeć do żadnej siły, koterii, kimś, kto nie pasował. Są takie rozważania na ten temat w „Płynnej nowoczesności” – o tym, co to znaczy być wygnańcem, i o tym, że wygnaniec ma szczególną pozycję wobec wspólnoty, czy to własnej – jeśli jest wygnańcem wewnętrznym – czy wobec nowej, do której przybywa.

Na ile słowo wygnaniec opisuje nie tylko, jak żył, ale i czego dokonał?

– Opisuje go w każdym z trzech społeczeństw, w których mieszkał – w Polsce, Izraelu i Wielkiej Brytanii. W żadnym z tych krajów nie pasował do tego, co się nazywa głównym nurtem, do czegoś, co jeden z jego ulubionych myślicieli, Antonio Gramsci, definiował jako hegemonię dyskursu. W Polsce po roku ’89, kiedy słowa socjalizm i sprawiedliwe społeczeństwo właściwie wypędzono.

W ogóle lewicowość...

– Lewicowość była i jest przepędzonym duchem. Nie chciano słuchać, gdy Bauman mówił krytycznie o modelu transformacji, który znał z Wielkiej

Brytanii Margaret Thatcher, czyli kierunku zmian, w którym rola państwa jest coraz mniejsza, a o wszystkim ma decydować rynek. W dyskursie, który narodził się w Wielkiej Brytanii i USA w latach 80., a który przejęliśmy w Polsce po ’89 r., surowy pracodawca, nawet wyzyskiwacz, stawał się „człowiekiem rzutkim i przedsiębiorczym”, a człowiek przeegrany, wymagający wsparcia „le-niem” i „nieudacznikiem”. Bauman krytykę kapitalizmu prowadzi zazwyczaj w języku sporów cywilizacyjnych. Rzadziej formułuje ją w kategoriach społeczno-ekonomicznych, ale potrafi powołać się i na Marksa, i na Różę Luksemburg. Częściej

mówi o kulturze ponowoczesności, w której nie ma horyzontu utopii lepszego społeczeństwa, w której godzimy się z niedoskonałościami świata: świat jest, jaki jest, lepszego nie będzie; każdy sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Ale on oczywiście nie zgadza się z takim światem, uważa, że stać nas na więcej.

Wcześniej wewnętrznym wygnańcem był również w Izraelu przełomu lat 60. i 70, kiedy triumfy święcił nacjonalizm. A ponieważ był już wielokrotną ofiarą polskiego nacjonalizmu – i tego z lat 30., i gomułkowsko-mościzarowskiego – to w nacjonalistycznej aurze nowej ojczyzny nie czuł się na swoim miejscu. W czasie krótkiego, trzyletniego pobytu tamże angażował się w ruchy nowolewicowe, a potem wyjechał. Jego późniejsze książki ukazują się w Izraelu z oporami. „Nowoczesność i Zagłada” z 1989 r. wychodzi tam chyba dopiero w 2013 r.

Trzeci kraj wewnętrznego wygnania to Wielka Brytania. Jest tam wprawdzie uznanym socjologiem, ale znajduje się poza głównym nurtem dyskusji politycznych. W kraju Thatcher i później Tony’ego Blaira, gdy lewica przejmując dyskurs neoliberalny, Bauman jest zbyt lewicowy, by mieć wpływ. Nie do końca też mieści się w kulturze brytyjskiej akademii. Kultura uniwersytecka Wielkiej Brytanii nie lubi wielkich narracji, nie lubi filozofii kontynentalnej, teorii, jest pragmatyczna i pozytywistyczna. Bauman zatem właściwie w każdym miejscu jest swego rodzaju wygnańcem.

Także wygnańcem ze swojej dziedziny nauki. Wielu tzw. poważnych socjologów nie uważa go za naukowca, gdyż prowadzi on refleksję interdyscyplinarną, przekracza granice dyscyplin, opisuje całość doświadczenia człowieka, nie dzieli go na osobne aspekty dla psychologii, socjologii, antropologii, filozofii itd. Wygnanie jest więc kluczowym doświadczeniem życia Baumana, jak i chyba kluczem interpretacyjnym do jego twórczości. **Ale kiedy myślisz o Baumanie jako o człowieku, o tym, co zrobił i co w jego życiu się wydarzyło, jakie jeszcze pojawiają się słowa?**

– Człowiek, który nie przynależał... Taki jest zresztą tytuł jednego z małych eseistycznych rozdziałów.

Zastanawiałem się nad słowem żołnierz. Bauman paradoksalnie wypełnił taki wzorcowy ideał polskiego bohatera, czyli żołnierza, który ryzykuje własnym życiem i płaci krwią, walcząc za ojczyznę. Pod Kołobrzegiem, kiedy został ranny – mógł zginąć i pozostać nikomu nieznanym frontowym 18-latkim poległym w drodze na Berlin.

– I ktoś taki w Polsce, w której panuje kult oręża, walk na polach



kariera, wysiłek, sukces. I z każdej z tych wspólnot go wyrzucają. Nie chcą.

– To bardzo ciekawy trop. Dla niego ważniejszym pojęciem było sprawiedliwe społeczeństwo, a nie prawa człowieka. Częściej akcentował wymiar wspólnotowy naszego życia. Nie dlatego, że prawa jednostki były dla niego nieważne, lecz dlatego, że w jego myśleniu o wspólnocie te prawa człowieka, o których dzisiaj najczęściej się mówi, czyli indywidualne, polityczne, byłyby zagwarantowane, a na dodatek rozszerzone o prawa ekonomiczne.

Z żołnierza pozostała mu jakaś niezwykła dzielność. Kiedy w ostatnich latach wściekle atakowali go nacjonaści, mógł w zasadzie powiedzieć, że nie chce tych spotkań, że nie chce znowu doświadczać agresji, wyzysku... A jednak stawiał temu czoła, mimo że był kruchy, mimo że to musiało być strasznie przykre, otwierało stare rany, nie do końca zasklepione. Przeżywał to jak drugi Marzec '68. Wstrząsające było też to, że nie było w Polsce środowiska, które by go broniło. Na przykład gdy macierzysta Uniwersytet Warszawski odmówił mu odnowienia doktoratu – to było niezwykle dołujące przeżycie. Znowu został wygnańcem – tym razem ze swojej uczelni. Nie pasował ze swoją biografią, a jego sukces budził zazdrość.

Patrzysz na Baumana bez antykomunistycznych okularów i wkładasz reporter-ski wysiłek w pokazanie go w realnym kontekście, który

Nie chciano słuchać, gdy Bauman mówił krytycznie o modelu transformacji, który znał z Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher.

bitewnych, powstań, jest wykluczany z polskości. Bo widzą w nim komunistę, stalinowca, Żyda... A może chodzi o to, że nad Wisłą nie daruje się sukcesu odniesionego za granicą? **Wróćmy jednak do figury żołnierza. Żołnierz to ktoś, kto podporządkowuje sobie pewnej wspólnotie, służy wspólnotie, uważa, że jest ważniejsza niż ta thatcherowska, neoliberalna jednostka, czyli**

dzisiaj trzeba z niemal archeologiczną pieczołowitością odkopywać, bo klisze antykomunizmu zasłoniły cały obraz. Wykonałeś robotę reportera saperskiego, rozminowujesz pole, na którym są miny pułapki. 30 lat wolnej Polski to było zaminowywanie antykomunizmem pewnej intelektualnej przestrzeni historycznej. To był, i jest, wysiłek instytucjonalny, zorganizowany,

► **opłacony przez państwo – wspomagany przez zastępy ochotniczych rezerw historycznych.**

– Uświadomiłem sobie, że nie mamy języka do opowiadania historii takich jak historia Baumana. Spotkałem się z ludźmi nawet bardzo Baumanowi życzliwymi, którzy byli z nim zaprzyjaźnieni, i oni potrafili powiedzieć: no tak, ale współpracował z tą Informacją Wojskową,

co oznaczała współpraca z Informacją Wojskową i kiedy miała ona miejsce. Kim był wtedy Bauman?

Co oznaczała jego aktywność w KBW? W jakich akcjach brał udział i czy można mu z tego zbudować jakikolwiek zarzut?

– Jedyna akcja, w jakiej uczestniczył, była skierowana przeciw oddziałowi Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, które wyłoniło się

Dla Baumana ważniejszym pojęciem było sprawiedliwe społeczeństwo, a nie prawa człowieka.

która – dodajmy – rzeczywiście robiła okropne rzeczy – i wrogom, i swoim... A ja zadałem prościutkie pytanie: w jakim momencie współpracował i co robił? Działo się to między 1945 a 1948 r. Bauman miał 19 lat, przyjechał prosto z frontu. Skąd ten 19-latek, a nawet gdyby był starszy, miał wiedzieć, czym Informacja Wojskowa stanie się w przyszłości? Kto zna przyszłość? Oskarżanie go o to jest ahistoryczne i niesprawiedliwe. Pisał analizy polityczne, a Informacja zerwała z nim współpracę ze względu na żydowskie pochodzenie.

W pierwszych dniach po ukazaniu się „Wygnańca”, kiedy zaczęły się pierwsze rozmowy, wywiady, zorientowałem się, że nawet życzliwie nastawieni wobec Baumana, chcący zrozumieć jego historię, nie mają języka, żeby formułować pytania, które nie ustawiałyby go od razu w pozycji oskarżonego. Weźmy lata tużpowojenne... Natychmiast pojawiają się pojęcia, że z jednej strony „niepodległościowe podziemie”, a z drugiej „komunistyczny aparat terroru”. Jeśli operuje się takimi pojęciami, to Bauman nie ma szans. I nie tylko Bauman – w ogóle ludzie, którzy po 1945 r. wybierali odbudowę, nowy ustrój, a nie las.

Jego dywizja frontowa została automatycznie przekształcona w KBW. Nie było wiadomo, jaki będzie kształt tej umownej polskiej wojny domowej. Dzisiaj mit tych zbrodniarzy „wyklętych”, którzy chodzą w nimbie chwały, jest niesamowitym dziełem propagandowym. Bauman miał 19 lat, kiedy został zobowiązany do jakiejś tam aktywności na rzecz Informacji Wojskowej. Zadałeś pytania,

z Narodowych Sił Zbrojnych. Chciałbym zobaczyć, jak by wyglądała ta wspaniała Polska, w której ta formacja doszłaby do władzy...

A ja bym bardzo nie chciał.

– To byli ludzie lekceważący dowództwo Polskiego Państwa Podziemnego i rząd na emigracji w Londynie z czasu okupacji. Z ludzi, którzy mieli na koncie mordowanie cywilów, członków mniejszości etnicznych, innowierców, zrobiono bohaterów naszych czasów. Owszem, byli wśród nich skazani na tragiczny los przez aresztowania. Byli fani, którzy podjęli bratobójczą walkę, licząc na III wojnę światową. I byli tacy, którzy bez żadnego kamuflażu walczyli o Polskę bez Żydów, bez komunistów, bez innowierców. Jak ci z NZW.

Bauman zaprowadził cię na wyprawę w ten fragment historii Polski,

Lekceważenie Baumana w Polsce bierze się także stąd, że socjalizm nigdy nie przestał być jego horyzontem.

który dziś jest nieopowiedziany, zafałszowywany, zmitologizowany, zastąpiony kalkami myślowymi i kramami antykomunizmu. Oczywiście twoja książka nie jest pierwszym takim przedstawieniem historii.

– Żyjemy w ciekawym momencie, w którym iluś historyków, publicystów z naszego pokolenia, częściej nieco młodszych, zaczyna opowiadać historię inaczej. Chcą wiedzieć, jak było naprawdę, nie zadowalają się opowieścią antykomunistyczną, gdy idzie o dzieje najnowsze, a gdy idzie o dawniejszą historię – dokonują głębokich rewizji. Warto wymienić Adama Leszczyńskiego i jego „Ludową historię Polski”, Michała

Rauszera i jego „Bękarty pańszczyzny”, także Piotra Korczyńskiego „Śladami Szeli”, wcześniejsze książki Jana Sowy...

Jestem z rocznika, dla którego doświadczeniem pokoleniowym był stan wojenny. Dziś mam wrażenie, że stan wojenny kompletnie przysłonił nam najnowszą historię. Opowiadanie o komunizmie przez optykę tamtego czasu wytwarza fałszywy obraz – jak gdyby cała PRL była niemal najstraszliwszą dyktaturą w dziejach i nic poza represjami wówczas się nie wydarzyło. O Baumanie piszę oczywiście do czytelników różnych doświadczeń, ale jest tam pewien akcent skierowany do rówieśników: że warto przekroczyć własne doświadczenie i spojrzeć na Baumana, na ludzi jego pokolenia inaczej, zrozumieć ich punkt startu, zawalenie się całego świata, na którego gruzach komunizm jawił się jako nadzieja. Dla nich punktem odniesienia był przedwojenny świat nędzy, przemocy, getta ławkowego...

...Berezy, głodu na wsi, koszmarnych warunków mieszkaniowych w mieście, bezrobocia, analfabetyzmu...

– ...gdzie Paryż Północy to tak naprawdę slamsy i kilka luksusowych ulic na krzyż...

...i gdzie jest antysemityzm, antyukraińskość, antybiałoruskość, gdzie snują się polskie sny o potędze, o koloniach.

– Nawet starsi od nas o pokolenie, ci, którzy byli liderami walki z komuną, w pewien sposób Baumana odrzucili, a na pewno zachowali wobec niego daleko idącą rezerwę. Jak gdyby nie dało się zrozumieć, że on trwał w partii i próbował ją reformować od wewnątrz, zamiast przyłączyć się do rewizjonistów, jak Leszek Kołakowski. Ale może znowu chodzi o to, że po wygnaniu z PRL w 1968 r. nie został antykomunistą. **Jego ogląd świata kształtują dwa doświadczenia: Polski sanacyjnej, powszechnie uważanej w historii Europy za system półtotalitarny i ewidentnie faszystujący, dyktatorski, oraz doświadczenie wojny**

i Zagłady (sam uniknął Zagłady tylko dlatego, że trafił do ZSRR).

– Właściwie większość wspomnień podobnych ocalańców z ZSRR mówi, że to było straszne – i na pewno w różnych miejscach było strasznie. Bauman jako nastolatek pracuje w kołchozie, potem przy wyrębie lasu, licząc drzewa, przypuszczalnie dlatego, że jest fizycznie zbyt słaby. Uderzające jest to, że we wspomnieniach nie ma nawet śladu skargi na los. Może dlatego, że pierwszy raz w życiu nie jest wskazywany palcem na ulicy czy w szkole jako ten inny, napiętnowany jako obcy, jako Żyd.

Jest w książce symboliczne przeciwstawienie dwóch figur intelektualnych – Kołakowskiego i Baumana. Kołakowskiemu, też komuniście w młodym wieku, komuniście walczącemu, wyrządzającemu zresztą realne krzywdy, np. przedwojennym profesorom, których pozbawiono możliwości wykładania, wszystko wybaczone, bo stał się reformatorem, krytykiem władzy...

– ...antykomunistą.

A z drugiej strony jest Bauman, któremu żadnych konkretnych przewin udowodnić nie sposób, ale rzuca się w niego słowami anatemami: KBW, Informacja Wojskowa, PZPR...

– I rozszerza się w sposób nieuprawniony jego odpowiedzialność – odpowiedzialność małej śrubki w wielkiej maszynie – jak gdyby to on odpowiadał za całe zło lat stalinizmu. Oto polityka historyczna, która z jakiegoś powodu potrzebuje czarownic, żeby mobilizować przeciw nim swoich.

Wziętem sobie do serca myśl Baumana, że tworzenie jest zawsze związane z łamaniem reguł. Tylko przekraczanie granic jest twórcze.

To jak mówienie, że ktoś, kto przez trzy miesiące kierował ruchem drogowym w Moskwie, był oprawcą NKWD. I nie chodzi mi tu o stosunek do drogowki.

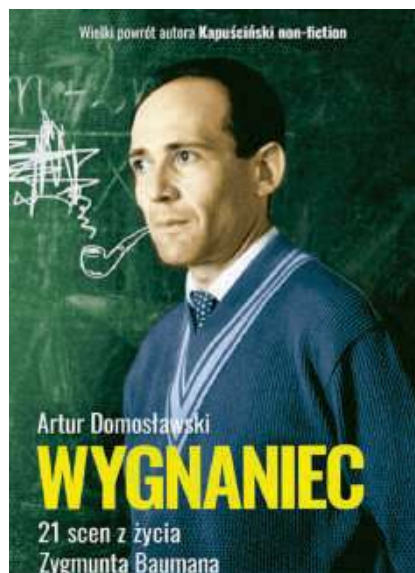
– Powiedzieć, że Bauman kierował ruchem, to też trochę za dużo. Przez trzy miesiące był zwyczajnym krawężnikiem.

Kołakowski zasypia z wiekiem, a Bauman...

– Bauman się budzi.

Bauman zostawia po sobie pojęcia klucze do zrozumienia współczesności.

– Lubię myśleć o nim jako o pisarzu. Oczywiście nie wiemy, co z jego pisarstwa zostanie za lat 10, 20 czy 50, być może kilka nośnych terminów, którymi posługują się humanistyka i publicystyka, bo przecież „płynna nowoczesność” weszła do kanonu językowego nie tylko akademii. Ale gdyby tak było, i tak uważałbym, że to wcale nie jest mało.



Lubię myśleć o Baumanie jako o pisarzu także dlatego, że w dzisiejszej refleksji akademickiej człowiek jest opisywany przez różne dyscypliny wycinkowo. A Bauman uważał, że warto próbować opisywać człowieka i jego doświadczenie całościowo. Mówił, że ostatnim bastionem, w którym doświadczenie człowieka opisuje się jako całości,

jest powieść. A on próbował to robić w naukach społecznych. **Chcesz powiedzieć, że jego socjologia była powieścią?**

– Była szczególnym rodzajem powieści i opowieści. Próbowała objąć całość doświadczenia człowieka. W Polsce wśród ludzi, którzy pamiętają go z lat 60., panuje zdziwienie: jak to możliwe, że ten Zygmunt tak wystrzelił? Ten protekcjonalizm wydaje się po prostu śmieszny.

Niektórzy nie mogą mu darować popularności na świecie. A ona wzięła się m.in. stąd, że jego pisarstwo łączy coś, co nieczęsto się zdarza w naukach społecznych czy tego typu eseistyce, jaką uprawiał – tzn. rozum i serce. To empatia dawała mu dostęp do doświadczeń innych ludzi. Nie zadowalał się analizą, jaką zazwyczaj zajmuje się socjologia czy politologia, ale komunikował się z czytelnikami na poziomie emocji, rozmawiał z doświadczeniami innych ludzi. Może dlatego, że sam miał tak dużo trudnych doświadczeń? Myślę, że emocje obecne w jego pisarstwie są czynnikiem kluczowym w jego wyjątkowej komunikacji z milionami czytelników na świecie. Przychodzili na spotkania z myślicielem, nie obawiając się, że będzie do nich mówił językiem, za którym nie będą w stanie podążać. **Z prorokiem, którego rozumieją. Czy swoją książkę też próbowałeś w ten sposób ułożyć – powieściowo? Rozsadzając ramy gatunkowo określonej biografii?**

– Wziętem sobie do serca myśl Baumana, że tworzenie jest zawsze związane z łamaniem reguł, że podążanie za regułami i zasadami to po prostu rutyna i powielanie. Twórcze jest tylko przekraczanie granic.

Masz poczucie, że odzyskujesz fragment bardzo ważnej historii?

O Baumanie, Polsce po 1945 r., sprzed 1989 i późniejszej?

– Najbardziej chciałem opowiedzieć o losie tego konkretnego człowieka. Ale było wiele zamysłów drugoplanowych, co nie znaczy, że mniej ważnych. Zamysł, o którym mówisz, był jednym z najważniejszych, nawet jeśli niedokładnie w taki sposób go sobie definiowałem.

Lekturę tej książki zakończyłem uczuciem głodu

czytania Baumana, wracania

do niego, przeczytania tego, czego nie znam. Zacznę od jego „Socjalizmu” z lat 70.

– To jedna z najlepszych jego książek, kawał historii idei, zasługujący na nowe odczytania. Przy tej okazji dodam, że lekceważenie Baumana w Polsce bierze się także stąd, że socjalizm nigdy nie przestał być jego horyzontem.

Roman Kurkiewicz

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

WYBLAKŁY MIT NACZELNIKA

PiS traci inicjatywę i respekt wyborców

Robert Walenciak

W politycznej szarpaninie umknęła nam jedna ważna rzecz – w ciągu ostatnich miesięcy władza w Polsce straciła nie tylko inicjatywę i sprawczość, ale także respekt wyborców.

Czasy, gdy Kaczyński w dwa dni przepychał ustawę przez Sejm i Senat, a nocą podpisywał ją Duda, minęły i raczej już nie wrócą. Do przeszłości należy też witanie owacjami przedstawicieli PiS, gdziekolwiek się pokazywali, i łkanie ze wzruszenia na ich widok w podzięce za 500+.

Wielka ucieczka

Andrzej Duda podczas wypadu w góry na narty musiał umykać przed góralami, którzy chcieli mu wręczyć ciupagi hańby. Czekali na parkingu, gdzie zatrzymała się prezydencka kolumna. Ostatecznie się nie doczekali, bo prezydent zjechał na nartach w innym miejscu. A przecież jeszcze nie tak dawno witany był przez nich entuzjastycznie, w miejscach, które wizytował, wieszano tablice pamiątkowe,



Andrzej Duda podczas wypadu w góry na narty musiał umykać przed góralami, którzy chcieli wręczyć mu ciupagi hańby.

regularnie podchodzą manifestacje Strajku Kobiet. Wtedy ulicę Mickiewicza blokują dziesiątki policyjnych samochodów i setki funkcjonariuszy. Ściągane są jednostki z całej Polski.

partia ta się opiera i jak działa Zjednoczona Prawica. Bo przecież nikt nie ma wątpliwości, że kwity na Obajtka ktoś musiał wpierw zebrać, a potem dać dziennikarzom. Kto to zrobił? Od-

Gdyby Kaczyński wezwał wyborców prawicy, by przyjechali do Warszawy, zademonstrować poparcie dla PiS, to ile osób by się stawilo?

no i tu uzyskał najlepszy wynik w wyborach prezydenckich. Było, minęło.

Z kolei Mateusz Morawiecki pojechał otwierać obwodnicę Wrześni. Miała być uroczystość, przemówienia, wszystko rejestrowały kamery. No i zarejestrowały... jak do premiery ruszyła grupa rolników z AgroUnii. Rolnicy, z transparentami w rękach, ominęli kordony i wybiegli wprost na oficjeli. Zobaczyliśmy więc, jak nadbiegają, jak premier jest odciągany przez ochroniarzy i odjeżdża z piskiem opon.

A Jarosław Kaczyński, człowiek na prawicy najważniejszy? Nie jeździ w góry, obwodnic nie otwiera. Ale też nie ma spokoju, bo pod jego dom

Pokazywane jest to w telewizji i raczej budzi zgorzelenie. A prezes? Dominuje pogląd, że na noc jest wywożony w spokojne i bezpieczne miejsce. Można rzec, że agendę dnia (bądź nocy) układa mu Marta Lempart, od której decyzji zależy, gdzie będzie spał.

Inna gwiazda rządzącej prawicy, prezes Orlenu Daniel Obajtek, wprawdzie nie musi się zastanawiać, gdzie będzie nocował, ale snów spokojnych raczej nie ma. Od kilkunastu dni czyta o sobie i swojej rodzinie. I nie są to laurki, występuje w tych artykułach jako typ spod ciemnej gwiazdy. Wszystkie te opisy kompromitują i Obajtka, i PiS, i to podwójnie. Pokazują, na jakiej klasy ludziach

powieść jest prosta: ten, kto miał takie możliwości. Czyli? Ktoś od Ziobry? Od Morawieckiego? A może od Kamińskiego albo od Błaszczaka?

Co najwyżej prezes

Kaczyński może więc groźnie spoglądać i tyle mu zostało. Wie, że jego najważniejsi współpracownicy wynoszą kwity jeden na drugiego, ale żadnego za rękę nie złapał. Czyli wszyscy wzajemnie się oszukują.

Może mu się podobać, gdy Ryszard Terlecki mówi o opozycji, że jest słaba i głupia, albo gdy Joachim Brudziński twierdzi, że to popaprańcy. Zawsze to przyjemnie słuchać, jacy wrogowie są marni, a my sami świetni. Ale kłopot Kaczyńskiego

polega na tym, że te miłe dla jego ucha słowa są tylko słowami. I że opozycja być może jest słaba, ale on sam niewiele mocniejszy. Bez głosów tej opozycji Sejm nie ratyfikuje Funduszu Odbudowy (a są to miliardy z Unii Europejskiej), bo Ziobro nie chce głosować za. Jasne, opozycja

Wiele lat temu przeprowadzałem wywiad z Lechem Kaczyńskim, wtedy jeszcze ministrem sprawiedliwości. Podczas tej rozmowy kilkakrotnie wracał do pewnego wątku – że obywatel musi władzy się bać, musi czuć przed nią respekt. Jeżeli tego nie ma, to nie ma rządzenia.

agendy innym. Samo pogrążone jest w wewnętrznym kryzysie, na prawicy nie za bardzo wiadomo, co zrobić z Gowinem i Ziobrą. I wyjścia z tej sytuacji nie ma – bo jakie być może? Rozprawa z przystawkami? To grozi trwałą utratą sejmowej większości. Może zatem wcześniejsze wybory, których perspektywą liderzy PiS próbują dyscyplinować Zjednoczoną Prawicę? Rzecz

Jarosławowi Kaczyńskiemu nie ufa 58% Polaków, Zbigniewowi Ziobrze – 48%, Jackowi Sasinowi – 46%, Mateuszowi Morawieckiemu – 45%.

nie ma wyjścia – będzie głosowała za funduszem... Ale to, że kluczową ustawę przeforsuje dzięki „popaprańcom”, będzie nie zwycięstwem Kaczyńskiego, lecz jego upokorzeniem. No i za chwilę będzie miał głosy z Brukseli – że ona, owszem, da pieniądze, ale niech Warszawa najpierw pokaże „praworządność”.

Dodajmy jeszcze, że na tej jednej ustawie życie polityczne się nie kończy. Ciągłe pojawiają się jakieś sprawy do załatwienia. Kaczyński znów będzie stawiany pod ścianą. A kłopot w tym, że on już nie wie, ile ma szabel w Sejmie, jak zachowują się Gowin, Ziobro albo jakaś inna koteria. I nie za bardzo może ich kontrolować – wszak Bielan miał obalić Gowina, odebrać mu partię, przeprowadzić ją karnie na Nowogrodzką i nic z tego nie wyszło. Pół Polski w telewizji to widziało.

Sprawczość Jarosława Kaczyńskiego jest więc już tylko mitem. Już nie jest naczelnikiem, lecz co najwyżej prezesem. Trochę większym niż Gowin i Ziobro, ale nie dużo większym. Takim, że musi z nimi negocjować.

Wiele mówiące było też wydarzenie jeszcze z tamtego roku, kiedy w apogeum Strajku Kobiet Kaczyński wezwał swoich zwolenników do obrony. Nie do obrony PiS, na tyle był przytomny, ale kościołów, wiary. I tłumy na to wezwanie się nie stawiały. Przybiegły jakieś grupki ONR-owców, których potem policja musiała ochraniać. Tak został zweryfikowany.

Wie zatem, że nie tylko jego wpływ na Zjednoczoną Prawicę jest coraz mniejszy, ale również oddziaływanie na sympatyków i wyborców PiS mocno się ograniczyło. Bo gdyby wezwał wyborców prawicy, by przyjechali do Warszawy zademonstrować poparcie dla PiS, to ile osób by się stawiało?

Jarosław Kaczyński jest tej zasady dobrym uczniem. Przez ostatnie lata ją stosował, jedni go nienawidzili, drudzy kochali, ale respekt czuli wszyscy. Ten czas minął. Nie dlatego, że Marta Lempart woła: „Kaczyński, ty tchórze!” albo młodzież śpiewa: „j... PiS”, bo to odprysk szerszej tendencji. Braku zaufania, braku poważania, braku szacunku.

Sondaże otuchy nie dają

Pokazują to zresztą kolejne sondaże. Oto jeden z nich, z lutego 2021 r., przeprowadzony przez CBOS, czyli instytut, w którego badaniach PiS wypada przeważnie najlepiej. Wskaźnik

Kwity na Obajtka ktoś musiał zebrać, a potem dać dziennikarzom. Ktoś od Ziobry? Od Morawieckiego? Od Kamińskiego? Od Błaszczaka?

zaufania do polityków. I proszę, największe zaufanie wzbudza wśród Polaków Szymon Hołownia (51%), a najmniejsze – Jarosław Kaczyński (58% nieufności). Kolejnymi, którym nie ufamy, są Ziobro (48%), Sasin (46%) i Morawiecki (45%).

A to, że Polacy w swojej masie mają już dość PiS, potwierdzają inne badania. Na przykład Instytutu Pollster z początku marca 2021 r., który zapytał, czy w Polsce powinny się odbyć jak najszybciej wcześniejsze wybory parlamentarne. Aż 61% respondentów odpowiedziało: „tak”. Wcześniejsze wybory zdecydowanie popiera 41% ankietowanych, „raczej tak” odpowiedziało 20%. Przeciwnego zdania było 39% Polaków.

Jeżeli jesteśmy przy sondażach, to warto dodać, że we wszystkich, jeśli chodzi o hipotetyczne wybory do Sejmu, PiS co prawda zdobywa największą liczbę głosów, ale traci władzę...

Oto więc stan polskiej polityki. PiS straciło inicjatywę, już nie narzuca

w tym, że nie za bardzo wiadomo, jak do nich doprowadzić. Najprościej – poprzez uchwałę o samorozwiązaniu Sejmu. Ale poprzec by ją musiało dwie trzecie posłów. Czy opozycja taką uchwałę by poparła? A czy poparliby ją posłowie Zjednoczonej Prawicy? Ci od Gowina i Ziobry – na pewno nie. A pozostali? Wcale bym się nie dziwił, gdyby w takiej sytuacji pokaźna grupa posłów prawicy nie posłuchała Kaczyńskiego. Z prostego powodu – wielu z nich jest związanych z władzą, każdy miesiąc przynosi im kolejne profity, dlaczego mieliby lekkomyślnie ryzykować? Inni z kolei baliby się utraty władzy i odwetu zwycięzców. A byłby on

tym łatwiejszy, że PiS wszystkie bezpieczniki związane z nieusuwalnością urzędników, pewnością pracy funkcjonariuszy polikwidowało.

Cóż więc Kaczyńskiemu i PiS pozostaje? Wiara, że sytuacja jakoś się utoży. Że pandemia zniknie i ludzie nabiorą radości życia. I że przyjdą pieniądze z Unii, to znów sypnie się wyborcom. A opozycja zacznie popełniać błędy (o co nietrudno).

I że – to trzeba dodać obowiązkowo – ludzie PiS zatrudnieni w spółkach skarbu państwa i innych miejscach zaczną działać sprawnie i uczciwie, i przestaną się podgryzać. Że Polacy pokochają Obajtka, a media nierzędowe zaczną się zajmować perypetiami rodziny królewskiej.

Czyli skazani jesteśmy na prosty scenariusz – że ta władza będzie gniła. Tak jak wcześniej AWS, SLD i w końcu PO. Bo sama z siebie sił już nie odzyska.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

PiS na wodę, fotomontaż

Byli członkowie PiS w Wałbrzychu czekają, aż trafi się lepsza partia

Artur Zawisza

Tym, którzy cieszyli się, że Wałbrzych jest pierwszym miastem, gdzie nie ma Prawa i Sprawiedliwości, warto przypomnieć, że był również pierwszym, gdzie kiedyś były dwa: PiS i PiS Bis. Później przez chwilę nie było żadnego, aż nadeszło to znane z taśm ujawnionych w styczniu 2021 r. przez lokalną Telewizję Dami.

Pierwsza wojna wybuchła w 2006 r. W opozycji do młodego radnego i wiceprzewodniczącego rady powiatu, 23-letniego Kamila Zielińskiego, grupa partyjnych działaczy w powiecie wałbrzyskim dokonała rozłamu. Konkurencja zarzucała Zielińskiemu kolesiostwo w obsadzaniu stanowisk, a działacze PiS oskarżali się wzajemnie o manipulacje w komitetach wyborczych. W proteście przeciw narzucanym z góry rządowi i wodzowsko-ideologicznym metodom kierowania partią prawie połowa spośród 200 członków w 2008 r. oddała legitymacje partyjne. Lista nazwisk buntowników trafiła do Elżbiety Witek, wówczas posłanki z Legnicy, powołanej na okręgowego komisarza PiS. „Nawet gdyby miało zostać 20 osób, zrobię wszystko, by PiS w Wałbrzychu odbudować. Nie liczy się ilość, ale jakość. (...) Będziemy budować strukturę od początku, ale w oparciu o innych ludzi niż dotychczas”, mówiła Witek w wystąpieniu dla lokalnych mediów. Na przełomie czerwca i lipca 2008 r. PiS w powiecie przestało istnieć. Kamil Zieliński, jeden z bohaterów lub – jak wielu wskazuje – główny winowajca nieporozumień w PiS, powrócił 13 lat później.

Déjà vu

13 stycznia 2021 r. regionalne struktury PiS w Wałbrzychu musiał rozwiązać sam prezes partii. Wniosekodawcą był Michał Dworczyk. Na taki krok trzeba było długo czekać. Informację o tym, że w wałbrzyskich strukturach znów źle się dzieje,

Jarosław Kaczyński miał otrzymać już rok wcześniej, i to ponownie z rąk Elżbiety Witek, obecnie marszałek Sejmu, tym razem bez specjalnej delegacji do naprawy partii, którą mieszkańcy Wałbrzycha od dawna nazywali szydlerczy Podzieleni i Skłóceni.

Znowu poszło o Kamila Zielińskiego, bohatera taśm, na których jego ojczym Janusz Czyż i współpracownik Bartłomiej Grzegorzczak szantażują szeregowego członka PiS Radosława Łozińskiego, żeby wycofał swój podpis z petycji o jego odwołanie. Na kolejnych ujawnionych taśmach można już było usłyszeć, jak Zieliński jednoosobowo decyduje o przyznawaniu środków wybranym podmiotom w ramach funduszu promocyjnego Wałbrzyskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej, państwowej spółki, w której jest wiceprezesem. Beneficjentami zostali m.in. mała parafia oraz wójt Udanina, „nasz gościu”, organizator Tropem Wilczym – Biegu Pamięci Żołnierzy Wyklętych, imprezy pod patronatem Fundacji Wolność i Demokracja, którą powołał Michał Dworczyk. Dostali po „trójce”, bo tego życzyłby

Prawie połowa spośród 200 członków PiS w powiecie wałbrzyskim oddała w 2008 r. legitymacje partyjne w proteście przeciw narzucanym z góry rządowi.

sobie „szefu”. Rozmowa odbyła się 29 stycznia 2020 r.

Zarówno Zieliński, jak i Czyż, Grzegorzczak oraz Łoziński to członkowie PiS, które w Wałbrzychu odbudowało się po wyborach w 2015 r. Wszyscy zawodowo związani byli lub są ze zmonopolizowaną politycznie Wałbrzyską Specjalną Strefą Ekonomiczną. Zawieszeni po opublikowaniu taśm w 2021 r., stanowisk nie stracili.

Rodzina na swoim

Kiedy w 2015 r. Michał Dworczyk, mieszkaniec Warszawy wybrany na posła w okręgu wałbrzyskim, zrobił swoim pełnomocnikiem w regionie

Kamila Zielińskiego, wielu członków PiS przeżyło rozzaczarowanie i zaskoczenie. Tym większe, że Zieliński był wicewojewodą z nadania Anny Zalewskiej, minister edukacji w rządzie Beaty Szydło, która za Dworczykiem, nominatem Morawieckiego, nie przepadała. Na Dolnym Śląsku nie były odosobnione opinie, że Dworczyka i Zalewską łączył tylko konflikt. O Zielińskim mówiono, że to spec od PR i autoprezentacji.

Na swojej oficjalnej stronie Kamil Zieliński, ekonomista i organista, przedstawia się jako twórca „wielu organizacji *non profit* w całej Polsce, działających na rzecz rozwoju przedsiębiorczości społecznej i walki z wykluczeniem społecznym”. Niedługo przewodniczący dolnośląskiego oddziału Ogólnopolskiego Związku Rewizyjnego Spółdzielni Socjalnych, członek Rady Pallotyńskiego Ośrodka Wspierania Dziennego w Wałbrzychu, fundator Lubuskiej Inicjatywy Pozarządowej, analityk rynkowy w Spółdzielni Socjalnej Mona Lisa, której założycielem i prezesem był Janusz Czyż.

Kariere polityczną Zieliński rozpoczął w Wałbrzychu. W roku 2006, w wieku 23 lat, został radnym i wiceszefem rady wałbrzyskiego powiatu. Wtedy wałbrzyskie PiS podzieliło się po raz pierwszy. W 2010 r. Zieliński nie uzyskał reelekcji, a rok później poległ w przedterminowych wyborach na prezydenta Wałbrzycha, zajmując ostatnie, czwarte miejsce, mimo że w kampanii wyborczej wspierał go osobiście Jarosław Kaczyński. W tym samym 2011 r. Zieliński z list PiS nie dostał się do Sejmu i wyjechał z Wałbrzycha. Najpierw do Kluczborka, gdzie pracował jako doradca w tamtejszym inkubatorze przedsiębiorczości, później trafił do Urzędu Miasta



Kamil Zieliński był wicewojewodą z nadania Anny Zalewskiej.

w Zielonej Górze na stanowisko doradcy biznesowo-marketingowego. W latach 2015-2019 sprawował funkcję wicewojewody dolnośląskiego. A na fali rosnącej popularności PiS i przede wszystkim Dworczyka, któremu region zawdzięczał duży wpływ państwowych dotacji i znaczny wzrost inwestycji, w 2018 r. Zieliński uzyskał w wyborach do sejmiku wojewódzkiego najlepszy wynik na Dolnym Śląsku. Mandatu jednak nie przyjął. Rok później nie dostał się do Senatu i decyzją premiera w sierpniu 2019 r. został odwołany ze stanowiska wicewojewody, wrócił do Wałbrzycha i objął posadę wiceprezesa specjalnej strefy ekonomicznej.

Jak zakłada się spółdzielnie?

„Tu będzie normalna organizacja. Z rozkazami, k... z działaniami, tu nie będzie wolnej amerykanki. Dzisiaj pojedziemy, wymienimy zamki i tyle. (...) I nikt nam tu nie wejdzie. Ani pani marszałek (Elżbieta Witek – przyp. aut.), a panią europoseł (Annę Zalewską) będziemy tylko zapraszać i też nie będzie mogła mieszkać”, mówił na nagraniach z 2020 r. Janusz Czyż. Do PiS zapisał się w grudniu 2019 r. razem z nagrywającym rozmowę Radosławem Łozińskim. I Czyż, i Łoziński dostali pracę w strefie ekonomicznej.

Janusz Czyż był osobistym kierownikiem Zielińskiego, kiedy ten był wicewojewodą. Po jego nominacji na

wiceprezesa WSSE został specjalistą w dziale inwestycji spółki córki strefy – Invest Park Development. Bez kwalifikacji, doświadczenia, wykształcenia. W 2007 r., tuż po tym, jak Zieliński został zawodowym politykiem, Czyż powołał do życia Spółdzielnię Socjalną Mona Lisa. Właściciel Mona Lisa była pizzerią, w której poza wypiekami włoskich placzków osoby zagrożone wykluczeniem społecznym mogły się nauczyć podstaw prowadzenia działalności gospodarczej. Ten szczytny cel szybko jednak zarzucono. W jednym z wywiadów Czyż mówił o tym tak: „Odeszliśmy od tej koncepcji, stwierdzając, że jest wiele osób, które nie chcą robić pizzy, za to znają się na czymś innym. Postanowiliśmy, że pokażemy im więcej pomysłów, organizując odwiedziny w spółdzielniach działających w innych branżach”. Stąd wziął się pomysł tzw. wizyt studyjnych, które zamieniły się w spotkania towarzyskie.

Na działalność spółdzielni słała niemała pomoc publiczna. Oficjalnie w latach 2007-2015 Mona Lisa otrzymała od różnych podmiotów ponad 118 tys. zł. Nieoficjalnie dużo więcej, bo spółdzielni było kilka i dotacje szły pośrednio do innych podmiotów przy okazji różnych akcji i projektów. Pod adresem Mony Lisy (Wałbrzych, ul. Gagarina 11) siedzibę miały również inne spółdzielnie: FBI – Formalnie Bierni Inna-czej (!) i KGB – Komputery, Grafika,

Branding, w której Janusz Czyż był prezesem zarządu. Spółdzielnia KGB tylko w 2014 r. dostała 160 tys. zł. Ale o efektach działalności tych spółdzielni brak jakichkolwiek informacji poza wpisami do KRS. Ostatni dotyczący spółdzielni Mona Lisa pochodzi z 2015 r., kiedy Czyż został kierownikiem Zielińskiego. Pizzy zamówić nie można, numery telefonów albo nie istnieją, albo przypisane są do osób prywatnych spoza Wałbrzycha. Mieszkańcy budynku, w którym mieściła się siedziba Mony Lisy, mówią, że od około sześciu lat firma jest zamknięta.

Kumoterstwo

Ze spółdzielni Janusza Czyża związani byli obok Zielińskiego Piotr Czyż, brat Janusza, w roli pełnomocnika oraz Krzysztof Kumorek, koordynator projektów. Kumorek był asystentem Zielińskiego w Dolnośląskim Urzędzie Wojewódzkim i podczas wyborów do Senatu w 2019 r. Od czerwca 2020 r., kiedy taśmy z nagraniami polityków PiS już były w Warszawie, Kumorek pełnił z politycznego nadania funkcję komisarza w Bogusławie-Gorcach, niewielkiej, przyległej do Wałbrzycha gminie. W kulisach lokalnej polityki mówiło się, że tylko dzięki poparciu Zielińskiego i wpływowi Dworczyka premier wyraził zgodę na jego nominację. Kumorek komisarz urzędowanie rozpoczął od zwolnień. Za to pracę w urzędzie znalazł mec. Piotr Czyż.

Prezesem Zarządu Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej został świadek na ślubie Zielińskiego, Bartosz Kazimierzczak. Posadę szefa Centrum Kulturalno-Kongresowego „Witold” dostał znajomy Zielińskiego z koszykarskiego boiska, Michał Borzemski. Na stanowisko kierownika Wydziału Promocji i Współpracy z Zagranicą mianowano Dariusza Nowaczyńskiego – fotografa, męża szefowej radnych PiS w Świdnicy, odsuniętej niedawno od koordynowania szczepień przeciw COVID-19, kiedy okazało się, że zaszczepił swojego męża poza kolejnością.

Kumorek w ostatnich wyborach do rady powiatu w 2018 r., startując z ramienia PiS, zdobył zaledwie 66 głosów. Jednak niedawno zgłosił swoją kandydaturę na stanowisko burmistrza Boguszowa

► w przedterminowych wyborach w kwietniu. Przed oficjalną kampanią zdążył jeszcze podpisać intratne kontrakty dla firmy Red Baron Brand Support, której właścicielem jest Maciej Czajka, przyjaciel Kamila Zielińskiego.

Czajka to spin doktor kampanii lewicowej prezydent Świdnicy, Beaty Moskal-Słaniewskiej, a równocześnie organizator wyborczych spotkań Roberta Winnickiego w Wałbrzychu. Jak ujawniła lokalna Telewizja Dani, wartość zleceń marketingowych, które spływały z Wałbrzyskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej do Red Barona, była mocno zawyżana. Na przykład spot promocyjny kosztował strefę kilkakrotnie więcej niż na wolnym rynku. W ciągu roku firma Macieja Czajki otrzymała od WSSE ponad 100 tys. zł. Jednak od sierpnia 2020 r., kiedy Piotra Sosińskiego, związanego z PiS byłego szefa Młodzieży Wszechpolskiej, po około roku urzędowania zastąpił na fotelu prezesa strefy sponsor kampanii wyborczych PiS Artur Siennicki, Red Baron zlecenia stracił. Tyle że od lipca miał już umowę z ratuszem w Boguszowie. Za założenie prowadzenie profilu na Facebooku oraz Instagramie, pozyskiwanie lajków i animacje miasto do grudnia miało zapłacić 22 tys. zł. Za oklejenie herbem miasta wykonanych z plastiku urn: 4,5 tys. zł. W podpisanym aneksie z 3 lutego 2021 r. Red

Baron zobowiązał się do wykonania do maja usług w zakresie marketingu i promocji na sumę 125 tys. zł.

Make Wałbrzych Great Again

Bartłomiej Grzegorzczak, absolwent Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, to od czasów studiów bodaj najwierniejszy przyjaciel Zielińskiego, nazywany jego kadrowym. Kiedyś kierowca taksówki i pracownik banku oraz popularyzator jeździectwa jako formy rehabilitacji i psychoterapii. Autor bloga Gospodarka PLUS, na którym promuje miasto: *Make Wałbrzych Great Again*.

Michał Dworzczyk, mieszkaniec Warszawy wybrany na posta w okręgu wałbrzyskim, postawił na Kamila Zielińskiego.

Po zwycięskich dla PiS wyborach w 2015 r. został kierownikiem terenowej placówki KRUS, z której trzy lata później odszedł w atmosferze skandalu, kiedy do lokalnych mediów docierały oskarżenia o mobbing i psychiczne znęcanie się nad pracownikami. „Od samego początku wobec pracowników, którzy zwracali się do niego po pomoc w kwestiach merytorycznych lub służbowych albo po prostu mieli odrębne zdanie, był bardzo bezwzględny. Był dobry tylko w jednym. W pisaniu notatek

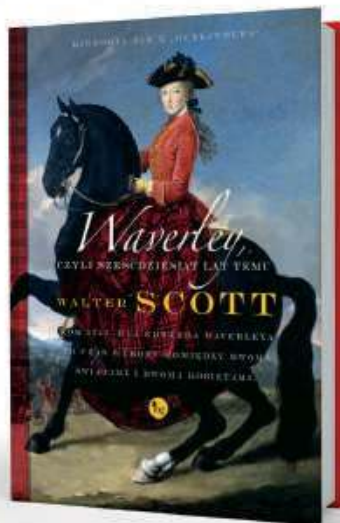
służbowych na pracowników i ich zastraszaniu”, mówiła jedna z pracownic KRUS w wywiadzie dla Telewizji Dami. Ulubioną metodą działania Grzegorzczaka było nasytanie częstych i intensywnych kontroli albo polecenie pisania szczegółowych sprawozdań z pracy, włącznie z informacją o wyjściu do toalety. Były krzyki i obelgi. W Okręgowym Oddziale KRUS we Wrocławiu powołano komisję ds. mobbingu, ale Grzegorzczak zdążył zwolnić się z pracy i postępowanie umorzono. Szybko znalazł posadę eksperta w Dolnośląskim Urzędzie Wojewódzkim, w którym wicewojewodą był Kamil Zieliński.

Tak jak Kumorek również Grzegorzczak zmienił miejsce pracy, kiedy taśmy znane już były kierownictwu partii. Z Invest Park Development, spółki córki WSSE, gdzie był jednym z wiceprezesów (stanowisko specjalnie dla niego zdublowano), trafił do Wałbrzyskiego Rynku Hurtowego, spółki akcyjnej z większościami udziałem skarbu państwa – na fotel prezesa.

„Nie przyjmuję ofert handlowych”, odpowiedział autorowi niniejszego materiału Grzegorzczak, poproszony o ustosunkowanie się do zarzutów mobbingu. I rzucił słuchawką. Na wysłane pismo odpowiedzi nie udzielił.

Po emisji nagrań Rada Nadzorcza Wałbrzyskiej Strefy Ekonomicznej wydała komunikat: „Oświadczamy, że w dniu 26 stycznia 2021 r., w związku z domniemaniem występowania w Spółce nieetycznych zachowań, osoby bezpośrednio związane ze sprawą złożyły wyjaśnienia przed powołaną komisją ds. mobbingu. Zebrany materiał będzie niezwłocznie poddany analizie prawnej pod kątem występowania ewentualnych naruszeń”. Mobbingu komisja nie stwierdziła, uznając sprawę za jednorazowe działanie o charakterze koleżeńskie rozmowy. Łoziński skarżył się mediom, że mobbing trwa. Bez jego wiedzy i bez żadnych wyjaśnień zabrano mu laptop i telefon komórkowy. Zostały taśmy, stanowiska i oczekiwanie na lepszą partię.

Artur Zawisza



www.wydawnictwomg.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Gwiazdy, eksperci, uczeni

Do kina, a także do teatru chodzę ostatnio, zwłaszcza w pandemii, nie za często, ale staram się śledzić życie filmowe, teatralne i estradowe, choćby za pośrednictwem mediów. Tymczasem ono toczy się widocznie jeszcze w jakimś nieznanym mi, podziemnym nurcie, z którego raz po raz wyskakują na powierzchnię (ściślej na łamy tabloidów, kolorowych czasopism lub internetu) jakieś gwiazdy. Ich sukcesy i artystyczne dokonania na powierzchni pozostają tajemnicą, tkwiąc w nieznanym ogółowi podziemiu. Widać tylko długie nogi i wydatne biusty, a przy z reguły nieznanymi nazwiskami pojawiają się niczym pseudonimy z konspiracji (z tego podziemia może?) dodatki „gwiazda”. Dużo ostatnio tych gwiazd. Prawie Droga Mleczna (bez aluzji do wspomnianych biustów), galaktyka cała ciągnąca się przez karty kolorowych czasopism. Zdjęcia gwiazd samotnych, zamysłonych (?), z nowym albo najnowszym partnerem. Czasem na przyjęciu, wśród podobnych gwiazd i biznesmenów. Sensacje z ich życia, kolejne rozstania, nowe związki, dzieci poczęte i te całkiem urodzone, przeważnie o egzotycznych – przepraszam, światowych – imionach. Mało tego. Od czasu do czasu gwiazdy udzielają wywiadów, dzieląc się swoimi głębokimi przemyśleniami. Na ogół na temat rozstań, nowych związków, tychże dzieci o światowych imionach.

Innego rodzaju gwiazdą, dopełniającą polski gwiazdobiór, jest supernowa, astronomiczne odkrycie prezesa Kurskiego, Zenek Martyniuk! Z jakichś weseł z Podlasia, z remiz tamtejszych ochotniczych straży wyciągnął go prezes Kurski i ustawił w samym centrum narodowej estrady. Pełno Zenka w TVP, nakręcono o nim film, tylko czekać, jak zostanie nominowany do Oscara. Zenek śpiewa, reklamuje różne towary i, jak z gęby mu widać, jest z siebie (no i z prezesa, jak sądzę) bardzo zadowolony.

Zobaczycie, niedługo prezydent Duda nada mu odpowiednio ważny order, a minister Gliński mianuje dyrektorem filharmonii.

Obok wysypu gwiazd mamy wysyp ekspertów. Najczęściej z własnej nominacji, zatwierdzonej przez tabloidy. Czasami niestety dają się na to nabrać poważne tygodniki. Eksperci udzielają porad z różnych dziedzin. Jak prowadzić biznes (dlaczego sami nie prowadzą?), jak przeżyć rozstanie, jak wychowywać dzieci, jak budować wizerunek, jak prowadzić marketing polityczny (to niech sami kandydują na prezydenta, skoro wiedzą, co trzeba

robić, by wygrać wybory). Niedawno, i to na łamach, wstyd powiedzieć, poważnego tygodnika, wypowiedziała się jakaś pani „ekspertka” od wykrywania kłamstwa. Detekcją kłamstwa kryminalistyka i psychologia zajmują się od ponad 100 lat. Przeprowadzono setki, jeśli nie tysiące badań, konstruowano i wykorzystywano rozmaite urządzenia, doskonalono różne dozwolone i niedozwolone techniki wykrywania kłamstwa. Napisano na ten temat całą bibliotekę książek i fachowych artykułów. Służby specjalne i policyjne na całym świecie z różnym powodzeniem wykonują rutynowo takie badania. A tu, poza tym całym biznesem, jest „ekspertka”, która po „mowie ciała” potrafi wykryć bezbłędnie kłamstwo. I dyskretnie oferuje swoje usługi na łamach ilustrowanego tygodnika. Nawet szkolenia może w tym zakresie przeprowadzić. Gdzie i od kogo tego się nauczyła? Ma takie przyrodzone zdolności i umiejętności zdobyte poza oficjalną nauką? Szamanka?

To niech się reklamuje jako szamanka, nie jako ekspert czy może ekspertka.

Zalewa nas, w dużej mierze dzięki internetowi, niesłychana liczba informacji.

Prawdziwych i nieprawdziwych. Mądrych i głupich. Szkodliwych i nieszkodliwych. A to o niebezpieczeństwach czających się w szczepionkach, a to o zbawczym i uzdrowicielskim wpływie witaminy C (już nie pomnę, lewoskrętnej czy prawoskrętnej)... Coraz trudniej w tym się połapać. Niby zawsze tak było, ale gdy nie było internetu, zasięg powtarzanych bzdur „nauki alternatywnej” był mniejszy. „W pekaesie mówili” albo „pod sklepem mówili” miało zasięg mniejszy, ograniczony do niewielkich społeczności lokalnych. I przy odrobinie wysiłku można było sprawdzić, co o tych rewelacjach sądzi nauka. Teraz i to się kończy. Teraz ten jest większym uczonym, kto ma więcej punktów. O tym zaś, kto ma więcej punktów, decyduje minister, który te punkty przydziela wydawnictwom i tytułom czasopism. A że klucz rozdziału jest dość czytelny, może się zdarzyć, że za opublikowanie bzdury ktoś dostanie punktów 100 i wygra z tym, kto będzie z nim polemizował uczonym wywodem za pięć.

Po ostatnich reformach nauki czeka nas wysyp nowych uczonych porównywalnych z nowymi gwiazdami i nowymi ekspertami. Tandeta wokół.

I bądź tu mądry!

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Synu, wstydu oszczędź!

Zbigniew Kuraś za krzywdę,
jaka spotkała jego ojca,
żąda już 10 mln zł

Leszek Konarski

Trzeba nie tylko tupetu, ale i całkowitego braku wstydu, aby żądać od państwa 10 mln zł zadośćuczynienia za pozbawienie życia ojca, kiedy ten winien był śmierci kilkuset osób. W latach 1945-1947 oddział partyzancki Józefa Kurasia „Ognia” terroryzował Podhalę, zabijał, grabił, gwałcił. Sąd Okręgowy w Nowym Sączu odrzucił żądanie 74-letniego dzisiaj Zbigniewa Kurasia wypłacenia mu 1 mln zł zadośćuczynienia i stwierdził, że „Ogień” sam się postrzelił, a poza tym twierdzenie, że walczył on o niepodległy byt państwa polskiego, ale bez komunistów, Rusinów, Żydów, Słowaków, to też sprawa niejednoznaczna.

Z wielkim niesmakiem obserwowałem proces, który zakończył się 5 marca br. przed Sądem Apelacyjnym w Krakowie, i to nie tylko ze względu na beczelność żądań syna „Ognia”, lecz także z uwagi na stanowisko prokuratury, które było moralnie niezrozumiałe. Przedstawicielka prokuratury wspierała argumenty Kurasia, udowadniała, że ma rację i zadośćuczynienie się należy. Rzeczywiście – przyznawała – „Ogień” strzelił sobie w głowę, ale jej zdaniem winni byli ci, którzy zorganizowali na niego obławę.

Najpierw milion

Caty Nowy Targ wiedział, że Zbigniew Kuraś, właściciel kwiaciarni Hortus przy ulicy Jana III Sobieskiego, specjalizującej się w sprzedaży hiacyntów, to syn Józefa Kurasia „Ognia”, którego partyzancki oddział

w pierwszych latach po wojnie siał postrach na tym terenie, dokonał kilkuset morderstw, napadów i grabieży. Przychodzono po kwiaty, ale unikano rozmów z właścicielem o jego ojcu. On również nie chciał o nim mówić, nie udzielał się publicznie, nie należał do żadnej organizacji. Był świadomy, że mieszkańcy Nowego Targu nie zgodzili się na postawienie w tym mieście pomnika „Ognia”, że wprawdzie na msze

Syna „Ognia” poparła prokurator Agnieszka Stanek, od trzech lat badająca katastrofę smoleńską.

w rocznicę śmierci Kurasia ojca do kościoła w Waksmundzie przyjeżdżają rządowe limuzyny z Warszawy, ale ludzi, a nawet księdza, przywozi się z innych miejscowości, bo tutejsi nie chcą uczestniczyć w tych



Zbigniew Kuraś twierdzi, że jego ojciec został zmuszony do tego, by strzelić sobie w głowę.

uroczystościach. A gdy kiedyś chciał zapalić świeczkę w Ostrowsku, przed domem, w którym zginął ojciec, został przepędzony przez gospodarza.

Tymczasem Zbigniew Kuraś po przejściu na emeryturę wystąpił do Sądu Okręgowego w Nowym Sączu

o 1 mln zł od skarbu państwa za krzywdę, jakiej doznał jego ojciec wskutek represjonowania go przez organy ścigania w związku z jego działalnością na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego. Mieszkańcy Podhala odetchnęli z ulgą, gdy dowiedzieli się, że nowosądecki sąd odrzucił jego żądanie.

Podbicie stawki

Zbigniew Kuraś odwołał się jednak do Sądu Apelacyjnego w Krakowie i zażądał za krzywdę, jaka spotkała jego ojca, kwoty już dziesięciokrotnie wyższej. Napisał, że jego ojciec 21 lutego 1947 r., otoczony wraz z członkami swojego ugrupowania w domu Józefa i Anny Zagatów w Ostrowsku przez kilkudziesięciu żołnierzy KBW i milicjantów, istotnie strzelił sobie w głowę, ale został do tego zmuszony. Gdyby nie obława, nie musiałby popełnić samobójstwa. W apelacji stwierdził: „Przyczyną śmierci było zrzucone

go na podłogę przez żołnierzy KBW, którzy widzieli, że ma przestrzeloną czaszkę. Wprawdzie oddał on strzał z broni w swoją głowę, ale nie sposób uznać, że uczynił to w warunkach umożliwiających mu swobodne podjęcie decyzji”.

Prokuratura Okręgowa w Nowym Sączu również złożyła apelację i wyraziła swoje niezadowolenie z wyroku, używając dokładnie takich samych argumentów jak Zbigniew Kuras. Czytamy więc: „Pozbawienie życia Kurasia było wynikiem sytuacji przymusowej oraz wyrazem konieczności stworzonej przez napastników. (...) Samopozstrzelenie to należy postrzegać również w kategoriach swoistego etosu dowódcy partyzanckiego oddziału, którego prestiż u podkomendnych zawsze był okazywany wobec żołnierzy osobistą pogardą dla śmierci i gotowością składania życia za ojczyznę”.

Sąd apelacyjny zwrócił się o ekspertyzę do krakowskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, skąd nadeszła niemal identyczna opinia o przyczynach śmierci Józefa Kurasia „Ognia”: „Samopozstrzelenie Kurasia nie było decyzją wynikającą z niechęci do życia, ale wynikiem sytuacji przymusowej stworzonej przez fakt dokonanej przez komunistyczny aparat represji osaczenia. Jest rzeczą oczywistą, że gdyby Józef Kuraś »Ogień« nie został osaczony przez UB i KBW, to nie strzelałby do siebie. Znałe fakty każą bowiem wykluczyć, że Józef Kuraś miał jakiegokolwiek tendencje samobójcze”.

Winni napastnicy

Zarówno w sądzie w Nowym Sączu, jak i w Krakowie pełnomocnikiem Zbigniewa Kurasia była Anna Bufnał, radczyni prawna z Gdyni, bo komu z górali będzie się chciało jechać na drugi koniec Polski, aby jej wytłumaczyć, ilu ludzi zginęło na Podhalu w wyniku działalności zgrupowania „Ognia”, ile dokonano napadów, rabunków, gwałtów. Mimo tak odległego miejsca zamieszkania i tak otrzymała anonim, dołączony do akt sprawy, w którym została poinformowana, co ją czeka, jak ją górale dorwają. Autorów listu próbuje

teraz namierzyć prokuratura rejonowa w Gdyni, natomiast mec. Bufnał poprosiła krakowski sąd apelacyjny o dodatkowe zabezpieczenie policyjne w czasie rozpraw, co zrobiono.

Prokuratura też wołała nie narażać na gniew górali żadnego krakowskiego prokuratora i wybór padł na Agnieszkę Stanek, która kiedyś pracowała w Prokuraturze Okręgowej w Krakowie, ale w 2017 r. została delegowana do pracy w Zespole

Pijany „Ogień” postanowił zamordować młodzieńką Rozalię Waksmundzką. Strzelił jej w klatkę piersiową, ale kula ominęła serce i dziewczyna przeżyła.



W latach 1945-1947 oddział Józefa Kurasia „Ognia” terroryzował Podhalę, zabijał, grabił, gwałcił.

Śledczym nr 1 w Prokuraturze Krajowej, prowadzącym śledztwo w sprawie wypadku lotniczego w Smoleńsku w 2010 r. Jak można przeczytać w opublikowanym 6 sierpnia 2019 r. raporcie Stowarzyszenia Prokuratorów Lex Super Omnia zatytułowanym „Królowie życia w prokuraturze »dobrej zmiany«”, jej praca w tym zespole została wysoko oceniona i w 2017 r. otrzymała nagrodę w wysokości 7 tys. zł, a w 2018 już 10 tys. zł.

W trakcie rozprawy przed krakowskim sądem najpierw mec. Anna Bufnał z Gdyni podtrzymała opisaną w apelacji tezę, że gdyby nie obława zorganizowana przez milicjantów i żołnierzy z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Józef Kuraś „Ogień” nie miałby powodów do strzelania sobie w głowę. Pociągnął za spust z obawy, że jak go złapią, to będzie torturowany, sądzony w procesie pokazowym i może mu

grozić wyrok śmierci. Nie ma też żadnej wątpliwości, że „Ogień” działał na rzecz niepodległości państwa polskiego. Powołała się na opinię IPN.

Prokurator Agnieszka Stanek zgodziła się z argumentami pełnomocniczki Zbigniewa Kurasia i stwierdziła, że podziela opinię, iż postrzelenie się „Ognia” było wynikiem przeprowadzonej obławy i to komunistyczny aparat bezpieczeństwa jest odpowiedzialny za jego śmierć. Potwierdziła, że Kuraś działał na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego i powołała się na ten sam nadesłany przez IPN dokument, który wcześniej był cytowany przez mec. Bufnał.

Po wysłuchaniu tych opinii sąd apelacyjny podjął decyzję o uchyleniu wyroku Sądu Okręgowego w Nowym Sączu odmawiającego przyznania Zbigniewowi Kurasowi zadośćuczynienia za śmierć ojca i skierował sprawę do ponownego rozpoznania. W ustnym uzasadnieniu sędziowie przyznali, że Józef Kuraś był postacią kontrowersyjną, różnie go oceniano, był też funkcjonariuszem MO i UB, a w IPN nie jest zakończone śledztwo mające wyjaśnić, czy przypadkiem jako zastępca szefa UB w Nowym Targu nie popełnił zbrodni komunistycznej, przesładując byłych żołnierzy Armii Krajowej poprzez wysyłanie ich na Syberię. W chwili obławy w Ostrowie chciał jednak żyć i kontynuować działalność, ale nie miał wyboru, został pozbawiony możliwości ucieczki i dokonał samopozstrzelenia. Dlatego nowosądecki sąd powinien

- ▶ ponownie przeanalizować wszystkie aspekty tej sprawy.

Etos pijanego dowódcy

W czasie krakowskiego procesu wszystkie strony bardzo poważnie zastanawiały się, co myślał „Ogień”, gdy przykładał sobie pistolet do skroni, a nikt nie zapytał, co myślał,

aresztowanie jego zastępcy „Potraska”, co okazało się nieprawdą. Strzelił jej w klatkę piersiową, ale kula szczęśliwie ominęła serce i dziewczyna cudem przeżyła.

Wieczorem pijany „Ogień” zjawił się wraz z oddziałem w domu 13-letniej Marii Mroszczak, bo to ona nieświadomie wskazała funkcjonariuszowi UB, gdzie mieszka

pili. W południe następnego dnia zostali otoczeni przez milicjantów i żołnierzy KBW.

Maria Mroszczak ma dzisiaj 87 lat, nadal mieszka w Waksmundzie i ma świetną pamięć, długo z nią rozmawiałem. Odwiedził ją nawet prokurator z IPN, nagrał jej wspomnienie o pijanym Kurasiu, który najpierw strzelił do Rozalii, a następnie postanowił wystrzelać całą jej rodzinę, ale tego nie ma w publikacjach, z wyjątkiem wydanej przez PRZEGŁĄD książki „»Ogień«. Fałszywy mit” (Fundacja Oratio Recta, 2017), gdzie o tym piszę.

Sąd Okręgowy w Nowym Sączu ponownie musi teraz się zająć wnioskiem synalka „Ognia” o wypłacenie mu za tatusia bandytę 10 mln zł i najprawdopodobniej prokuratura to niemoralne żądanie będzie popierała. Gdyby Zbigniew Kuraś miał odrobinę honoru, powinien schować się pod ziemię i nie przychodzić do sądu. Powinien klęknąć i pomodlić się za ofiary swojego ojca.

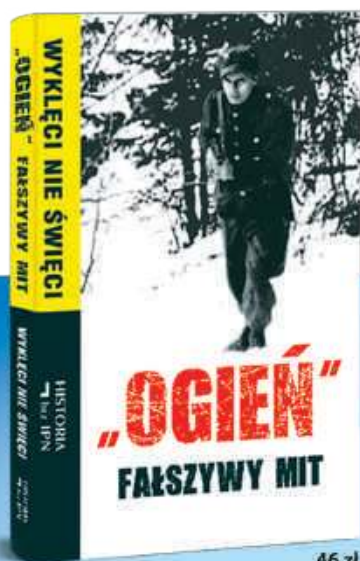
Leszek Konarski

„Ogień” rozkazał ludziom zlikwidować 13-letnią Marię Mroszczak i jej 10-letniego brata, ale nie zdążyli wykonać rozkazu, bo dowódca padł pijany na łóżko.

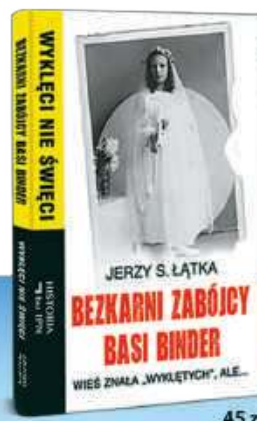
gdy strzelał do swoich ofiar. Przypuszczam, że tego dnia niewiele do niego dochodziło, bo był tak pijany, że nie był w stanie uciekać.

Dzień wcześniej „Ogień” i jego podwładni pili na umór w Waksmundzie, najwięcej wódki postawiła im rodzina Ligęzów. Po południu „Ogień” postanowił zamordować młodzieńką Rozalię Waksmundzką, bo podejrzewał, że jest odpowiedzialna za

Rozalia, u której akurat przebywał „Potrask”. Rozkazał swoim ludziom wyprowadzić przed dom dziewczynkę i jej 10-letniego brata i zlikwidować, ale nie zdążyli wykonać rozkazu, bo ich dowódca padł nieprzytomny na łóżko, z ręki wypadł mu pistolet, a z kieszeni granat. Nie mogli go ocucić, więc wzięli go za ręce i nogi, wrzucili na sanie i zawieźli do Ostrowska. Tam dalej



W PAKIECIE
TANIEJ – 150 zł



WYKLĘCI NIE ŚWIĘCI

**Morderstwa, gwałty i rabunki!
Zamiast prawdy gloryfikacja
„żołnierzy wyklętych”**



Książki PRZEGŁĄDU! www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Na kłopoty – Markiewicz

Prof. Teresa Walas obdarowała nas książką niezwykłą. Nie jest to wprawdzie dzieło jej autorstwa, a i zasługę jego powstania dzieli ona z opracowującym teksty Jackiem Błachem oraz wydawcą – krakowskim Towarzystwem Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”. Ale przecież to Teresa Walas dokonała wyboru tekstów, a więc nadała książce kształt, co znaczy, że ją w jakiś sposób – choć ściśle według zamierzeń autora – stworzyła. Powstały „Pisma ostatnie” – najlepsza książka Henryka Markiewicza.

Napisałem to zdanie i już chciałem je wycofać. Bo słowo to heretyckie i krzywdzące: Markiewicz był autorem bądź redaktorem (a jego redaktorstwo było często współautorstwem) setek książek i artykułów, powstających w ciągu 78 lat: od roku 1935 do ostatnich dni życia w roku 2013. O wymienianiu tych pozycji, nawet w największym skrócie, nie może być mowy nie tylko w felietonie – spuścizna Markiewicza jest praktycznie nie do objęcia. Powiedzmy więc jedynie, że ten mistrz kilku pokoleń polonistów, człowiek, o którym się mówiło, że „wie wszystko”, był także publicystą PRZEGLĄDU – dwa teksty z tych famów znalazły się w „Pismach ostatnich”. Choć oczywiście najważniejszą trybuną schyłku jego aktywności był „Wielogłos” – periodyk Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

A jednak – tak! Otrzymaliśmy najlepszą książkę Markiewicza. Najlepszą nie dlatego, by była lepsza od jego prac klasycznych, z pewnością ważniejszych, o wartości nieprzemijającej. Najlepszą – bo w swych poprzednich tekstach Markiewicz pozostawał na ogół poza omawianym dziełem, był spokojny, obiektywny, ważący raczej, rzetelny. Tu natomiast – przy wciąż trwającym obiektywizmie i niezmienniej rzetelności – odśladnia się jako człowiek walczący o sprawy zasadnicze i nadrzędne, a choć to odślonięcie nie stanowi niespodzianki, bo jego „utarczki i perswazje” były na ogół znane, to ich zgromadzenie w jednym tomie, ich stężenie, nabiera cech mieszaniny piorunującej.

Gdy czytałem te polemiki, piętnujące ignorancję i naukowy bełkot, zadziwiła mnie mądrość starości, ale i – rzekłbym – inwencja młodości, bo ileż to bezceremonialnej, młodzieńczej zaiste szarzy kryje się w (dokonanej przez 90-latkę) analizie „Fortepianu Szopena” Norwida! A nieraz też śmiałem się do łez, choć czasem były to łzy rozpacz wobec świadomości, do czego w humanistyce doszliśmy. Tymczasem najważniejsze przesłanie tej książki – to obrona (czy może ochrona) polonistycznego zawodu. To znaczy: obrona i ochrona statusu naszej dyscypliny badawczej. Gdyby jednak usiłował ktoś udowodniać, że Markiewicz broni spraw przegranych i przebrzmiałych oraz że nie nadąża za współczesnością, to będzie to prawda w tym tyl-

ko sensie, że istotą jego postawy życiowej była po prostu wierność sobie, a on i tak za wszystkim nadążał i wszystkie nowości czytał, a choć skarżył się czasem, że „nie rozumie”, to przecież rozumiał lepiej niż inni, bo z żelazną konsekwencją tropił nielogiczności, miałość i mielizny. W „Pismach ostatnich” robi zatem Markiewicz to, co zawsze: referuje, udostępnia, dyskutuje. Jeżeli zaś tyle tu gniewu i namietności, tyle gorzkości i zawodu, to dlatego, że w jego pojęciu zanegowano sam rdzeń, sam fundament uprawianej przez niego dyscypliny.

Jaki to rdzeń, jaki fundament? Rzetelność. Czyli: niezgoda na dowolność interpretacyjną. I służebność. Bo uprawianie polonistyki powinno być też służbą, powinno coś porządkować, coś czytelnikowi wyjaśniać. Tymczasem dziś – jakże często – odchodzi się od analizowanego tekstu w stronę indywidualnych dywagacji, stroni się od ujęć syntetycznych, oferuje sądy mętne, grzęźnie w przyczynkarstwie, niczego się nie wyjaśnia, niczego nie porządkuje. Czy działając w ten sposób, nie spowodujemy w pewnym momencie, że nasza dyscyplina badawcza okaże się społecznie

Uprawianie polonistyki powinno być też służbą, powinno coś porządkować, coś czytelnikowi wyjaśniać.

zbędna? Przed takim scenariuszem Henryk Markiewicz kilkakrotnie w książce przestrzega.

Ale przesłanie tego zbioru jest szersze niż tylko polonistyczne. Gdy bowiem w czasach „postprawdy” mówi się, że nie ma postawy obiektywnej, że „istnieją tylko narracje”... Gdy pseudonaukowości pleni się nawet w naukach przyrodniczych, w biologii (gdzie niekiedy odradza się kreacjonizm), w medycynie (gdzie tu i ówdzie podważa się wartość szczepionek), ba! w fizyce, jak to było widać przy okazji katastrofy smoleńskiej... O tego rodzaju zjawiskach Markiewicz nie pisze, komentator jednak ma prawo, a może i obowiązek, wyciągnąć własne, dalej idące wnioski. Jeżeli bowiem wezwanie, by z rzeczywistością „choć trochę się liczyć”, było zawsze dyrektywą poznawczą humanistyki, to dziś – w czasie dla niej coraz cięższym – staje się wręcz imperatywem moralnym.

Tak, w „Pismach ostatnich” pozostaje Markiewicz tym, kim był przez całe życie: Przewodnikiem. Waga zaś tego przewodnictwa dodatkowo jeszcze wzrasta, gdy weźmie się pod uwagę styl. Przy całej bowiem pryncypialności i bezwzględności polemik jakże ten styl jest elegancki, jakże szlachetny i rycerski. Oto Henryk Markiewicz: ostatni, co tak wodzi polonistycznego poloneza.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Choroba, czyli rewolucja w rodzinie

W kraju jest ok. 2 mln osób, które pełnią funkcję domowych opiekunów

Ewa Smolińska-Borecka

Maria Łabędź wstała jak zawsze o wpół do szóstej. Usiadła w kuchni, wypita kawę. Mama, Władysława, budzi się zwykle o ósmej. Maria zaniósła jej kawę do łóżka, usiadła obok, żeby jej potowarzyszyć i porozmawiać. Zwraca się do niej: „Mamciu” albo „Mamuś”. Głos ma spokojny. Uśmiecha się do mamy, a ona odwzajemnia ten uśmiech. Gdyby nie medyczne łóżko regulowane za pomocą pilota, może nikt by się nie domyślił, że Władysława jest poważnie chora. Z jej twarzy bije taka radość, jakby cieszyła ją każda minuta. Jest małomówna, ale jeśli już mówi, to okrasza zdania uśmiechem.

Łóżko stoi tak, żeby Władysława mogła obserwować balkon i okoliczne domy. Ten balkon to jedyny jej kontakt ze światem zewnętrznym. Poza telewizorem. Na wiosnę Maria sadi w skrzynkach różowe pelargonie. Dlaczego różowe? – Bo to ładny kolor, mój ulubiony – mówi Władysława. Dlatego regał na przybory medyczne, kosmetyki i środki higieny też jest w kolorze różowym i białym. Maria otwiera drzwi regału, żeby pochwalić się zawartością: tu jak żołnierze w szeregu poukładane pampersy, tam kosmetyki, pianki do mycia, maści, złożony materac przeciwdrobnoustrojowy. Władysława w sierpniu skończy 91 lat, a od ośmiu jest pod opieką córki. Osiem lat temu Maria właściwie z dnia na dzień porzuciła dotychczasowe życie i stała się domową opiekunką.

Porzuciła podróże

Mieszkanie w bloku, nie za duże. Maria tu się wychowała. Teraz mieszka z mamą. Jeszcze osiem lat temu



Maria Łabędź od ośmiu lat opiekuje się w domu mamą Władysławą.

mama mieszkała sama i dawała sobie radę. Kiedyś Maria zauważyła, że mama ma przepuklinę, ale ona za każdym razem machała ręką i mówiła, że to nic ważnego. Jednak ból stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Zatem wizyta u lekarza, szpital, poważna operacja, bo okazało się, że przepuklina to tylko jeden z problemów – jelita były zaatakowane przez nowotwór.

Kiedy Władysława opuszczała szpital, Maria dostała plik ulotek o prywatnych ośrodkach opiekuńczo-leczniczych i hospicjach, które zajmują się osobami przewlekle chorymi. Chyba dopiero wtedy tak dojmująco uświadomiła sobie, że mama nie wróci do stanu sprzed operacji i musi być pod stałą opieką. – Pacjenci i rodzina słyszą w takich przypadkach: „Medycyna nic więcej nie może zrobić” – mówi Maria. – Ale to nieprawda. Nie medycyna, lecz onkologia nic nie może zrobić. Ale jest jeszcze medycyna paliatywna. Ona może pomóc zatrzymać chorobę.

Wybór był taki: albo mama trafi do specjalistycznego ośrodka, albo Maria będzie się nią stale zajmować. Drugi wariant oznaczał, że zmieni drastycznie swoje życie. – Kiedy mamę przywieźli ze szpitala do domu, widziałam, że się ucieszyła – wspomina Maria. – Była u siebie! I wtedy pomyślałam, że będę przy niej trwać i opiekować się nią. Ale wieczorem, kiedy mama zasnęła, usiadłam przy stole w kuchni i rozplakałam się.

Koleżanki doradzały: „Pomyśl o sobie”, pytały: „Czy naprawdę powinnaś tak się poświęcać? Jak będzie wyglądało twoje życie?”. Nie chciała słuchać podszeptów, że nie powinna wszystkiego podporządkować mamie. Bardzo świadomie wybrała. Ona, miłośniczka podróży, miała od tego momentu ugrzęznąć w domu. Ponieważ perfekcyjnie zna język francuski, przez ponad 20 lat była pilotem wycieczek. I bardzo jej się podobał ten styl życia, że ciągle była w drodze. Nagle miało to się skończyć. – Ucięłam kontakty

z koleżankami, które przekonywały mnie, że powinnam myśleć o sobie – mówi Maria. – Żeby zarabiać, podejmowałam się tłumaczeń z języka francuskiego, udzielałam korepetycji.

Tuż po operacji mamy kolejny cios w rodzinę – okazało się, że brat Marii ma nowotwór trzustki. Wprowadził się do mamy, Maria otoczyła go opieką. Wspomina, jak często nawet w nocy oboje jednocześnie ją wołali: – Byłam wykończona. Staniałam się ze zmęczenia. Zrozumiałam, że bez

podkładałam go pod mamę i podciągałam ją na łóżku. Mama miała udar i teraz jest częściowo sparaliżowana. Kilka lat temu do posiłków siadała na brzegu łóżka, spuszczała nogi, samodzielnie jadła. Teraz muszę ją karmić. Mamciu, prawda, że my sobie damy radę? Rano mamę myję. Mam fantastyczną piankę, bez spłukiwania, specjalne chusteczki. Ale ja kocham wodę.

Pomoc hospicjum jest nieoceniona. Także w postaci pampersów czy

– Właściwie nie wyobrażam sobie, że mogłoby być inaczej. A przecież wiem, że będzie, nie ma cudów... Ilekroć jest jakaś okazja do składania sobie życzeń, mama mówi jedno zdanie: „Życzę ci, żebyś się mną opiekowała”.

Hospicjum społeczne

Są rodziny, które nie mają wyjścia. Kiedy pojawia się osoba ciężko lub nieuleczalnie chora, muszą skorzystać z instytucjonalnych form opieki, bo nie mogą sobie pozwolić na rezygnację z pracy zawodowej. Ci lepiej sytuowani decydują się na prywatną opiekunkę. Ale w wielu przypadkach chorym opiekuje się ktoś z rodziny: żona, mąż, córka, syn, wnuczek, siostra. Szacuje się, że w Polsce takich domowych opiekunów jest ok. 2 mln. Większość stała się opiekunami właściwie z dnia na dzień. Bo nagle ktoś z rodziny doznał udaru, miał wypadek albo ma raka w stadium zaawansowanym. Z danych zawartych w publikacji „Raport o dobrym umieraniu”, którą przygotowało Puckie Hospicjum pw. św. Ojca Pio, wynika, że 62% uczestników badania deklaruje, że woleliby być pod opieką rodziny, a nie placówek stacjonarnych, takich jak zakłady opiekuńczo-lecznicze czy hospicja.

Bycie opiekunem domowym to sytuacja bardzo stresująca. Często pod nawałem nowych obowiązków i z powodu permanentnego stresu

Maria właściwie z dnia na dzień porzuciła dotychczasowe życie i stała się opiekunką domową.

pomocy nie dam sobie rady. Brat po dwóch miesiącach zmarł. Ale opieka nad mamą też jest pracochłonna. Ona nie chodzi, nawet nie siedzi na wózku inwalidzkim. Właściwie całe życie spędza w łóżku. Potrzebna jest dodatkowa para rąk, kiedy trzeba ją umyć, przebrać, zmienić pościel.

Wtedy dowiedziała się o Warszawskim Hospicjum Społecznym. – Do tej pory hospicjum kojarzyło mi się z umieraniem, a okazało się, że jest bardzo pomocne takim osobom jak ja, które opiekują się chorym – tłumaczy Maria. Zgłosiła się z prośbą o wsparcie. Już następnego dnia przyszedł lekarz, a dzień później pielęgniarka. Od tamtego momentu pojawiają się regularnie. Lekarz przychodzi do Władysławy tak często, jak to jest potrzebne, a każda wizyta trwa nawet dwie-trzy godziny. Pielęgniarka jest co najmniej dwa razy w tygodniu. Pomaga Marii w czynnościach higienicznych. I tak już od prawie ośmiu lat.

Maria nauczyła się nowych dla niej czynności: jak dbać o to, by mama nie miała odleżyn, jak robić zastrzyki, jak wymieniać pampersy. – Oczywiście nie każda osoba, która opiekuje się chorym w rodzinie, potrafi tak go obsługiwać jak ja – wyjaśnia. – Są ludzie, dla których nawet rozmowa o fizjologii jest krępująca, a co dopiero wykonywanie zabiegów higienicznych.

Najlepiej wychodzą jej kluski z serem

Maria wyciąga z regału tzw. podkład. – To coś absolutnie genialnego. Proszę dotknąć, zobaczy pani, że jest z poślizgiem – mówi. – Ja

środków higieny. Z hospicjum Maria nieodpłatnie wypożyczyła łóżko medyczne. Każda oszczędność się liczy, bo w rodzinach, w których jest osoba chora, często brakuje pieniędzy.

– Osoby, które otrzymały od hospicjum pomoc w czasie choroby kogoś bliskiego, potem same chcą się odwdziżyć i angażują się jako wolontariuszki – wyjaśnia Maria. – Ja również zaangażowałam się w wolontariat w naszym hospicjum.

Na szczęście może mamę zostawić na krótki czas samą w domu. Gdy ona idzie do innych chorych, mama ogląda telewizję. – Najbardziej lubię seriale „Czterej pancerni i pies” i „Stawka większa niż życie” – wylicza Władysława. – Lubię też telewizyjnie „Familiadę” i filmy o świętych

Przyzwyczałam się do takiego życia, że mama leży, a wszystko kręci się wokół niej.

w Telewizji Trwam. Jak w telewizji jest coś ciekawego, to czasem w nocy oglądam.

Maria uśmiecha się, bo faktycznie mamie zdarza się zarwać część nocy z powodu telewizji. A potem trzeba przesunąć śniadanie, które zwykle jest przed dziewiątą: zazwyczaj jakaś kaszka na mleku i banan. Na obiad, który Maria podaje mamie około drugiej, dziś będą naleśniki. – Jak gotuje Maria? – powtarza pytanie Władysława. – Dobrze gotuje. Najbardziej lubię kluski z serem.

– Przyzwyczałam się do takiego życia, że mama leży, a wszystko kręci się wokół niej – mówi Maria.

opiekunowie popadają w problemy emocjonalne, nie potrafią się zregenerować, nawet świadomie unikają jakichś form relaksu, uważając, że to byłoby nie w porządku wobec chorego. To błędne podejście. Opiekun sam musi być w dobrej formie.

Kiedy rodzina nie daje sobie rady z opieką nad chorym, który wymaga opieki paliatywnej, może skorzystać z pomocy hospicjum domowego. W latach 80. jedynym takim hospicjum w Warszawie było Warszawskie Hospicjum Społeczne (wtedy Hospicjum Warszawskie), które działa od 1987 r. i ma siedzibę na Żoliborzu. Od tamtych lat wiele się zmieniło. ▶

Jak wesprzeć Warszawskie Hospicjum Społeczne

Na stronie internetowej hospicjum jest możliwość dokonania szybkiego przelewu. Można także wysłać zwykły przelew na konto:

70 1020 1026 0000 1602 0015 7099

dla przelewów z zagranicy:

PL 70 1020 1026 0000 1602 0015 7099
SWIFT BPKOPLPW

Jest również możliwość przekazania na rzecz hospicjum 1% podatku dochodowego. W rubryce **Numer KRS** należy wpisać **0000041113**, a w rubryce Wnioskowana kwota podać kwotę stanowiącą 1% podatku.

Płacący podatek od osób fizycznych mogą też przekazać darowiznę wynoszącą do 6% uzyskanego dochodu.

▶ Teraz w Warszawie i w innych miastach funkcjonują zarówno hospicja stacjonarne, jak i domowe. W Warszawie jest osiem hospicjów domowych i cztery stacjonarne.

W najtrudniejszej sytuacji są rodziny na wsi lub w małych miejscowościach. Mogą zabiegać o przyznanie pomocy pielęgniarek czy opiekunek z ośrodków pomocy społecznej. Dla zamożniejszych ta opieka będzie odpłatna w większym stopniu, dla uboższych – darmowa. Ale zdarza się, że ośrodek pomocy społecznej może do chorego skierować opiekunkę tylko raz w tygodniu na dwie godziny lub wycenia ją tak wysoko, że rodzina nie decyduje się na taki wydatek. Rodziny osób terminalnie chorych mogą się starać o pomoc z hospicjum domowego.

– Osoby terminalnie chore wolą być we własnym domu – twierdzi Bogumiła Olech, prezes Warszawskiego Hospicjum Społecznego. – Dlatego nie zakładaliśmy hospicjum stacjonarnego, ale domowe. Zmiana miejsca zamieszkania jest dla tych chorych traumatyczna, bo oznacza nowe warunki i nowych ludzi. Stacjonarne hospicja są wyjściem wtedy, gdy ze względów medycznych opieka w domu jest już niemożliwa.

Warszawskie Hospicjum Społeczne na początku opierało się wyłącznie na wolontariacie. Teraz lekarze i pielęgniarki prowadzą własną działalność gospodarczą i wystawiają hospicjum faktury. Lekarzy jest sześć (dwójka pracuje wolontaryjnie) pielęgniarek – pięć. Ponieważ praca jest trudna, a stawki nie należą do wysokich, chętnych nie ma zbyt dużo. W konsekwencji ograniczone są

także możliwości samego hospicjum, bo od liczby lekarzy i pielęgniarek zależy liczba podopiecznych. A zapotrzebowanie na pomoc hospicjum rośnie. – Zwykle pod opieką naszego hospicjum pozostaje 50-70 osób, a w ciągu roku opieką objętych jest ok. 200 chorych z lewobrzeżnej Warszawy – mówi prezes Bogumiła Olech. – Hospicjum utrzymują ludzie dobrej woli, nie korzysta z finansowania przez NFZ.

Jako organizacja pożytku publicznego zbiera również pieniądze z 1% podatku dochodowego. Na cele administracyjne otrzymuje też wsparcie z Urzędu m.st. Warszawy.

Koleżanki doradzały: „Pomyśl o sobie”, pytały: „Czy naprawdę powinnaś się tak poświęcać?”

– Lekarze rodzinni zajmują się osobami, które można wyleczyć, a nasimi takimi, których wyleczyć już się nie da – wyjaśnia pani prezes. – Nasi lekarze zajmują się medycyną paliatywną. Kiedy myślę o nich i o naszych pielęgniarkach, wiem, że to są ludzie przez duże L.

Czy zdarza się, że jakaś rodzina podejmuje decyzję o opiekowaniu się chorym, a potem rezygnuje, bo nie daje sobie rady? Prezes hospicjum mówi, że często rodziny potrzebują wsparcia i wtedy same docierają do hospicjum. Czasem otrzymują je od razu, czasem trzeba na miejsce poczekać. Obecnie coraz częściej bliscy, jeśli sami nie mogą podołać opiece, korzystają z pomocy opiekunek zatrudnianych prywatnie. – Teraz w Warszawie mniej

więcej w co czwartej rodzinie są opiekunki lub opiekunowie z Ukrainy – tłumaczy Bogumiła Olech. – Często to bardzo dzielne i życzliwe osoby.

Pani prezes zwraca uwagę, że pomoc hospicjum obejmuje nie tylko opiekę lekarzy, pielęgniarek i wolontariuszy, nie tylko nieodpłatne użyczenie sprzętu niezbędnego choremu, ale także w razie konieczności wsparcie finansowe dla rodzin, które nie są w stanie sfinansować zwiększonych kosztów utrzymania chorego.

– Przed laty, a nasze hospicjum funkcjonuje już ponad 37 lat, pacjentki, którzy do nas trafiali, żyli po kilka tygodni, teraz nawet wiele lat – mówi. – Dla nich jest ważne, żeby w chorobie mogli pozostać sobą. W lecznicy lub hospicjum stacjonarnym są jedynie pacjentami, obiektami procedur. W domu czują się nadal członkami rodziny. Łatwiej też osiągnąć to, co jest wtedy bardzo istotne dla chorych – żeby do końca czuli się kochani.

Pielęgniarki, które przychodzą do domów, uczą opiekunów rodzinnych, jak zajmować się chorym. Dwa razy do roku w Warszawie organizowane są kursy dla opiekunów. Na rynku można znaleźć książki, które uczą, jak opiekować się chorym. Ale także

szerzej omawiają temat opieki nad osobą terminalnie chorą, jak ostatnio opublikowana „Integralna troska o chorego u kresu życia”.

Niedawno powstał portal Blisko-chorego.pl skierowany do opiekunów domowych, prowadzony przez Puckie Hospicjum pw. św. Ojca Pio. Tam można znaleźć artykuły przygotowane przez różnych specjalistów, które nie tylko dotyczą pomocy w opiece nad chorym, ale także stanowią wsparcie dla opiekuna, który nierzadko nie może się odnaleźć w nowej dla siebie sytuacji i w konsekwencji odczuwa frustrację, wypalenie. Warto po taką pomoc online sięgnąć.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Być może najbardziej wskazanym działaniem w ocenie politycznych przedsięwzięć jest zarówno umiejętność ostrej i bezkompromisowej oceny, jak i nabywanie dystansu, próba oglądu na chłodno, *sine ira et studio*. I, co przykre, bo nie pozwala na trwałą, jasną, jednoznaczną konstatację, na owo słynne Jezusowe „Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie”, każda władza, która nie jest masowo mordercza albo skrajnie potężna – bo imperium daje złudne przyzwolenie na więcej przemocy i w ogromie doświadczeń łatwiej im się ukryć – buduje złudny balans między posunięciami akceptowalnymi i zasługującymi na pochwałę a absolutnie nieakceptowalnymi. Będąc krytykiem wielu działań formacji rządzącej, nie można nie dostrzec, że przy wielości decyzji niemożliwych do przyjęcia (lista jest naprawdę długa, a niemal każdy

Polska należy do niechlubnych liderów europejskich w liczbie wypadków na zebrach. Wiadomo to od dawna. „W Polsce mamy 30 ofiar śmiertelnych wśród pieszych na milion mieszkańców. W Szwecji czy Holandii jest ich dziesięciokrotnie mniej”, informował Jacek Grunt-Mejer, psycholog transportu z Uniwersytetu Warszawskiego. I nie dało się wcześniej zmienić przepisów, mimo olbrzymiego wysiłku społeczników, ruchów miejskich.

Jeszcze kilka lat temu niewiele brakowało, żeby podobne przepisy uchwaliła inna siła polityczna niż PiS. Warto przypomnieć niechlubną rolę, jaką odegrał wówczas, w roku 2015, senator Platformy Obywatelskiej Aleksander Pocię, który – jak pisano – „w kilka sekund zniweczył lata pracy” tysięcy osób domagających się zmiany przepisów. Sam projekt był autorstwa innych polityków jego formacji,

PiS chwalić i zarazem *****

dzień przynosi nowe akcenty czy walnięcia młotem) równocześnie, nie wiadomo właściwie jakim prawem, formacja ta podejmuje działania długofalowe zasługujące na niemal absolutną akceptację. Są to często decyzje o małym co niepodjęte przez poprzedników (i być może takie „naprawianie” jest głównym czynnikiem sprawczym), a dzisiaj możliwe do wprowadzenia. Oczywiście zupełnie innym zagadnieniem jest spójność tych decyzji z innymi i z ogólną filozofią polityczną obecnej władzy. Właściwie największą trudność sprawia mi zrozumienie, dlaczego nie mogli tego zrobić poprzednicy.

Wspomnę o dwóch przykładach, choć jednym, świeższym, zajmę się obszerniej. Jedną kwestią jest prosta regulacja pozwalająca (głównie policji) na natychmiastowe odseparowanie sprawcy przemocy domowej od jego ofiar, tak że to ofiary zostają w swoim mieszkaniu, a oprawca musi się usunąć nie po wielomiesięcznych lub trwających latami postępowaniach sądowych, tylko natychmiast. Jest to decyzja całkowicie sprzeczna ze spójną wizją ideologiczną polskiej tzw. prawicy, lekceważącej skalę przemocy domowej, przygotowującej się do wypowiedzenia konwencji stambulskiej, malwersującej na rzecz działań partyjnych środki przeznaczone na pomoc ofiarom przemocy. I ta władza dokonuje takiej zmiany w prawie, co natychmiast zaczyna funkcjonować. Im bardziej niepojęte, tym bardziej dudni pytanie, dlaczego to nie stało się wcześniej.

W ostatnich dniach uchwalono nowe przepisy chroniące pieszych na przejściach drogowych. Sejm uchwalił, Senat nie uwalił, „Długopis” grzecznie (tu bez zaskoczenia) podpisał, za kilka miesięcy wejdą w życie nowe reguły bezpieczniejszego, bo uprzywilejowanego, statusu pieszych. Będą oni mieli pierwszeństwo już w momencie wchodzenia na przejście, a nie dopiero będąc na pasach.

referowała go posłanka Beata Bublewicz, córka jednego z najlepszych polskich kierowców rajdowych. Przy okazji tamtego blamażu senatora Pocię (cóż, nie da się dowieść, ilu ofiar śmiertelnych udałooby się uniknąć przez te ponad pięć lat, choć eksperci są przekonani, że ta zależność istnieje bezwzględnie) warto przypomnieć, że Europa traktuje prawa pieszych inaczej. Zdecydowana większość krajów unijnych daje pierwszeństwo przechodniom zbliżającym się do przejścia (Niemcy, Holandia, Dania, Austria, Czechy i Bułgaria). We Francji czy w Norwegii kierowcy muszą ustąpić pieszym nawet wtedy, gdy nie wiadomo, czy chcą przejść przez ulicę. Ale senator Pocię (nie był sam – wsparł go Senat) wiedział lepiej; zgłaszając swoją poprawkę do ustawy, faktycznie anihilował przepis o prawach pieszych.

W głosowaniu nad obecnymi zmianami w prawie o ruchu drogowym tylko czterech senatorów było przeciw. Dwóch z Platformy, m.in. były prezes klubu żużlowego ZKŻ Zielona Góra, który uważa, że na drogach wszystko jest w porządku i niczego nie trzeba zmieniać, bo on to widzi, kiedy jeździ autem, oraz dwóch z PiS, w tym Jerzy Czerwiński, który popisał się bon motami: „pieszy jest element obcym na jezdni” oraz „pieszy ma krótszą drogę hamowania”.

Senator Pocię (a jakże, znowu, nienaruszalny kolejną kadencję) nie wziął udziału w głosowaniu. Chciałbym, żeby to było kiedyś karalne. Albo prościej – znieść Senat.

Co tu dużo mówić, bravo PiS. To decyzja na lata ratująca ludzkie życie. Teraz tylko wystarczy przesunąć policjantów zakłócających masowo pokojowe protesty do pracy nad wdrożeniem i egzekwowaniem tych przepisów, a życie i zdrowie wielu ludzi na polskich przejściach dla pieszych da się uratować.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Praca 50+?

Najlepiej mieć dyplom i nie być kobietą

Kobiety po pięćdziesiątce nie powinny być traktowane jako prawie emerytki, w które nie warto inwestować

Rozmawia Anna Brzeska

W jaki sposób wspiera się dziś osoby 50+ na rynku pracy? W sieci nie znalazłam zbyt wielu informacji na temat aktualnych programów dla tej grupy, głównie strony o programach realizowanych do 2014 r. – choćby rządowy program „Aktywizacja zawodowa osób 50+”.

– Kontynuacją polityki aktywizacyjnej był realizowany w latach 2014-2020 program ASOS (Rządowy Program na rzecz Aktywności Społecznej Osób Starszych). Polegał on na dofinansowaniu działań aktywizujących osoby starsze w różnych dziedzinach życia społecznego, rozumianego szerzej niż tylko jako aktywność zawodowa. Wśród celów programu była poprawa m.in. oferty edukacyjnej skierowanej do tej grupy, w tym rozwoju kompetencji cyfrowych. Jednak ze względu na relatywnie niewielkie środki przeznaczone na takie działania oraz fakt, że kierowane są do osób po 60. roku życia, wydaje się, że ASOS nie miał dużego przełożenia na obserwowany w danych wzrost aktywności zawodowej osób 50+.

W tym roku ASOS został zastąpiony programem na rzecz osób starszych Aktywni+, rozpisany na lata 2021-2025. Podobnie jak ASOS ma zwiększyć aktywność seniorów w różnych obszarach.

Z danych z 2019 r. wynika, że od co najmniej 2008 r. w grupie 50+ następował wzrost zatrudnienia. Czy ten trend się utrzymuje?

– Tak, od kilku lat rośnie nam wskaźnik zatrudnienia, czyli udział

pracujących, w grupie w wieku 50-64 lata. Ten wzrost w Polsce dotyczy jednak w większym stopniu mężczyzn niż kobiet. Jeśli chodzi o kobiety, w UE wskaźnik ten wynosi ok. 60%, w Polsce – 50%. Natomiast w przypadku mężczyzn różnica między nami a Europą wynosi tylko 6 pkt proc. (73% w porównaniu z 67%).

Jeszcze większe różnice widać w przypadku osób gorzej wykształconych. O ile w 2019 r. w grupie osób z wyższym wykształceniem w wieku 50-64 lata wskaźnik zatrudnienia u nas był niemal taki sam jak w UE, o tyle w grupie z wykształceniem podstawowym czy niepełnym podstawowym różnica między Polakami a przeciętnym Europejczykiem

Pandemia wypycha osoby starsze z rynku pracy w jeszcze inny sposób – poprzez konieczność izolowania się.

wynosiła 11 pkt proc. dla mężczyzn i aż 15 pkt proc. dla kobiet. Czyli mamy problem z zatrudnieniem osób starszych o niższych kwalifikacjach, zwłaszcza jeśli są kobietami. Te osoby częściej są zwalniane – i częściej same odchodzą z rynku pracy. Jeśli nie mogą jeszcze odejść na emeryturę, przechodzą na jej substytuty, np. rentę z tytułu niezdolności do pracy, zasiłek przedemerytalny lub, po utracie pracy, na bezrobocie.

Pandemia mogła pogorszyć sytuację.

– W większości krajów widać, że na razie ucierpiały przede wszystkim osoby młode. W przypadku starszych efekt pogorszenia się sytuacji na rynku pracy może być po prostu



**DR HAB. ANNA
RUZIK-SIERDZIŃSKA**

– Kolegium Analiz Ekonomicznych SGH

odsunięty w czasie – gdy kryzys przesunie się na inne branże. Poza tym pandemia wypycha osoby starsze z rynku pracy w jeszcze inny sposób – poprzez konieczność izolowania się. Szczególnie dotyka to osoby wykonujące zawody związane ze spotykaniem się z dużą grupą ludzi, a więc np. nauczycieli. Ale w jaki sposób pandemia ogólnie wpłynęła na sytuację zawodową grupy 50+, będzie można porozmawiać za rok czy dwa.

Jakie czynniki powodują, że osoby starsze mają problemy z utrzymaniem pracy lub znalezieniem zatrudnienia?

– Takich czynników społeczno-ekonomicznych jest kilka. Na niższy wskaźnik zatrudnienia polskich kobiet na pewno wpływa niższy wiek emerytalny – duża część przechodzi na emeryturę po osiągnięciu 60. roku życia. W dodatku obowiązujący u nas minimalny wiek dostępu do emerytury jest znacznie niższy niż w innych krajach europejskich – prawie nigdzie w Europie nie wynosi on dla kobiet 60 lat i z reguły nie jest zróżnicowany ze względu na płeć.

W jaki sposób wiek emerytalny może wpływać również na szybsze

odchodzenie z rynku pracy kobiet przed sześćdziesiątką?

– W taki, że gdyby był on wyższy, kobiety mające np. 58-59 lat miałyby w perspektywie co najmniej kilka lat pracy, a nie rok czy dwa. To zaś oznaczałoby częstsze korzystanie z możliwości doszkalania się w potrzebnym im zakresie, a w przypadku utraty zatrudnienia aktywne poszukiwanie pracy. Teraz jest tak, że kobiety w tym wieku, mogące za rok uzyskać emeryturę, mają znacznie mniejszą motywację do szukania pracy czy podnoszenia swoich kwalifikacji.

Wróćmy do innych czynników.

– Drugą sprawą jest problem ze wspieraniem rodzin w opiece nad ich niepełnosprawnymi lub starszymi członkami. Bywa tak, że jeśli małżonek czy rodzic wymaga opieki długotrwałej, to głównie kobiety idą na wcześniejszą emeryturę, by się nim opiekować – niestety kosztem rezygnacji z własnej aktywności zawodowej.

Do tego dochodzi często konieczność zajęcia się wnukami.

– Tak, ale obserwujemy większy problem z brakiem wsparcia w opiece nad bliskimi w podeszłym wieku lub niepełnosprawnymi. W Polsce wciąż stosunkowo rzadko trafiają oni do opieki instytucjonalnej – ta jest trudno dostępna lub droga, podobnie jak usługi opiekuńcze w domach. Co gorsza, rodzinny opiekun – a najczęściej opiekunka – dorosłej osoby nie może pracować zawodowo, jeśli chce mieć prawo do różnych świadczeń opiekuńczych. Planowane zmiany w przepisach zezwalające na pracę zawodową bez utraty świadczeń mają dotyczyć jedynie opiekunów dzieci z niepełnosprawnością, nie zaś dorosłych.

Ważną barierą dla osób starszych na rynku pracy jest też brak udziału w kształceniu ustawicznym – i nie chodzi tu już nawet o nabywanie nowych umiejętności, ale choćby o aktualizowanie posiadanej wiedzy. To nie jest zresztą problem wyłącznie osób starszych – choć u nich jest szczególnie palący – ale w ogóle Polaków. Gdy już kończymy formalną edukację i wchodzimy na rynek pracy, rzadko się doksztalcamy – często robią to tylko osoby z wyższym wykształceniem, przeważnie pracujące w branżach, gdzie trzeba być na bieżąco np. ze zmianami przepisów albo

nowymi technologiami. Myślę, że ogólnie mamy problem ze zrozumieniem, że powinniśmy się kształcić, douczać i zdobywać nowe kompetencje przez całe życie zawodowe – bo ten proces trzeba zacząć znacznie wcześniej niż po pięćdziesiątce. Jeśli zaczynamy doszkalanie się dopiero w tym wieku, tym bardziej może to być dla nas trudne.

Dlaczego mamy z tym problem?

To kwestia braku pieniędzy na szkolenia?

– Jak wynika z badania Instytutu Badań Edukacyjnych sprzed kilku lat, przeszkodą w doksztalcaniu się jest brak nie tylko środków, ale i czasu – to z kolei widać szczególnie u osób młodszych. Mają bowiem na co dzień tyle obowiązków, że problemem może być samo znalezienie paru godzin na kurs. I tu dochodzi następna przeszkoda dla niektórych – brak możliwości dotarcia na szkolenie w większym mieście, jeśli ktoś mieszka poza nim. To już jednak inny duży temat.

Obowiązujący u nas minimalny wiek dostępu do emerytury jest znacznie niższy niż w innych krajach Europy.

Wykluczenie komunikacyjne.

– Tak.

Co jeszcze przeszkadza osobom 50+ w utrzymaniu czy pozyskaniu pracy?

– Sprawdzano w różnych badaniach, czy kolejnym czynnikiem może być stan zdrowia Polaków. I okazuje się, że nawet w porównaniu z krajami o podobnym poziomie rozwoju i zdrowotności populacji – np. Węgrami i Czechami – Polacy odchodzą z rynku pracy wcześniej. Profilaktyka zdrowotna jest zaś na pewno ważnym elementem wpływającym na skuteczność polityki utrzymania na rynku pracy osób po pięćdziesiątce. Choroby przewlekłe lub niepełnosprawność, pojawiające się zwłaszcza w starszym wieku, także często wykluczają z rynku pracy. To przez nie pracownicy odchodzą na rentę czy stają się bierni zawodowo w inny sposób. Może gdybyśmy mieli programy profilaktyczne zobowiązujące osoby 50+ do bilansu stanu zdrowia, wcześniej wychwytywano by różne dolegliwości, dzięki czemu dana osoba podejmowałaby leczenie bądź rehabilitację i nie wypadła z rynku pracy. Niestety, wielu z nas

idzie do lekarza dopiero wtedy, gdy jest już bardzo źle. Problem ten dotyczy w pierwszym rzędzie mężczyzn.

Pewną nadzieją na polepszenie sytuacji zdrowotnej w przyszłości jest program Profilaktyka+, skierowany do osób w wieku 40-65 lat, który z opóźnieniem ma ruszyć w tym roku.

Jakich kompetencji najczęściej brakuje osobom w wieku 50+?

– Z Międzynarodowego Badania Kompetencji Osób Dorosłych PIAAC wynika, że część dorosłych Polaków ma np. problem z rozumieniem czytanego tekstu. To powoduje, że trudno nam się uczyć nowych sposobów pracy czy nowych technologii. Natomiast starsze pokolenie radzi sobie słabiej głównie z wykorzystywaniem technologii informacyjno-komunikacyjnych. Jednak tu ciekawostka pochodząca z europejskiego badania SHARE (Badanie Zdrowia, Starzenia się Populacji i Procesów Emerytalnych) – pandemia sprawiła, że znacznie więcej seniorów używa

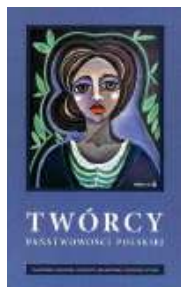
internetu w codziennym życiu – po prostu musieli się nauczyć kontaktować choćby z różnymi instytucjami, do których wcześniej mogli pójść osobiście.

Co natomiast wynika z badań, jeśli chodzi o elastyczność w pracy, czyli np. dostosowywanie się do nowej struktury organizacyjnej w firmie?

– Nie można generalizować, że to dotyczy wyłącznie starszych osób. Zresztą tego typu problemy w ich przypadku wynikają często właśnie z ageizmu, czyli dyskryminacji ze względu na wiek. Zdarza się więc, że to pracodawca nie wysyła pracownika na jakiś dodatkowy kurs, bo on lub współpracownicy z góry stwierdzają, że ten czegoś nie będzie w stanie się nauczyć – albo będzie to proces znacznie wolniejszy.

Problemem jest również postrzeganie pracownika przez pryzmat tego, jakiej „stopy zwrotu” z inwestycji w jego szkolenie można oczekiwać. Pracodawca, który wie, że pracownik w ciągu kilku lat przejdzie na emeryturę, jest mniej skłonny w niego inwestować, awansować go, wysyłać na szkolenia, bo okres pracy po ▶

**Twórcy Państwowości Polskiej
Daszyński, Dmowski, Korfanty,
Paderewski, Piłsudski, Witos**



W tej obszernej książce znalazły się artykuły biograficzne, poświęcone tytułowemu mężom stanu, przygotowane przez znanych historyków, m.in. profesorów Michała Słiwę, Wiesława Jana Wysokiego i Mariana Marka Drozdowskiego.

**Świadomość. Patriotyzm. Pamięć
Plakaty ze zbiorów Muzeum
Niepodległości w Warszawie**



W muzealnej kolekcji plakatów znajdują się wydawnictwa propagandowe z 1920 r., powstałe przede wszystkim na potrzeby obrony młodego jeszcze państwa. Zebrane w niniejszym katalogu dają inne spojrzenie na tamte czasy.

Hallerczycy

Bogato ilustrowany informator towarzyszył wystawie „Generał Haller i jego żołnierze”, na której zgromadzono



nierzadko unikatowe materiały, zdjęcia powstałe w okresie I wojny światowej, a także ukazujące generała po roku 1945, na emigracji.

**Cytadela Warszawska
w 1920 roku**



Publikacja wydana w ramach obchodów stulecia Bitwy Warszawskiej, która rozegrała się na przedpolach miastach, ale stolica i tutejsza cytadela odegrały w niej ważną rolę. Książka pozwala spojrzeć na to miejsce w szerszym kontekście.

Redaktorem powyższych publikacji jest Tadeusz Skoczek (ostatniej wraz z Jolantą Załęczny), a dostępne są one w księgarni internetowej ksiegarnia.muzeum-niepodleglosci.pl

podniesieniu kwalifikacji będzie w jego przypadku krótszy.

I jeszcze jedno – błędy w obszarze zarządzania zwanym *age management*. Chodzi o to, że trochę inaczej należy zarządzać młodym zespołem, inaczej mieszanym, a inaczej takim, gdzie są głównie osoby starsze. Sytuacja osób 50+ w danej firmie zależy więc też od umiejętności osoby zarządzającej.

Jak ocenia pani działania rządu na rzecz najbardziej poszkodowanej grupy, kobiet 50+? Obecna tzw. polityka prorodzinna – nawiązująca często do tradycyjnego modelu – z góry zakłada, że ta grupa może pozostać zawodowo nieaktywna.

– Rzeczywiście, przypisuje się kobietom zadania opiekuńcze. Widoczne jest to choćby we wspomnianej już kwestii niższego wieku emerytalnego, będącego przecież formą dyskryminacji kobiet – wbrew temu, co twierdzą niektórzy, że to mężczyźni są tu dyskryminowani, bo muszą dłużej pracować. Ta „prorodzinna” polityka zakłada jednak głównie to, że rodzina – a najczęściej kobiety – musi sobie po prostu „jakoś poradzić” z kwestiami opieki nad bliskimi. Poztywnie ocenić możemy natomiast przede wszystkim chęć poprawienia profilaktyki zdrowotnej – choć chwilowo te plany opóźniła pandemia.

Poprzedni rząd robił więcej dla osób 50+?

– Wydaje się, że przed 2015 r. rozwój polityki na rzecz aktywizacji osób starszych był wspierany przez działania Unii Europejskiej. Rok 2012 ogłoszono Europejskim Rokiem Aktywności Osób Starszych i Solidarności Międzypokoleniowej. I rzeczywiście, od tamtego momentu dyskusja o tym, jak prowadzić politykę aktywizacyjną, trochę przyspieszyła. To wtedy zaczęto wprowadzać różne programy, np. wspomniany ASOS. Powstawały różne gremia dyskutujące o tym, czy ta polityka powinna być skierowana przede wszystkim na zatrzymywanie ludzi na rynku pracy – co przy obecnych zmianach demograficznych jest oczywiście słuszne – czy ma być postrzegana szerzej i polegać też na angażowaniu osób starszych w wolontariat, uniwersytety trzeciego wieku i różne inne aktywności pozazawodowe.

Program wtedy zapoczątkowany zaowocował kolejnymi działaniami,

ale w ostatnich latach nic nowego osobom 50+ nie zaproponowano. Różni wskaźnik zatrudnienia – mimo obniżenia wieku emerytalnego zarówno kobiet, jak i mężczyzn – ale ten trend obserwowano we wszystkich krajach UE do 2020 r. Był on możliwy głównie ze względu na wzrostową fazę cyklu koniunkturalnego.

Co najlepiej się sprawdza, jeśli chodzi o programy aktywizacyjne?

– Szłabym w stronę zwrócenia uwagi na kwalifikacje i umiejętności osób starszych. Najważniejsze jest to, czy ci pracownicy mają pewne kompetencje, czy umieją je przedstawić na rozmowie kwalifikacyjnej, czy są skłonni do doszkalania się – same szkolenia zaś powinny być dopasowane do danej grupy. Zresztą nie wszędzie będzie pasowała ta sama polityka aktywizacyjna. Musi ona wyglądać inaczej w tych regionach, gdzie jest dostępna praca głównie dla osób z podstawowymi umiejętnościami, a inaczej w dużym mieście, gdzie pracodawców jest wielu i można szukać zatrudnienia w innej branży, niż dotychczas się pracowało.

Ważne są poza tym otoczenie infrastrukturalne i odpowiednie przepisy. Nie chodzi jednak o to, by dopłacać pracodawcom do miejsc pracy dla osób starszych – bo co, jeśli dofinansowanie się skończy i pracodawca zacznie rozważać zwolnienie takiej osoby? – ale by np. stworzyć możliwość elastycznego przechodzenia na emeryturę, czyli łączenia pracy na część etatu z pobieraniem części emerytury. Korzystnie zadziałałoby też podwyższenie wieku emerytalnego, by kobiety po pięćdziesiątce nie były traktowane jako prawie emerytki, w które nie warto inwestować.

Czyli doszkoleni pracownicy, których się nie dyskryminuje, sami się obronią – i nie trzeba nikomu dopłacać za ich zatrudnianie?

– Tak, szybciej znajdą pracę albo nie będą zwalniani. Warto również zwrócić uwagę na to, że dziś sytuacja osób z dyplomem uczelni jest o wiele lepsza, nawet w tej grupie wiekowej. Biorąc pod uwagę to, że kolejne pokolenia są coraz lepiej wykształcone, można się spodziewać, że ich przedstawiciele będą w wieku 60+ w innej sytuacji niż obecni seniorzy.

Anna Brzeska
a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Osobliwość

Zostałem zaszczepiony, ma to szczepienie coś z aktu religijnego, niemal jak przyjęcie komunii świętej. Jechałem potem do domu wyciszony wewnątrz, modląc się do nauki.

Zjednoczona Prawica gnije i się kłóci, ale to jeszcze potrwa, zanim się rozpadnie, za wiele ci ludzie mają do stracenia, tak zawsze jest w mafii. Z niepokojem myślę o opozycji, nic a nic nie wierzę w jej polityczny spryt. A będzie miała bardzo trudną sytuację. Jak oczyścić te stajnie Augiasza? Na zdrowy rozum nie opłaca się opozycji przejmować od PiS władzy w tak trudny czas, nawet jeśli będzie okazja, lepiej poczekać, ale przecież pozwalać mu dalej rządzić to przestępstwo. A PiS wprowadza takie zmiany w prawie, jakby miało rządzić przez wieki. To odruch każdej autorytarnej władzy. Nie bierze pod uwagę, że rządy odda, nawet kiedy jest oczywiste, że prędzej czy później do tego dojdzie. A wtedy te wszystkie dyktatorskie ustawy posłużą nowej władzy, już demokratycznej, skorej, by poprzedników ukarać za różne niegodziwości, które się dokonały za ich rządów. Tu jest jakaś niekonsekwencja i brak przezorności, ale to odruch drapieżnika, taka jego natura.

Prof. Jerzy Limon nie żyje, zmarł na covid, był moim równolatkiem. Pisarz, twórca i dyrektor Teatru Szekspirowskiego w Gdańsku, pamiętam, jak marzył o budowie tego teatru, spotkał się ze mną w 1996 r., myślał, że dzięki szwedzkim koneksjom będę mógł mu jakoś pomóc. Nie mogłem. Przypominał angielskiego dżentelmena, błyszczał inteligencją i piękną mową. Jak nudny i płaski byłby świat bez ludzi z pasją.

Główne wydanie „Wiadomości” TVP w pewien czwartek rozpoczęło się cztery minuty wcześniej. W ten sposób telewizja publiczna chciała uniknąć pokazania w porze największej oglądalności planszy z przeprosinami dla dziennikarza TVN Bertolda Kittela. Liczono na to, że widzowie zaczynają oglądać „Wiadomości” punktualnie. Tak to jest, gdy totalitaryzm musi współżyć z demokracją, totalitarna instytucja zetknęła się oto z demokratycznym mechanizmem i z wyrokiem jeszcze wolnego sądu. Doszło więc do osobliwości. Co jakiś czas tak się zdarza. Taka sytuacja jednak nie może trwać zbyt długo.

Kilkunastoletnia już zapaść wyborcza polskiej lewicy. I to przy takim Kościele katolickim, który widzi kobietę w kuchni, z surowym zakazem aborcji, w kraju, gdzie sporo ludzi żyje poniżej granicy ubóstwa. W kraju w końcu zatrutym smogiem, z dramatem w edukacji, lewica jest

w ogniu poparcia społecznego. A patrząc na społeczny stan rzeczy, powinna mieć ok. 30% poparcia. I to nie jest tylko kwestia komunistycznych korzeni, to moim zdaniem przestało być już ważne, nawet ja patrzę na Czarastego przyjaznym okiem, a kilka lat temu patrzyłem inaczej. To zdaje się nieumiejętność artykulacji postulatów, brak polityków z charyzmą. I część potencjalnych wyborców lewicy wpadła w sieci PiS.

Czytam, a może bardziej na razie przeglądam, bo to potężna książka, „Ludową historię Polski” Adama Leszczyńskiego. Lud, chłop polscy, a potem też robotnicy, to przecież do niedawna była przygniatająca większość społeczeństwa. Ich status, szczególnie chłopów, był podobny do tego niewolników. To chyba pierwsza taka kompleksowa praca na ten temat, naukowa, a zarazem popularna historia zniewolenia. Bez tej przeszłości nie da się zrozumieć zwycięstwa PiS ani tego, że ta partia tak długo utrzymuje się przy władzy. Poniżenie i upokorzenie wiekami niewoli zostawiło potężne blizny i chęć odegrania się na panach, symbolizując ich teraz mieszkańcy dużych miast i elity.

Poniżenie i upokorzenie wiekami niewoli zostawiło potężne blizny i chęć odegrania się na panach.

Przed laty zbierałem relacje przybywających do Rzeczypospolitej w dawnych wiekach podróżnych z Zachodu. Prawie wszyscy byli zaszokowani powszechnym brudem, niechlujstwem, zaniedbaniem i nędzą polskiego ludu. I skalą pijaństwa. Leszczyński cytuje setki rozmaitych relacji, ale widzę, że nie dotarł do reportaży z Polski genialnego niemieckiego poety romantycznego Heinricha Heinego: „Najsmutniejszy obraz przedstawiają wsie polskie. (...) Spotkać można chłop polskiego zdążającego w niedzielę do miasta, żeby załatwić tam trzy sprawy: po pierwsze, ogolić się, po wtóre, wysłuchać mszy i po trzecie, upić się na umór”. Inny podróżny, Harro Paul Harring, zwiedzał kraj tuż przed powstaniem listopadowym: „Polak nie posiada zrozumienia dla czystości i porządku. Ten charakterystyczny rys potwierdza się w tysiącu szczegółów u wszystkich, od żebraka począwszy, na księciu skończywszy”. Zbierałem te relacje kilkadziesiąt lat temu, widzę swoje dopiski, notowałem, że to wszystko dzisiaj aktualne. A teraz zwykłe mogę dopisać, że już nieaktualne lub prawie nieaktualne. Nastąpiła więc jednak niemal rewolucyjna zmiana na polskiej wsi. Ale dawne czasy nadal rzucają cień. I rządzą wieloma emocjami.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Lech Mazewski

Timothy Garton Ash oceniał, że na przełomie lat 1980-1981 „sytuacja w Polsce mogła być i była porównywana do sytuacji w Rosji w lecie 1917 r. Wówczas »sowiety« wyrażały obok Rządu Tymczasowego Kiereńskiego, tworząc to, co Trocki nazwał »dwuwładzą«. Wtedy Solidarność rozrastała się obok rządów Kania wspieranego przez Związek Radziecki”. W takich okolicznościach doszło w marcu 1981 r. do konfliktu bydgoskiego, którego geneza pozostaje do dziś niezbyt czytelna.

Niejasny przebieg incydentu

16 marca grupa rolników z Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych Solidarność rozpoczęła okupację budynku władz wojewódzkich Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, żądając m.in. rejestracji ich związku. Następnego dnia ogłoszono przekształcenie się komitetu strajkowego w Ogólnopolski Komitet Strajkowy NSZZ RI Solidarność. Swoje postulaty strajkujący chcieli przedstawić na sesji wojewódzkiej rady narodowej 19 marca. Dzień wcześniej

Rola Rulewskiego w konflikcie bydgoskim była niejasna.

MKZ NSZZ Solidarność rozesłał do 55 największych zakładów pracy tego regionu telexy: „Zapraszamy członków NSZZ Solidarność ze wszystkich zakładów pracy regionu bydgoskiego na jutro, tj. 19 marca 1981 r. w godzinach 14.00-15.00, do gmachu Urzędu Wojewódzkiego w Bydgoszczy na sesję WRN”. Przybyło na nią nie sześć osób, jak wcześniej ustalono, ale ok. 30 z Janem Rulewskim, przewodniczącym regionu Solidarność. W czasie sesji padł wniosek o przerwaniu debaty nad jednym z punktów obrad. Przewodniczący WRN potraktował to jako wniosek o przerwanie obrad w ogóle i taki wniosek uchwalono. Oznaczało to, że Rulewski nie będzie mógł zabrać głosu, co było przewidziane na końcu, w punkcie wolne wnioski. W tym samym czasie na zewnątrz budynku zaczęli się zbierać członkowie związku. Mimo zamknięcia sesji w sali obrad pozostała

grupa radnych i przedstawiciele MKZ. Ci ostatni – według niektórych świadków – rozpoczęli przygotowania do strajku okupacyjnego. Przez cały czas radni i związkowcy pisali wspólny komunikat. W tym czasie przedstawiciele władz wojewódzkich próbowali nakłonić protestujących do opuszczenia siedziby WRN. Dowodzący akcją MO czterokrotnie przedłużał termin opuszczenia sali przez Rulewskiego i jego kolegów. Wreszcie doszło do interwencji sił porządkowych, w trakcie której kilka osób, m.in. przewodniczący regionu, odniosło obrażenia.

Premier gen. Wojciech Jaruzelski wspominał, że w nocy z 19 na 20 marca zadzwonił do niego Stanisław Kania, który dopiero co wrócił z Budapesztu: „Czułem, że nie jest

sam, że wyraża opinię innych osób. Mówił, że trzeba jeszcze dziś w nocy usunąć chłopów, którzy od kilku dni okupują budynek Wojewódzkiego Komitetu ZSL w Bydgoszczy. (...) Uświadomiłem sobie, że w godzinach popołudniowych telefonował w tej sprawie wicepremier [Stanisław] Mach [obecny wcześniej na sesji WRN – przyp. LM]. Bardzo zdenerwowany przekazał mi wiadomość, że siły porządkowe – jakoby zgodnie z decyzją Biura Politycznego – mają wieczorem szturmować ten budynek. (...) Zabroniłem podjęcia jakichkolwiek działań do czasu powrotu Kania. (...) W gabinecie I sekretarza, w gronie kilku osób odbyła się dyskusja. (...) Kania został przekonany. Poturbowanie Rulewskiego i jego dwóch towarzyszy postawiło Polskę na krzyżu. A co by było, gdyby w budynku ZSL polatała się krew? Gdyby te dwa wydarzenia zsumowały się?”.

Obustronna prowokacja?

Próba wyjaśnienia genezy konfliktu bydgoskiego z 19 marca 1981 r.

Zapewne po ogłoszeniu strajku generalnego przez Solidarność doszłoby do wprowadzenia stanu wojennego. Stałoby się to w czasie, gdy w północnej Polsce odbywały się ćwiczenia Sojuz 81 wojsk radzieckich.

Najbardziej niejasne w początkowej fazie konfliktu było zachowanie samego Rulewskiego. Przede wszystkim w jakim celu zwoływał on ludzi pod gmach WRN, skoro było wiadomo, że żaden nacisk uliczny nie jest w stanie wymusić na radnych zgody na załatwienie postulatów protestujących rolników, choćby dlatego, że WRN nie miała takich kompetencji. Czy chodziło jedynie o doprowadzenie do kolejnego konfliktu? Świadczyć o tym może również zachowanie Rulewskiego po zamknięciu sesji. Lech Wałęsa wspominał: „Przed rozpoczęciem sesji WRN w Bydgoszczy otrzymałem ostrzeżenie, że przygotowywana jest prowokacja. Dlatego, gdy Rulewski dzwonił do mnie już po wejściu na salę milicji, prosiłem go o rozagę. Nie wytrzymał nerwowo i zrobił trochę nie tak. (...) Widać było jak na dłoni, że ktoś chce nas sprokować i pchnąć do nierozważnych kroków”. Więcej szczegółów podał Andrzej Celiński, wówczas bliski współpracownik przewodniczącego Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ Solidarność: „Odbłyły się cztery rozmowy między Gdańskiem a Bydgoszczą, w których dwukrotnie rozmówcą Wałęsy był Rulewski, później Gotowski [członek władz regionalnych Solidarności – przyp. LM], a potem już nikt. W trzeciej rozmowie Gotowski brał udział dlatego, że Rulewski odmówił podejścia do telefonu. Wałęsa namawiał Rulewskiego do opuszczenia obrad od samego początku, natomiast Rulewski opowiadał”. Podobnie relacjonował Bronisław Geremek: „Byłem wówczas



Dowodzący akcją MO czterokrotnie przedłużał termin opuszczenia sali przez Rulewskiego i jego kolegów.

w Gdańsku. (...) Wałęsa radził Rulewskiemu, żeby ten wyszedł z gmachu WRN (razem z radnymi) i pisał komunikat w siedzibie MKZ”. Celiński trafnie zauważył, że „rola Rulewskiego w konflikcie bydgoskim była niejasna”. W innym miejscu dodawał: „Po interwencji policyjnej, jadąc do Bydgoszczy samochodem, rozważaliśmy z Wałęsą świadomy udział Rulewskiego w tych wypadkach”.

Do Wałęsy dzwonił w tym czasie minister ds. związków zawodowych Stanisław Ciosek i w dość dramatyczny sposób prosił, żeby skłonić Rulewskiego do opuszczenia budynku WRN. Obecny przy tej rozmowie Karol Modzelewski, rzecznik prasowy KKP NSZZ Solidarność, wspomina: „Nie jest możliwe, by [Ciosek – przyp. LM] dzwonił do Wałęsy i ostrzegał go wyłącznie z własnej inicjatywy. Musiał mieć na to zgodę, a właściwie polecenie premiera Jaruzelskiego lub co najmniej wicepremiera Rakowskiego”.

Sam zainteresowany na pytanie, dlaczego nie opuścił sali w budynku WRN, odpowiadał rozbijająco: „Gdybyśmy się wycofali, gdybyśmy niejako splamili honor związkowy, nie miałyby miejsca napaść fizyczna, ale byłoby ośmieszenie, prawda? Ugięcie się niezależnego związku przed przemocą i rezygnacja z należnych mu praw”. Janina Jankowska stwierdziła w odpowiedzi: „W podobnej sytuacji w Nowym Sączu okupujący ratusz, po ukazaniu się »zomitów«,

opuścili budynek. Nie ośmieszyło to działaczy”.

Hipotezy co do źródła konfliktu

Wicepremier Mieczysław F. Rakowski od początku sądził, że wydarzenia bydgoskie były świadomą prowokacją części działaczy związkowych z Rulewskim na czele. Prof. Andrzej Paczkowski, zgodnie z zasadami solidarnościowej poprawności, w ogóle nie bierze takiej hipotezy pod uwagę, natomiast formułuje trzy kolejne: „Pierwsza hipoteza, najdalej idąca, brzmi: była to świadomie, na samych szczytach władzy, zaplanowana »odcinkowa konfrontacja«, która miała pod osłoną ćwiczeń Sojuz 81 rozwinąć się w generalne uderzenie w Solidarność, z wykorzystaniem stanu wojennego. Druga zakłada, iż była to prowokacja, która wyszła spoza ścisłego kierownictwa PZPR (w każdym razie »tandemu« [chodzi o Kanię i Jaruzelskiego – przyp. LM]), miała zmusić je do podjęcia radykalnych działań, a nawet stworzyć sytuację, w której nastąpią zasadnicze zmiany w ekipie rządzącej, promując na czoło twardogłowych. A więc, że była to prowokacja przeciwko Jaruzelskiemu i Kani. Trzecia hipoteza odwołuje się do teorii przypadku: pobicie nie było działaniem z premedytacją, ale niekontrolowanym odruchem, natomiast samo wyrzucenie przedstawicieli Solidarności z gmachu WRN – aktem

normalnym w sytuacji, jaka istniała w Bydgoszczy (i w kraju), tym bardziej że był już przypadek usuwania okupujących w Ustrzykach. W każdym razie nie musiało być »drugiego dna«, a naprawdę ważne stało się to, co wydarzyło się później”.

Nie sądzę, żeby którakolwiek z tych hipotez dostatecznie wyjaśniała genezę konfliktu bydgoskiego, bo albo pomija się rolę sił porządkowych, albo nie odnosi się do niejasnego zachowania Rulewskiego. Chciałbym zatem przedstawić swój pogląd w tej sprawie.

Trudno uwierzyć, aby politycy radzieccy na początku grudnia 1980 r. odstąpili od ewentualnej interwencji bez wymuszenia na stronie polskiej konkretnych zobowiązań. Może chodziło, jak twierdził gen. Jaruzelski, o niewyrażenie zgody na rejestrację NSZZ RI Solidarność, co niedługo stało się powodem wielkiego konfliktu? Mogły być także jakieś zobowiązania ze strony kierownictwa PZPR co do wprowadzenia stanu wojennego. Z drugiej strony na początku lutego 1981 r. Jacek Kuroń mówił w nieprzeznaczonym do druku wywiadzie, że „sytuacja jest taka, że należałoby właściwie powiedzieć, iż frontalna konfrontacja jest nieunikniona”. Półtora miesiąca później wybuchł konflikt bydgoski.

Można spróbować sformułować kolejną hipotezę, przy czym moje stanowisko podpieram analizą wydarzeń, jakie miały miejsce aż do końca marca 1981 r. Otóż mogło dojść do niejako równoczesnych prowokacji obu stron konfliktu. Chodziło może nie tyle o obalenie władzy, ile o przechylene istniejącej dwuwładzy na swoją stronę – bez względu na skutki. W trakcie incydentu z 19 marca i później wysiłki lidera NSZZ Solidarność i gen. Jaruzelskiego szły niezależnie od siebie w tym samym kierunku, chodziło im o pacyfikację konfliktu, który wybuchł wbrew nim; kilka dni później dołączył do nich prymas Stefan Wyszyński. Efektem współpracy tej trójki było uchronienie Polski przed groźnymi następstwami podwójnej prowokacji.

Trójkąt Wałęsa-Wyszyński-Jaruzelski

23 i 24 marca zebrali się w Bydgoszczy KKP NSZZ Solidarność i w trakcie ►

► bardzo dramatycznych obrad najpierw uchwaliła przeprowadzenie natychmiastowego strajku generalnego, na co Wałęsa w proteście opuścił salę obrad. Po stronie przewodniczącego związku opowiedziała się nieliczna grupa działaczy oraz część doradców z Tadeuszem Mazowieckim i Bronisławem Geremekiem. Rano 24 marca dokonano reasumpcji głosowania i strajk generalny przesunięto na 31 marca, przy czym miał on być poprzedzony czterogodzinnym strajkiem ostrzegawczym 27 marca. Decyzję o odwołaniu strajku generalnego mogła podjąć

jakiegoś uzgodnienia w sprawie pacyfikacji konfliktu bydgoskiego, przy czym jego częścią byłaby zgoda na legalne istnienie w niedalekiej przyszłości NSZZ RI Solidarność. To było oczywiste złamanie stanowiska Biura Politycznego KC PZPR, które 21 marca wykluczyło tego typu rozwiązanie.

28 marca prymas spotkał się z delegacją związku z Wałęsą na czele, co było dużym poświęceniem ze strony ciężko chorego kard. Wyszyńskiego. Za trzy dni miał się rozpocząć okupacyjny strajk generalny. Nad Polską zawisła groźba kolejnej klęski powstańczej. Po tym spotkaniu pojawiła się

przyzwolenia premiera, stanowisku Biura Politycznego KC PZPR. W zamian Wałęsa podjął decyzję o wstrzymaniu strajku generalnego, do czego także nie miał prawa, bo przecież leżało to w gestii KKP NSZZ Solidarność. Obaj negocjatorzy kierowali się zasadą *salus rei publicae suprema lex* (dobro Rzeczypospolitej najwyższym prawem). Prymas zanotował: „Rozsądek wziął górę”.

Jednak problemy związane z istnieniem dwuwładzy w Polsce nie zostały rozwiązane, acz porozumienie warszawskie zakładało dalsze negocjacje między związkiem a rządem. Na początku kwietnia powołano nawet sześć grup roboczych, lecz wkrótce okazało się, że efekt ich pracy był minimalny. W rezultacie sukces trójkąta Wałęsa-Wyszyński-Jaruzelski nie został wykorzystany.

Wałęsie, Wyszyńskiemu i Jaruzelskiemu udało się natomiast powstrzymać wybuch strajku generalnego i ogłoszenie w odpowiedzi stanu wojennego, a w przypadku jego niepowodzenia – bardzo prawdopodobną interwencję wojsk radzieckich. Utrzymana została jednak dwuwładza państwo-związek zawodowy, przy czym wzmocniła się pozycja władz, gdyż Solidarność bezskutecznie posłużyła się groźbą użycia instrumentu strajkowego. Strajk generalny stracił moc polityczną, z czego zupełnie nie zdawali sobie sprawy przywódcy związku. Że tak rzeczywiście było, mogliśmy się przekonać 12/13 grudnia 1981 r., kiedy w odpowiedzi na ogłoszenie stanu wojennego doszło do nieudanej próby wywołania strajku generalnego.

Dr hab. Lech Mażewski jest ustrojoznawcą. Ostatnio opublikował „Prymas Stefan Kardynał Wyszyński wobec Polski po 1944/1945 r. Elementy analizy ustrojowej i geopolitycznej”, Warszawa 2020

Wicepremier Rakowski sądził, że wydarzenia bydgoskie były świadomą prowokacją części działaczy związkowych z Rulewskim na czele.

jedynie KKP NSZZ Solidarność. Tym razem przewodniczący Solidarności przyjął to rozwiązanie, aczkolwiek rozumiał, że w ten sposób groźba strajku generalnego nie została wcale zlikwidowana.

26 marca w Natolinie doszło do ponadtrzygodzinnego spotkania prymasa Polski i premiera gen. Jaruzelskiego. W ogłoszonym po tym spotkaniu komunikacie Sekretariatu Episkopatu Polski stwierdzono: „Doniosłą sprawą jest pilne przezwyciężenie napięć społecznych tak, by można było wykluczyć strajki”, należy też dokonać „wyjścia na spotkanie aktualnym oczekiwaniom indywidualnych właścicieli rolnych. Uznano, że pilną sprawą jest pełna i obiektywna ocena wydarzeń bydgoskich. Obie strony wyraziły przekonanie, że zaistniałe konflikty i napięcia w Kraju uda się rozwiązać na drodze pokoju”. Można to potraktować jako rodzaj potwierdzenia, że doszło do

następująca notka w „Pro memoria”: „W dłuższym wywodzie wyłożyłem racje, dla których powinni zmienić decyzję o strajku generalnym. Nie ukrywałem niczego, nawet zagrożenia naszej wolności w Ojczyźnie”. Wałęsa przyjął te argumenty. „Ale pytanie: jak wstrzymają rozkręconą już maszynę strajkową. Gdyby mieli czas? Ale nie mają”. Okazało się, że nie było to zbyt trudne dla przewodniczącego Solidarności.

Ostatecznie sprawa konfliktu bydgoskiego została rozstrzygnięta na gruncie porozumienia zawartego 30 marca w Warszawie. Strona rządowa zobowiązała się do ukarania winnych poturbowania związkowców w Bydgoszczy i zapowiedziała unikanie konfliktów w sprawie zrzeszania się rolników, co faktycznie zapowiadało zgodę na rejestrację ich związku zawodowego. Wicepremier Rakowski sprzeniewierzył się w ten sposób, zapewne nie bez

**O SOLIDARNOŚCI, KTÓRA
DROGO NAS KOSZTOWAŁA**

**KSIĄŻKA
PRZEGLĄDU**

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,
paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

53 zł



Gospodarka morska w zaniku

Tylko porty morskie zachowały zdolność rozwoju

Czesław Skowronek

Do interesującego artykułu redaktora Marka Czarkowskiego „Na dno” o „ratowaniu” przemysłu stoczniewego (PRZEGŁĄD nr 6/2021) warto dodać pewne dane statystyczne i fakty, które pozwolą na porównanie gospodarki morskiej w Polsce Ludowej oraz w III Rzeczypospolitej.

Przemysł okrętowy

Gospodarka morska oparta jest na trzech filarach: przemyśle okrętowym, żegludze morskiej i portach morskich. Zwykle uzupełnia się ją jeszcze o rybołówstwo morskie.

Po II wojnie światowej Polska zbudowała od podstaw przemysł okrętowy, który w kolejnych latach stał się ważną gałęzią gospodarki. Trzy wielkie stocznie produkcyjne w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie budowały towarowe statki morskie i trawlerzy rybackie. Znaczna część produkcji była przeznaczona na eksport nie tylko do Związku Radzieckiego, ale też do wielu państw zachodnich. Na rzecz stoczni w całym kraju pracowało ok. 200 przedsiębiorstw, w tym takie jak zakłady im. H. Cegielskiego, wytwarzające całą gamę silników okrętowych o różnych mocach. Eksport przemysłu okrętowego pozwalał pokrywać płatności za ropę i gaz z ZSRR. Okresem najlepszej koniunktury były lata 70, ale jeszcze w latach 1985-1989, kiedy widoczny był już kryzys gospodarczy, polski przemysł okrętowy wybudował prawie 200 jednostek o łącznej nośności 1,6 mln DWT.

W III RP nastąpiła degradacja przemysłu okrętowego. Podejmowane próby jego utrzymania okazały się nieskuteczne. Praktycznie już nie istnieją stocznie produkcyjne. W roku 2010 wyprodukowano 13 jednostek o nośności 27 tys. ton, w 2015 r. tylko jeden statek o nośności 5 tys. ton. W miejsce stoczni produkcyjnych powstawało wiele przedsiębiorstw prywatnych, związanych z gospodarką morską. Polska jest znaczącym

w Europie producentem łodzi i jachtów, a główne ośrodki znajdują się w Gdańsku, Ostródzie, Olecku i Augustowie.

Podjęcie się budowy promu pasażerskiego, o czym pisze red. Czarkowski, już w założeniu było więc ignorancją projektową i techniczną.

Nawet w warunkach ekspansji polskiego przemysłu okrętowego nie budowano oceanicznych promów pasażerskich, są to bowiem najbardziej skomplikowane technicznie jednostki, które buduje ledwie kilka stocznii o standardzie światowym.

Polski przemysł okrętowy praktycznie przestał istnieć, a czasy jego świetności to lata Polski Ludowej.

Żegluga morska

Po wojnie Polska zaczynała także od podstaw tworzyć żeglugę morską. Pierwszy zbudowany w latach 40. statek morski „Soldek” dał początek polskiej flocie handlowej. Polskie Linie Oceaniczne w Gdyni oraz Polska Żegluga Morska w Szczecinie w kolejnych latach stały się wielkimi armatorami. W 1980 r. polska flota handlowa miała prawie 330 statków morskich o nośności 4,5 mln DWT, a w 1989 r. 250 statków o nośności 4 mln DWT. Przewóz ładunków drogą morską wynosił w 1980 r. 39,6 mln ton, a w 1989 r. 28,3 mln ton.

W 2015 r. morską flotę transportową stanowiły 102 statki o nośności 2,5 mln DWT. Widać wyraźnie, jaki regres nastąpił w polskiej żegludze morskiej. Należy dodać, że polskie statki pływają często pod obcymi banderami, gdyż oferują one lepsze warunki zatrudnienia marynarzy.

Porty morskie

Porty jako jedyny z trzech filarów gospodarki morskiej zasługują na pozytywną ocenę. Przeładunki w 1980 r. wyniosły 61,7 mln ton, w 1989 r. zmniejszyły się do 48,0 mln



ton, ale w ostatnich latach obserwujemy ich dynamiczny wzrost – w 2010 r. wyniosły 59,9 mln ton, a w 2015 69,5 mln ton. Ocenia się, że w 2020 r. przeładunki zbliżyły się do 100 mln ton. Należy jednak podkreślić, że to w Polsce Ludowej

nastąpiło istotne zwiększenie potencjału przeładunkowego. W Gdańsku został wybudowany port zewnętrzny do przeładunku ropy i paliw ciekłych.

Porównując okres PRL do III RP, widać, że tylko porty morskie zachowały zdolność do rozwoju. Likwidacja przemysłu okrętowego i regres floty handlowej to negatywne przejawy polskiej transformacji ustrojowej.

Niepotrzebne ministerstwo?

Na koniec jeszcze jedna kwestia. W latach 2015-2019 funkcjonowało Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej. Jednym z głównych jego celów miała być odbudowa gospodarki morskiej i żeglugi. W nowym rządzie od 2020 r. nie jest już ono samodzielną jednostką. Aczkolwiek dane, które przytoczyłem, dotyczą roku 2015, to w kolejnych latach nie zanotowano tendencji rozwojowych. Żegluga śródlądowa w ogóle przestała istnieć. Jeszcze latach 80. przewozy ładunków masowych tą drogą przekraczały 10 mln ton, obecnie niemal zanikły. Wymogi współczesnej gospodarki, czas dostaw ładunków, a także niskie stany wód w okresie letnim na Odrze i Wiśle praktycznie uniemożliwiają transport śródlądowy. Środki inwestycyjne, które zostały zaangażowane w przekop Mierzei Wiślanej – inwestycję nieracjonalną z punktu widzenia ekonomicznego i ekologicznego – mogły być bardziej efektywnie wykorzystane do zachowania potencjału ekonomicznego trzech wymienionych filarów gospodarki morskiej.

Prof. dr hab. Czesław Skowronek jest ekonomistą

Sto lat temu przyjęliśmy konstytucję marcową

Prawica miała najwięcej do powiedzenia przy pisaniu konstytucji.
A ta potem uchodziła za lewicową

Rozmawia Robert Walenciak

Konstytucja odrodzonej Polski przyjęta została w marcu 1921 r., ale prace nad nią rozpoczęto już w styczniu 1919 r. Borykano się więc z ustaleniem jej tekstu ponad dwa lata.

– Z tymi dwoma latami to niezupełnie tak. Najpierw pojawiały się różnego rodzaju projekty konstytucji, ale trafiały one do komisji konstytucyjnej, w której, zgodnie z układem sił w parlamencie, większość miały prawica i centrum. I dopiero latem roku 1920 zaprezentowała ona swój projekt, który zresztą uchwaliła niejednomyślnie. Jak wiemy, w tym czasie Polska miała inne problemy niż rozwiązywanie kwestii ustrojowych, w związku z czym posłowie wysłuchali sprawozdania i na tym się skończyło. Wrócono do sprawy jesienią 1920 r., czyli już po zażegnaniu niebezpieczeństwa wschodniego, i wtedy dopiero zaczęła się cała batalia.

I kłócono się o wszystko?

– Nie. Od początku były także elementy wspólne. Gdy powołano komisję konstytucyjną, zgłoszono do niej sześć czy siedem projektów, w których prezentowano poglądy różnych ugrupowań politycznych – od socjalistów po konserwatystów i narodowych demokratów. Autorzy wszystkich uważali, że jedynym źródłem władzy może być naród polski. W konstytucji marcowej pojęcie to będzie oznaczało nie samych Polaków, ale ogół obywateli państwa polskiego bez względu na ich przynależność narodowościową.

Monarchia czy republika?

Czy godzono się też na republikański ustrój państwa?

– Kwestię, czy ma to być republika, czy monarchia, rozstrzygnięto pod koniec I wojny światowej. Początkowo,

gdy wojna wybuchła i zaczęto myśleć o odbudowie państwa, dominował pogląd, że odrodzona Polska będzie monarchią. Z kilku powodów. Po pierwsze, ze sceny politycznej zeszliśmy w XVIII w. jako monarchia. Po drugie, przed wielką wojną europejskie republiki można było policzyć na palcach jednej ręki – Szwajcaria, Francja i Portugalia, a monarchie były najsilniejszymi państwami decydującymi o losach kontynentu. Nawet lewica godziła się wówczas na monarchię typu konstytucyjnego. Wydawało się, że ten pogląd potwierdziło powołanie w 1916 r. Królestwa Polskiego, a następnie Rady Regencyjnej, instytucji, która z założenia zastępuje nieletniego albo nieobecnego króla.

Kiedy to się zmieniło?

– Gdy w roku 1917 tworzone Radę Regencyjną, to, czy pojawi się król, nie było już tak pewne. Zdążyła upaść największa obok Anglii monarchia – Rosja, a na jej gruzach powstała republika, przez kilka miesięcy nawet demokratyczna. Nic dziwnego, że pod koniec 1918 r. tendencje republikańskie już przeważały; forsowała je lewica, a prawica w zasadzie nie bardzo widziała możliwość zrealizowania swoich koncepcji.

Polska monarchią? Dla nas to niewyobrażalne. Ale świat wtedy był inny.

– Był zupełnie inny. Zresztą to, czy Polska ma być monarchią, czy republiką, było kwestią dyskusyjną bardzo długo. Pod koniec 1922 r., już po uchwaleniu konstytucji, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, czyli słynny

Prof. dr. hab. Czesław Brzoza – specjalizuje się w najnowszej historii Polski. Autor m.in. „Polski w czasach niepodległości i drugiej wojny światowej (1918-1945)” oraz „Historii Polski 1918-1945” (wraz z Andrzejem Leonem Sową).



PROF. CZESŁAW BRZOZA

krakowski „IKC”, zadał swoim czytelnikom trzy pytania, w tym o to, czy Polska powinna być monarchią, czy republiką. I duża część odpowiadających nadal uważała, że Polsce potrzebny jest król.

Kiedy więc republikański punkt widzenia zyskał prawo obywatelstwa?

– Wydaje się, że bardzo ważnym momentem było powstanie w Lublinie rządu Ignacego Daszyńskiego, nieprzypadkowo przecież noszącego nazwę Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, a przełomowe znaczenie miał dekret naczelnika państwa „o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej” z 22 listopada 1918 r. Co prawda, wszystkie rozwiązania tam zaproponowane miały charakter przejściowy, ale jedno okazało się trwałe – podkreślany w nim republikański charakter państwa.

Widać, jak szybko zmieniło się postrzeganie świata.

– Rzeczywiście. A wracając do naszego głównego nurtu rozważań – wszyscy uznawali, że naród jest

źródłem władzy państwowej, wszyscy zgadzali się co do tego, że prawo wyborcze ma być pięcioprzymiotnikowe (tajne, bezpośrednie, równe, powszechne i proporcjonalne), i nikt nie miał wątpliwości, że wśród najwyższych organów władzy państwowej Sejm powinien zajmować stanowisko naczelne.

Dlaczego?

– To wynikało z ostatnich doświadczeń – I wojna światowa była wówczas postrzegana jako największy kataklizm, jaki ludzkość przeżyła w swoich dziejach. A przecież była ona konsekwencją braku kontroli nad rządzącymi. Dlatego właściwie wszyscy uważali, że należy stworzyć mechanizmy, które zabezpieczą społeczeństwo przed powtórką z historii. I za taki mechanizm uznano społeczną kontrolę nad poczynaniami rządów. We wszystkich uchwalanych wówczas konstytucjach przyznawano wyjątkowe uprawnienia władzy ustawodawczej. Polska nie była wyjątkiem. Tak jak w innych nowo utworzonych państwach przyjęto w niej zasadę powoływania rządów parlamentarno-gabinetowych, czyli wyłanianych przez większość parlamentarną i przed parlamentem odpowiedzialnych.

To był wspólny pogląd? I lewicy, i prawicy?

– Wspólny. Różniły je niuanse. Wszyscy opowiadali się również za tym, aby głowę państwa, choć proponowano dla niej różne nazwy – naczelnik państwa, zwierzchnik Rzeczypospolitej albo prezydent, wybierano w taki sposób, żeby społeczeństwo miało na to wpływ. W zasadzie wszyscy też uważali, że głowie państwa nie może przysługiwać prawo samodzielnego rozwiązywania parlamentu. To były najważniejsze cechy wspólne.

Senat, Kościół, prezydent

A co dzieliło?

– Przede wszystkim kwestia, czy parlament ma być jedno-, czy dwuizbowy. Lewica była za jednoizbowością, prawica za dwiema izbami. Druga izba miała być wybierana w sposób mniej demokratyczny niż pierwsza, poza tym prawica forsowała Senat z częściowym udziałem wirylistów, czyli osób, które wchodziłyby do niego nie z wyboru, lecz z racji sprawowanych funkcji. W I Rzeczypospolitej składał się z nich cały Senat

– w jego składzie byli członkowie rady królewskiej, wojewodowie i biskupi. Tutaj jako wirylistów widziano przedstawicieli głównych wyznań RP i rektorów uczelni. Kolejnym problemem była sprawa roli i miejsca Kościoła katolickiego.

Nic nowego...

– Tak jest. To problem nie tylko w chwili obecnej, wówczas także się pojawiał. Lewica uważała, że wyznanie jest prywatną sprawą każdego obywatela, prawica zaś stała na stanowisku, że Kościół katolicki, ze względu na rolę, jaką odegrał w czasie zaborów, oraz na fakt, iż katolicyzm był wyznaniem olbrzymiej większości Polaków, powinien mieć zapewnioną wyjątkową pozycję. Z tym wiązała się kolejna kwestia sporna – czy szkolnictwo ma mieć charakter wyznaniowy. Prawica opowiadała się za takim rozwiązaniem, czyli szkołami, w których uczniowie i nauczyciele powinni być tego samego wyznania, tzn. protestant lub wyznawca religii mojżeszowej nie mógłby uczyć dzieci katolickich. A tak na marginesie to może warto pamiętać, że w okresie międzywojennym wystąpienie z jakiegoś Kościoła, w tym z katolickiego, nie

Pod koniec 1922 r. duża część Polaków uważała, że potrzebny jest nam król.

było trudne. Wystarczyło zgłosić się w odpowiednim urzędzie, np. w magistracie, i w obecności dwóch świadków, którymi mogli być urzędnicy, wypełnić oświadczenie o treści:

Mam stałą i niezłomną wolę przejścia z religii (wyznania) na religię (wyznanie) [można było też zadeklarować bezwyznaniowość], a zarazem oświadczam, że do tego postanowienia nie byłem/am przez nikogo przymuszony/a ani też ubocznymi celami się nie powoduję; co stwierdzam moim podpisem.

Urząd załatwiał resztę, czyli zawiadamiał proboszcza, pastora itp., że obywatel przestał być wyznawcą danej religii.

Niesamowite. A na czym polegał spór o zasięg uprawnień i sposób wyboru prezydenta?

– Lewica chciała wyborów powszechnych, a prawica uważała, że prezydenta ma wybierać

zgromadzenie elektorów. Zdaniem lewicy prezydentowi powinny przysługiwać znaczne uprawnienia, czemu prawica była przeciwna – inaczej niż w świecie, zazwyczaj bowiem to prawica optuje za silną władzą wykonawczą, a lewica za ustawodawczą. Co nie oznacza, że nasza lewica i prawica zwariowały. Tu chodziło o jedną rzecz – kto będzie przyszłym prezydentem i co będzie zależne od jego woli.

A faworytem był Józef Piłsudski. To pod niego układano konstytucję.

– We wspomnianej ankiecie „IKC” z 1922 r. zadano także pytanie, kto powinien być pierwszym prezydentem Rzeczypospolitej, i respondenci jednoznacznie wskazali Józefa Piłsudskiego. Na drugim miejscu, jednak daleko za nim, był Ignacy Paderewski, a na szarym końcu Ignacy Daszyński i Maurycy Zamoyski, a więc dwie osoby, których kandydatury przy wyborach prezydenckich faktycznie wystawiono.

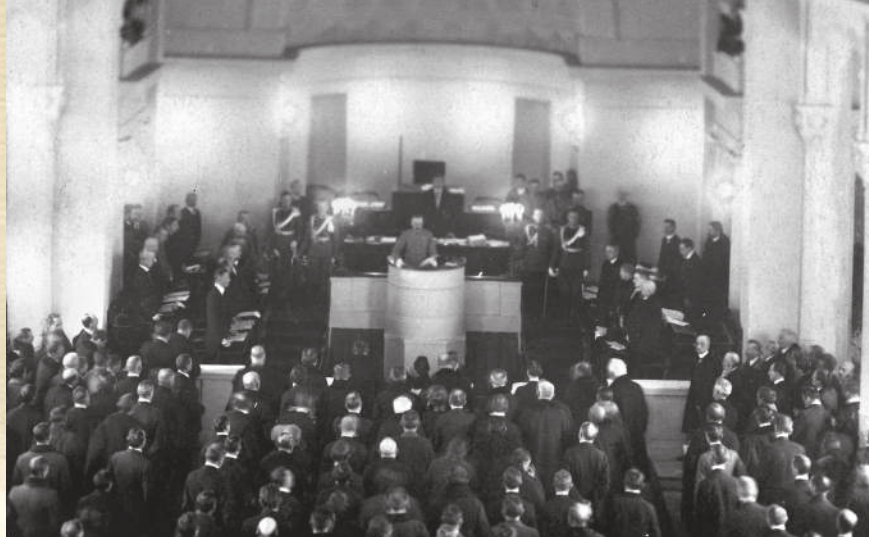
Wyklucz pan moją babkę!

Jak wyglądała dyskusja o kształcie konstytucji?

– Najzacieklejsza walka dotyczyła Senatu. Przegrywająca ją lewica

rozpoczęła wówczas obstrukcję techniczną, chcąc zmusić przeciwników do ustępstw lub przynajmniej „wybić tej bestii (Senatowi) jak najwięcej kłów”. Ukazują to fragmenty reportażu, który 5 listopada 1920 r. wydrukowała krakowska gazeta. Kiedy marszałek zarządził głosowanie, na lewicy wybuchła burza: „Rozległ się stuk pulpitów, tupanie nogami, przejmujące świstawki i zgietkowe okrzyki. Marszałek stawał w pozycji obronnej. Przemawia karcąco i grozi ręką w stronę lewicy. Za każdym jego gestem wzmaga się hałas. Marszałek wzywa sekretarzy posłów i urzędników biura sejmowego, ażeby skontrolowali, którzy z posłów hałasują. Zaraz po pierwszych raportach od sekretarza biura sejmowego (...) marszałek dyktuje coś stenografom; są to wyroki dyscyplinarne, które skazują posłów na wykluczenie z pięciu posiedzeń”.

Nieźle.



► – Czytamy dalej: „Podczas wręczania listów o wykluczenie, gdy urzędnik biura Sejmu zbliżył się, chcąc listy doręczyć, p. Klemensiewicz (PPS) wyrwa mu go z rąk, drze na strzępki i rzuca na podłogę. Orgia nabiera tym bardziej ponurego tonu, że skutkiem defektu w elektrowni światło elektryczne zgasło. Przy blasku świec i lamp naftowych, wśród tajemniczych cieniów chwiejących się na ścianach, w sali kotłuje się zgiełk piekielny. W pewnej chwili, jakby na dany znak, zalega cisza – obstrukcja chce tchu zaczerpnąć. Marszałek każe odczytać listę wykluczonych, co wywołuje nową burzę. Poseł Klemensiewicz rzuca się ku stopniom trybuny marszałkowskiej i krzyczy coś w pasji (...). Do atakującego Klemensiewicza marszałek powiada, że właściwie nie powinien mu, jako wykluczonemu, odpowiadać, na co Klemensiewicz woła: »wyklucz pan moją babkę!«. (...) Ku trybunie marszałka spieszą ze strony prawej i lewej grupy zacietrzewionych, obzuczając się wzajemnie wyzwiskami, z których »tobuz« jest najdelikatniejszy. Wydaje się, że za chwilę dojdzie do gremialnej bójkii”.

O Senat...

– Potem przychodzi czas głosowania. Głosowano, wrzucając kartki do koszyka. Wyglądało to tak: „Poseł Staniszkis (z prawicy), który z koszem do odbioru kartek udaje się na lewicę, otoczony zewsząd odbywa dyskusję, podczas której poseł Dreszer (PPS) wydziera mu koszyk. Za chwilę koszyk znajduje się już na lampie, a kartki leżą rozsypane na podłodze. Mimo to marszałek zarządza obliczanie głosów i ogłasza wynik”. Jak widać, było to czasami dość zabawne. Ponadto socjaliści organizowali przeciwko Senatowi manifestacje uliczne pod hasłem: „Precz z izbą przywilejów!”.

Ale za pomocą obstrukcji technicznej nie da się wszystkiego załatwić.

– Rzeczywiście nie. Dlatego szukano i innych rozwiązań. PSL „Wyzwolenie” proponowało, żeby Sejm rozwiązać i zarządzić nowe wybory, które być może wyłonią zdecydowaną większość, a Narodowa Partia Robotnicza chciała rozstrzygnięcia sprawy Senatu w referendum. Ale obie te propozycje oznaczały, że uchwalenie konstytucji odwlekałoby się o co najmniej parę miesięcy. Najrozsądniejszy w sumie był głos PSL „Piast”, które uważało, że kwestię tę należy zostawić następnemu Sejmowi, mającemu rozstrzygnąć, czy Senat ma istnieć, czy nie.

Zadecydował plebiscyt na Śląsku

Wyglądało to więc na kłincz.

– Tak, ale pojawił się dodatkowy czynnik, który zwaśnione stronnictwa zmusił do zajęcia wspólnego stanowiska i przyspieszenia prac – był to plebiscyt na Śląsku, czyli sprawa wyjątkowo dla Polski ważna ze względu na bogactwa naturalne i przemysł tej dzielnicy. Uzyskanie jej dla Polski było absolutnie kluczowe.

A plebiscyt był zapowiedziany.

– Miał się odbyć 20 marca 1921 r. Niezależnie od różnych posunięć propagandowych Polska starała się więc zrobić wszystko, żeby Ślązaków przekonać, że jest krajem ustabilizowanym zarówno na arenie międzynarodowej, jak i pod względem ustrojowym – dlatego 17 marca uchwalamy konstytucję, a 18 zawieramy traktat ryski z Rosją. Również dlatego w nocy z 16 na 17 marca przywódcy najważniejszych klubów zawarli kularowe porozumienie. W budzącej najwięcej emocji kwestii Senatu ustalono, że zgodnie z propozycją

USTAWA Z DNIA 17 MARCA 1921 ROKU KONSTYTUCJA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

**W IMIĘ BOGA WSZECHEMÓGĄCEGO
MY, NARÓD POLSKI,**
dziękując OPATRZNOŚCI
wznowienie nas z półtorowiekowej
miewoli, wspominając z wdzięcznością miłośników i
wyratunek ofiarnej walki pokoleń, które najspieszniej
wiosła swoje sprawnie niepodległości bez
przerwy poświęcały, namierzając do świętej i
dobrej niepodległości i niepodległości 3-ego „Jana” dobro
rady i jednomyślnie i niepodległości Matki, Oczyszczając
mając na celu, a pragnąc tej był niepodległości
politycznej i bezpieczeństwa oraz, nad społeczną
ulimerydy, na wieloletnich zasadach prawa i
wolności pragnąc zarazem zapamiętać i
niepłynąć tej od moralnych i materialnych do
dobra całej odradzającej się ludzkości, zjednoczonym
odnawianiem, Rzeczypospolitej, krajem, a prace
pobudowanie, wolności prawa i szczególnej opieki
Polską zabezpieczyć, i, do Ustawy Konstytucyjnej
mającej na celu Ustawodawczym Rzeczy
pospolitej Polskiej uchwalonym
i stanowiącym

PSL „Piast” zostanie on wprowadzony na próbę, na okres jednej kadencji, i nie będzie w nim wirylistów, tylko osoby pochodzące z wyborów. **Każdy trochę ustąpił.**

– Lewica zgodziła się, żeby Senat istniał przez jedną kadencję, prawica ustąpiła w sprawie wirylistów. Skreślono również artykuł o szkole wyznaniowej oraz wymóg, aby kandydat na prezydenta był Polakiem i katolikiem, chociaż zostawiono rotę przysięgi prezydenckiej dostosowaną do wyznania rzymskokatolickiego. **Czy Narutowicz nie miał i z tego powodu problemu z wyborem?**

– Z tego powodu nie. Stwierdził bowiem, że jest gotów złożyć przysięgę zapisaną w konstytucji. Był agnostykiem. Nie wiem natomiast, czy gdyby wybierano Piłsudskiego, uznano by go za katolika, czy za heretyka. Ale to już inna kwestia.

O jego wyznaniu zadecydowała sprawa małżeństwa.

– To częsta przypadłość elity państwowej, którą przecież stali się w latach późniejszych chłopcy zawierający związki małżeńskie podczas I wojny światowej. Nieraz ich wybranką była panna służąca lub kucharka, która dożywiła swojego narzeczonego. Po objęciu stanowisk takie żony przestawały im odpowiadać i szukali sobie bardziej reprezentacyjnych, a że Kościół katolicki nie godził się na rozwody, rozwiązaniem była zmiana wyznania.

Naczelne wśród równych

Tej nocy rozstrzygnięto też zapisy o miejscu Kościoła katolickiego w Polsce?

– Budziły one wyjątkowo dużo kontrowersji. Prawica domagała się, żeby katolicyzm został uznany za wyznanie państwowe. Lewica uważała, że wyznanie jest sprawą prywatną. Znalaziono więc przedziwną formułę – wyznanie rzymskokatolickie zajęło naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań. Kiedy przyjęto te zasady, właściwie nic już nie było problemem i 17 marca na godz. 16 można było zwołać specjalne posiedzenie Sejmu.

Żeby przyjąć konstytucję.

– Przed głosowaniem wystuchano jeszcze przedstawicieli kilku stronnictw. Socjalista oświadczył, że konstytucja nie odpowiada w pełni żądaniom jego ugrupowania, ale przyznał, że należy ona do najdemokratyczniejszych w Europie. Reprezentant PSL „Wyzwolenie” – że konstytucja jest reakcyjna i jego ugrupowanie będzie głosowało przeciw jej przyjęciu. Przedstawiciel Narodowej

okolicznościowe przemówienie, odśpiewano pieśń „Boże, coś Polskę”, mającą wówczas rangę hymnu państwowego. Następnie posłowie razem z Piłsudskim, członkami rządu i różnymi delegacjami udali się do katedry św. Jana, aby złożyć wieniec na grobie Stanisława Małachowskiego, marszałka Sejmu Wielkiego. Wzięli w tym udział wszyscy posłowie, także ci, którzy za konstytucją nie głosowali.

Jakie czasy, taka konstytucja

Czy przyjęcie konstytucji w takim kształcie było przegraną Piłsudskiego? Nie zapewniała ona tego, na czym najbardziej mu zależało – silnej władzy wykonawczej.

– Prawica, która przeforsowała większość zapisów, ograniczyła uprawnienia prezydenta do minimum. Jedyne, co mógł robić w pełni samodzielnie, to korzystać z prawa łaski. Konstytucja była pisana właśnie z myślą o Piłsudskim, aby, gdy zostanie prezydentem, nie miał zbyt wiele władzy. Ale on o tę władzę wówczas się nie ubiegał. Natomiast kiedy doszedł do wniosku, że chce ją mieć, to

atmosferę oddaje komentarz w jednej z prawicowych gazet: „Kampania konstytucyjna skończyła się. Zniknie wreszcie z porządku dziennego jeden z najtrudniejszych i najbardziej spornych problemów, nastąpi uspokojenie w Sejmie i w kraju. Zagranica i Górny Śląsk (...) przekonają się, że Polska hołduje zasadom demokracji i równouprawnienia obywateli. Możemy słusznie cieszyć się z Konstytucji Marcowej”.

Czy ten krótki okres – od konstytucji po zamach majowy – określany mianem sejmokracji, to był efekt złych zapisów w konstytucji, czy zwyczajów politycznych?

– Wydaje mi się, że rozwój wydarzeń był zgodny z logiką ówczesnego świata. Inne nowo utworzone państwa europejskie uchwałyły swoje ustawy już w latach poprzednich – Niemcy w roku 1919, Litwa, Łotwa, Estonia, Austria – w 1920. My później. Ale my mieliśmy swoje problemy.

Wojnę!

– Niejedną. Toczyliśmy przecież walki z Litwą, z bolszewią, z Czechami, z Ukraińcami, z Niemcami. Ale konstytucja była właściwie podobna do innych tworzonych w ówczesnej Europie. Nie wyróżniała się specjalnie. Wszystkie opierały się na dążeniu do kontroli władzy wykonawczej przez społeczeństwo, czyli przez parlament. Ale działało się to w momencie, kiedy kończyła się I wojna światowa i tuż po niej. Natomiast w roku 1926 demokracja w Europie Wschodniej ocalała tylko w Czechosłowacji, a we wszystkich innych państwach doszły do władzy rządy autorytarne. W połowie lat 20. odwrót od demokracji miał charakter powszechny. Zdarzyło się to także w Polsce.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Ważnym momentem było powstanie Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej.

Partii Robotniczej ubolewał, że choć ustawa nie jest zgodna z oczekiwaniami jego ugrupowania, opowie się ono za nią. W zasadzie na tym skończyły się deklaracje i przystąpiono do głosowania. Ale gdyby pan mnie zapytał, jaki był jego wynik, odpowiedziałbym: tego nikt nie wie.

Dlaczego?

– Przyjęto ją przez akłamację. Zgodnie z pięknym parlamentarnym zwyczajem ci, którzy byli przeciw, opuścili salę. Jak zapisał dziennikarz: „Marszałek powstaje – głęboka cisza zalega salę. Marszałek odczytuje nagłówek ustawy i wstęp jej uroczysty, po czym zarządza głosowanie. Jakby na komendę posłowie powstają z miejsc... wszystkie stronnictwa... brak tylko grupy »Wyzwolenia«, kilku socjalistów i niektórych, szczególnie nacjonalistycznych Żydów. Marszałek ogłasza przyjęcie ustawy”. Wtedy na sali pojawił się naczelnik państwa, którego powitano burzą oklasków. Po przyjęciu konstytucji marszałek Wojciech Trąpczyński wygłosił

ją w 1926 r. wziął i sprawował niezależnie od konstytucji.

„Wzbogacając” ją nowelą sierpniową!

– Nie! Nowela sierpniowa wyjaśniała i usprawniała sposób rządzenia państwem. Ona nie była zła. Natomiast ewidentnym złem było interpretowanie konstytucji i stosowanie tzw. precedensów, czyli, jak mówiono wówczas, uzusów konstytucyjnych. Na przykład Sejm uchwała wotum nieufności dla rządu. Ale że prawo powołania rządu należy do prezydenta, powołuje on „nowy” rząd w identycznym składzie jak poprzedni. Wszystko zgodnie z zapisami. Nie nowela sierpniowa była zatem kłopotem, tylko pokrętne interpretowanie postanowień konstytucji, niezgodne z jej duchem. **To była konstytucja państwa, które się odrodziło, odzyskało niepodległość. Jej uchwalenie było kolejnym dowodem niezależności?**

– O uchwaleniu konstytucji wyrażano się z dumą. Podkreślano, że jest ona demokratyczna. Ówczesną



#Royalwashing, czyli pranie wizerunku arystokracji

Zamieszanie wokół wywiadu Oprah Winfrey z parą książęcą mówi sporo o toksycznej relacji mediów i monarchii

Jakub Dymek

Gdy księżna Sussex Meghan Markle i książę Harry udzielili amerykańskiej celebrytce i legendzie telewizyjnych anten Oprah Winfrey wywiadu, świat jakby cofnął się o ćwierć wieku. Jak w czasach, gdy bohaterką masowej wyobraźni była księżna Diana, a debatą publiczną trzęsły tabloidy – znów miliardy śledziły losy czołowej pary angielskiej arystokracji. Także niechętni brytyjskiej monarchii Amerykanie i Europejczycy zyskali okazję, by coś powiedzieć i włączyć się do debaty, nawet jeśli z domieszką *schadenfreude* wobec uczestników tego arystokratycznego dramatu. Namnożyło się ekspertów, którzy dołączyli do jednego z naprędce uformowanych obozów „za” i „przeciw” – a media społecznościowe dały im dość przestrzeni, by mogli swoimi poglądami się podzielić.

Zjawisko chwilowej przynajmniej Marklemaniai było prawdziwe. Analityka ruchu w internecie podpowiada, że o księciu i księżnej będzie w świecie najgłośniejsze od ich ślubu w 2018 r. A są szanse, że przy odrobinie pomocy ze strony nakręcających sensację algorytmów zainteresowanie Harrym i Meghan osiągnie historycznie najwyższy poziom. Jest coś fascynującego w tym, jak w trakcie pandemii wróciła – nawet jeśli na chwilę – ta najbardziej eskapistyczna i odrealniona ze wszystkich rozrywka, czyli śledzenie losów koronowanych głów i ich potomków.

Co po tygodniu od wybuchu tej niespodziewanej celebrycko-medialnej bomby wiemy i co o świecie

mediów mówią nam reakcje na wywiad udzielony Oprah Winfrey?

Wielka i goście

Oprah Winfrey to ikona amerykańskiej telewizji. 67-letnia prezenterka jest żywą legendą i kimś, kto majątkiem i rozpoznawalnością w Ameryce po stokroć przyćmiewa nie tylko księżną i księcia, ale również królową angielską. Przypominała więc światu o mocy celebryckiego wywiadu jako gatunku telewizyjnego w takim samym wymiarze, w jakim Meghan i Harry przypomnieli o sobie. Skądinąd dość bezpiecznie można się zakładać, że jako marka i nazwisko Oprah spokojnie przebiją książęcą parę.

W rozmowie kluczowe okazały się wątki rasizmu, problemów psychicznych i myśli samobójczych księżnej na dworze oraz dehumanizującego życia w złotej klatce rodziny królewskiej. Meghan opowiadała, że rodzina królewska zastanawiała się, jak ciemna będzie skóra jej dziecka, i nie chciała jej pomóc, gdy przeżywała kryzys psychiczny. Pojawiające się w rozmowie drażliwe tematy doskonale dopasowywały się do tego, z czym podzielona według linii tożsamości, koloru skóry i płci Ameryka może się identyfikować i dzięki czemu łatwo wskazać dobrych i złych bohaterów tej historii. Był to celebrycki dramat, ale zarazem bardzo bliski wszystkich wrażliwych punktów aktualnej amerykańskiej debaty publicznej.

„Trudno oprzeć się wrażeniu, że duża część dwugodzinnej rozmowy rozegrała się według jakiegoś

scenariusza i nie była w pełni autentyczna. To produkt na użytek Hollywood”, pisał na stronach internetowych „Polityki” Marek Rybarczyk, autor książki „Zmierzch świata Windsorów”. I dodawał, że ujawnione w rozmowie intymne szczegóły (choćby płeć dziecka, którego spodziewa się para) pojawiły się najprawdopodobniej w wyniku szczegółowej umowy ze stacją CBS. To niby oczywistość, o czym jednak łatwo w chwilach euforycznego klikania w kolejne nagłówki zapomnieć – tematy tych rozmów i poziom ingerencji w prywatność odpytywanych są wcześniej uzgadniane. Ich efekt zaś to wyczyn łączący twórczo dziedziny PR, zarządzania kryzysowego i komunikacji. Dziennikarstwo jest jednym z elementów całej układanki.

Kto kogo nabiera?

Niezależnie od tego, ile wątków było ustawionych, widzowie i komentatorzy zadawali sobie po seansie w CBS śmiertelnie poważne pytania. Czy Meghan mogła targnąć się na życie? Czy Windsorowie to klan potworów? Czy Wielka Brytania powinna przeproszać za rasizm? Czy cierpienia Markle są w jakiś sposób symptomatyczne dla nierównego traktowania Brytyjczyków o innym niż biały kolorze skóry?

Część tych dyskusji – z powodu potencjału do generowania oburzenia – przeskakiwała z łatwością granice. Amerykańskie media cytowały Brytyjczyka Piersa Morgana, znanego także z nie do końca udanej kariery medialnej w USA. Piers pisał o hańbie, jaką wywiad okrył Harry’ego i Meghan.





Gdy księżna Sussex Meghan Markle i książę Harry udzielili Oprah Winfrey wywiadu, świat jakby cofnął się w czasie o ćwierć wieku.

Zadowoleni wydawcy mediów publikowali na prawach cytatu wściekle monologi Morgana i odpowiedzi jego polemistik. Bo z kolei w USA tak jawny spór o rasę i potąjanki ze strony starszego, białego mężczyzny już by nie uszły. Morgan zaś wyżywał się, mówiąc o „nieszczerej, potwornej, jednostronnej, egoistycznej paplaniu” royalsów. Nie znalazł u Amerykanów zrozumienia, nawet jeśli zdobył oglądalność i zasięgi. Wkrótce zresztą te komentarze ściągnęły na niego kłopoty i w ojczyźnie. Konserwatywny prezenter w ogniu polemiki ostatecznie uciekł z planu własnego programu na antenie BBC.

Z nieprzeniknionych po tej stronie oceanu powodów amerykańska prasa uznała bowiem wywiad Winfrey za triumf dziennikarstwa. „Oprah pokazała, jak przeprowadza się wywiad”, pisał „New York Times”. W tym samym tonie komentował „Washington Post” i dodawał, że „każdy dziennikarz może się czegoś od niej nauczyć”. Na stronach CNN historyczka i medioznawczyni Nicole Hemmer ogłosiła, że mamy do czynienia z dziennikarskim Olimpem. „To kwintesencja wywiadów Oprah. Czołowa spowiedniczka kraju od ponad ćwierćwiecza znana jest ze zdolności do wydobywania z człowieka jego emocji i czułych punktów, które pokazuje następnie jako prawdziwe sedno ich bycia. Te słowa – wrażliwość, autentyzm, emocje – to trzon marki Winfrey”, czytamy. Skąd ten zachwyt?

Do wyjaśnienia użyteczny będzie klucz polityki tożsamości czy trwających w Ameryce wojen kulturowych.

Meghan, Harry i ich dzieci (jedno w drodze) zostali uznani za ofiary i choć są milionerami celebrytami, należy się im zgodnie z regułami tej konwencji specjalna ochrona. Fakt, na ile ich rozterki i osobisty dramat powstały w wyniku niebываłego przywileju, został tu pominięty. W czasie powszechnych językowych i symbolicznych wojen wokół takich słów jak wykluczenie, dyskryminacja i dominacja to prywatna krzywda i nieszczęście okazują się ważniejsze niż pozycja w społeczeństwie. Księżna może być Kopciuszkiem. Czy to jednak rzeczywiście pomaga w walce z dyskryminacją, rasizmem lub stygmatyzacją osób z problemami psychicznymi? Dyskusyjne.

Na świeczniku – ale za co?

Najlepszy użytek z całego zamieszania zrobili twórcy i twórczynie memów. Trudno było nie zaśmiać się (i nie przyznać racji), widząc Meghan i Harry’ego u Oprah, siedzących na górach pieniędzy zamiast w fotelach, z dopiskiem: „Jak nam w życiu ciężko”. Inny pokazywał członków rodziny królewskiej w kolonialnych dekoracjach – na autentycznych zdjęciach z różnorodnych „hołdów” składanych przez narody dawnego imperium dopisano złośliwe pytania: czego jeszcze wam, ludzie, było trzeba, by złać royalsów na rasizmie?

Sieciowy humor ostro wypunktował wtórność i hipokryzję dyskusji na temat rodziny królewskiej i jej problemów. Większość mediów mimo wszystko chodziła trochę dookoła

tematu. Jednym z zabawnych i przekornych wyjątków był socjalistyczny „Jacobin”, pismo amerykańskiej radykalnej lewicy, na łamach którego autorzy i autorki rzucili się, by walczyć z monarchią... w Kanadzie. To znaczy, by pisać, że dzięki temu zamieszaniu Ameryka Północna i inne kraje anglojęzyczne w końcu może się obudzić i odrzucić choćby symbolicznie więzi z koroną.

W Polsce zaś ciekawą analizę przedstawił publicysta i poeta Jan Rojewski, proponując kategorię #Royalwashingtonu – medialnego prania wizerunku skompromitowanej instytucji: „Wywiad udzielony amerykańskiej miliarderce świetnie się do tego nadaje. Dowiedzieliśmy się z niego, że 36-letni Harry od roku nie dostaje już pieniędzy od babci, a jego żona płakała, bo nie mogła dopiąć jakiegoś szczegółu związanego ze swoim ślubem. Poza tym oboje »byli uwięzieni«, cokolwiek miałoby to znaczyć. Nie dziwię się, że Brytyjczycy oceniają ich występ negatywnie, ale to dopiero początek. Tamtejsza monarchia nie zostanie obalona (bo i po co?) jak te na kontynencie, ale zamiast tego zapadnie się pod ciężarem własnej żenady. Mowa o ludziach, którzy od urodzenia są obserwowani i stoją na świeczniku, mimo że nie mają żadnych specjalnych umiejętności. Nie śpiewają, nie tańczą, nie grają dobrze w piłkę. W erze social mediów, aby utrzymywać zainteresowanie swoich followersów (niegdyś zwanych poddanymi), zostaje im rozbicie scen takich ja ta”.

To fakt. Użyteczność tej rozmowy skończy się szybciej, niż zaczęła. Ale jej konsekwencje będą poważniejsze. „Smutne, że zmierzach monarchii, podziwianej jako ostatnia taka instytucja Zachodu, zapada w stylu kiepskiej brazylijskiej telenoweli”, konkluduje cytowany już Marek Rybarczyk. I o ile w kwestii telenoweli coś na pewno jest na rzeczy, o tyle z powszechnym szacunkiem i podziwem w świecie Zachodu bywa już bardzo różnie.

W jakimś sensie dziś tak jak ćwierć wieku temu dwie niezbyt lubiane instytucje – media i monarchia – karmią się wzajemnie swoimi najgorszymi instynktami. Efekt jest oszałamiający, ale zostaje po tym wielki kac.

Dymek.substack.com
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Sztuka oddawania

Holendrzy podjęli decyzję – zagrabione obiekty kultury mają wrócić do dawnych kolonii

Mateusz Mazzini

Choć kolekcje największych muzeów w Londynie, Madrycie, Paryżu, Berlinie, Brukseli czy Amsterdamie różnią się pod względem zawartości, jeden czynnik od zawsze je łączył. Wchodząc do tych gmachów, natychmiast napotykało się nie tylko wielką sztukę, ale i świadectwa wielkiej historycznej nierówności. Biały człowiek, przez stulecia w sposób niepokonany wbijający swoje europejskie flagi w najdalszych zakątkach świata, stawiał we własnym domu pomnik brutalnych podbojów. Budował gigantyczne magazyny, w praktyce będące przechowalniami łupów wojennych. Żeby jednak sumienie nie gryzło za bardzo, dobiała do tego misyjna ideologia. Mówił: to w imię czystego piękna, sztuki, jej popularyzacji, pokazywania ludziom na całym świecie, co powstało w naszych koloniach. Ludzie stamtąd nigdy by tego nie zrobili. Nie są przecież zdolni do tak ambitnych działań. Muzeów-magazynów budować u nich też nie ma sensu, bo oni tego nie docenią. Nie wiedzą nawet, jakie mają skarby. Te rzeczy u nich się marnują. Zabiorę je więc do siebie – stwierdzał biały człowiek – bo w przeciwnym razie po prostu popadną w zapomnienie.

Tak przez lata wyglądała rzeczywistość turystyki artystycznej. Aby zobaczyć artefakty z Egiptu, Konga, Polinezji, Kenii czy Argentyny – często z czasów, gdy miejsca te nie nosiły nadanych im przez Europejczyków nazw – jechało się do Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Belgii czy Holandii. Tam oczywiście kolekcje były odpowiednio opisane, pochodzenie przedmiotów nie było akurat ukrywane. To jednak niczego nie zmieniało, bo dumę narodową z imponujących zbiorów, a przy okazji niemałe zyski z obecności turystów, czerpały dawne mocarstwa kolonialne. Twórców

dzieł sztuki, ich rdzennych kultur i inspiracji właściwie nie było – ani na mapie, ani w dyskusji. Stanowiłi punkcik w historii, tak odległy, że niewart wspomnienia. Prawie osiem dekad po rozpoczęciu powojennej dekolonizacji podział na białych dominatorów i podporządkowanych im mieszkańców innego świata trwał nienaruszony.

Rzeczywistość jednak zaczęła się zmieniać, coraz głośniejszy stał się dyskurs o wyrównywaniu historycznych krzywd. Obalano pomniki handlarzy niewolników, rasistom odbierano patronaty nad instytucjami naukowymi. Upadli Woodrow Wilson i Edward Colston. Dostało się Churchillowi. Zadrzała w posadach historyczna polityka, a po niej przyszedł czas na sztukę.

Pierwszy krok zrobił rząd Holandii. Kraju, który pod względem zasobów, potencjału ludzkiego czy geograficznego w samej Europie znaczyłby niewiele. Do rangi światowej potęgi wyniosły go jednak posiadłości kolonialne, od licznych archipelagów na Karaibach po Indonezję na drugim

Po raz pierwszy tak głośno i na taką skalę biały człowiek mówi: kradłem. I teraz to, co ukradłem, chcę oddać.

końcu globu. Potęga ta została oczywiście odzwierciedlona w zasobach muzealnych. Największe placówki, takie jak amsterdamskie Rijksmuseum i Tropenmuseum, przez lata dumnie prezentowały sztukę kolonialną opisywaną niemal jak własna. To już jednak przeszłość. Podpierając się eksperckim raportem, rząd podjął decyzję o zwrocie ponad 100 tys. artefaktów zagrabionych z dawnych kolonii. Co więcej, uzasadniając ją, przyznał się do zbrodni popełnianych w czasach kolonii. „Biorąc pod uwagę nierówności w układzie sił istniejące wtedy [pomiędzy kolonizatorami a mieszkańcami kolonii], musimy



uznać, że obiekty kultury zostały tak naprawdę skradzione”, brzmiał oficjalny komunikat. Po raz pierwszy więc tak głośno i na taką skalę biały człowiek mówi: kradłem. Przez lata, systematycznie, wykorzystując swoją przewagę. I teraz to, co ukradłem, chcę oddać.

Przed holenderskimi władzami byli jednak sami muzealnicy. Już w 2019 r. kierownictwo Rijksmuseum podjęło na własną rękę inicjatywę oddania niektórych swoich zbiorów rządowi Sri Lanki i Indonezji. Tyle że wtedy spora część środowisk artystycznych uznała to za pusty gest wizerunkowy, rozmowy bowiem dotyczyły wprawdzie bardzo cennych,

lecz jedynie 10 przedmiotów, podczas gdy w posiadaniu Rijksmuseum do dziś znajduje się prawdopodobnie aż 1000 artefaktów bezprawnie sprowadzonych z dawnych kolonii. Muzeum chciało zwrócić np. diament należący do władców dzisiejszego Borneo czy wysadzaną rubinami armatę używaną do wystrzałów na powitanie dawnego monarchy Sri Lanki. Wart wymienienia jest zwłaszcza ten drugi obiekt, bo w zbiorach placówki opisany był jako „przedmiot anonimowego autorstwa”. Zwiedzający mogli zatem bez trudu się dowiedzieć, gdzie i do czego był wykorzystywany, ale nie znaleźli ani



słowa o tym, kto go wykonał ani jak znalazł się w Amsterdamie.

Jeszcze zanim inicjatywa nabrała rozpędu, pojawiły się wokół niej olbrzymie kontrowersje. Holenderskie Narodowe Muzeum Kultury Świata (NMWC) przygotowało rekomendacje, na podstawie których dzieła sztuki mogłyby być oddawane ich prawnym właścicielom. Zaledwie 13-stronicowy dokument zakładał jednak, że zwrot nie będzie obowiązkowy, a historia każdego artefaktu będzie rozpatrywana oddzielnie. Innymi słowy, restytucja nie zostanie wpisana w holenderskie prawo. W dodatku odbywać się będzie wyłącznie z wyrażonej inicjatywy dawnych kolonii – Holandia sama z siebie niczego nie będzie oddawać. Zamiast automatycznego zwrotu autorzy raportu proponują inne działania. Jeśli komisja ekspercka uzna, że dzieło sztuki ma zostać w Holandii, może zaproponować rekompensatę w innej formie. Jakiej? To znowu ma zależeć od konkretnego przypadku.

Rekomendacje natychmiast podzieliły społeczność muzealników i aktywistów według łatwych do przewidzenia schematów. Jedni byli zadowoleni, że problem został potraktowany w sposób wystarczająco zniuansowany, bez generalizujących rozwiązań. Drudzy – wręcz przeciwnie. W rozbijaniu procesu restytucji dzieł sztuki na pojedyncze przypadki widzieli przejaw neokolonializmu, oznakę niezdolności białego człowieka do przyznania się do swoich win i oddania tego, co zostało zagrabione.

Już w 2019 r. kierownictwo Rijksmuseum w Amsterdamie podjęło inicjatywę zwrócenia części zbiorów rządowi Sri Lanki i Indonezji.

Ten diament to holenderski łup wojenny. Kiedyś należał do sułtana Banjarmasin w Indonezji i był symbolem jego suwerenności.



I choć sam dyrektor Rijksmuseum Taco Dibbits kajał się w prasie, przyznając, że brak zwrotów jest plamą na holenderskiej historii, że powinno się to zrobić dawno temu i nie ma co szukać wymówek dla dawnych zaniechań, problem pozostawał nierozwiązany.

Tym razem ma być inaczej. Choćaby z tego względu, że inicjatywa ma pochodzić od holenderskiego rządu. Ten z kolei działać ma na podstawie nowego zestawu rekomendacji, tym razem przygotowanych przez specjalistów od kolonializmu, historii sztuki, ale też prawa międzynarodowego. Dwa lata po pierwszym raporcie zmianę widać jak na dłoni. Nowy dokument, adresowany do holenderskiego ministerstwa kultury, zaczyna się wręcz od nakazu – gotowości do

zwrotu sztuki zagrabionej z dawnych kolonii. Dalej można przeczytać, że zwrot ten ma być bezwarunkowy, a Holandia musi swoim byłym koloniom jasno dać do zrozumienia, że jest w stanie przeprowadzić go w każdej chwili. Nawet jeśli nie ma pewności, że do przejścia mienia doszło wbrew woli jego poprzednich właścicieli. Ten punkt ma pomóc rozstrzygnąć losy tych artefaktów, których dzieje były burzliwe albo przynajmniej nieudokumentowane. A do tej grupy może się zaliczać większość obiektów sztuki kolonialnej w holenderskich muzeach.

Co ciekawe, nowe rekomendacje zawierają również punkt o międzynarodowej aktywności Holandii w globalnym procesie restytucji dzieł sztuki. Eksperci chcą, żeby oddane zostały artefakty, które pochodzą z krajów skolonizowanych przez inne europejskie potęgi. A więc nie tylko z Indonezji, Surinamu czy Sri Lanki, ale też krajów, w których holenderskiego dominium nigdy nie było. Dokument stwierdza więc stanowczo, że w holenderskich muzeach od teraz nie będzie miejsca dla przywiezionych z dawnych kolonii dzieł sztuki.

Jak proces ten będzie wyglądał w praktyce, pokażą dopiero najbliższe lata, a może nawet dekady. Holandia poszła w nim na razie najdalej, choć nie jest osamotniona, przynajmniej na poziomie deklaracji. O zwrocie zagrabionych dzieł sztuki już w 2017 r. mówił publicznie prezydent Francji Emmanuel Macron. Odwiedzając Burkina Faso, obiecał, że przygotuje pięcioletni plan restytucji artefaktów, którego pierwszym aktem miał być zwrot 26 obiektów rządowi Beninu. Szybko jednak okazało się, że do tego potrzebna jest odpowiednia ustawa we francuskim parlamencie, sprawa zatem stanęła w miejscu. Poza tym Francuzi wciąż są krok za Holendrami, bo dzieła sztuki, owszem, chcą oddawać, ale tylko na wyraźną prośbę dawnych kolonii. Ani słowa o własnej inicjatywie. Podobnie jest w Niemczech, gdzie akceptacja dla idei restytucji spotyka się z biernością władz państwowych. Biały człowiek niejednokrotnie udawał, że lubi posiadać, a z przedmiotami generalnie trudno mu się rozstawać. Nie ma powodu spodziewać się, że tym razem będzie inaczej.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

POCZTÓWKI z nie całkiem wolnych krajów

Dobry reklamodawca
nie musi już wcale
spełniać standardów
demokratycznych



Aktorka Gwyneth Paltrow reklamuje uroki Dubaju.

Mateusz Mazzini

Długi, uspokajający koncert świerszczy na zielonej polanie. Szum oceanicznych fal uderzających o potężne klify. Kumbajon w pełnym słońcu na ciągnących się po horyzont polach. Potem jeszcze ujęcia zraszczy nawadniających uprawy, kilka wzmianek o zielonym rolnictwie, samowystarczalności i zrównoważonym rozwoju. Krótka reklamówka pokazuje kraj niczym biblijny Eden, tak bogaty w zasoby naturalne, kipiący żywymi barwami, że grzechem byłoby go nie odwiedzić. Mało tego, może nawet warto tu zamieszkać? W dodatku hasła promocyjne, zwizualizowane w postaci wielkich, trójwymiarowych bloków tekstu osadzanych w rajszych krajobrazach, zapewniają, że nowoczesność już tu dotarła i zapuściła korzenie. Oddycha się tu powietrzem XXI w.

To nie jest opis żadnej z potęg politycznych czy gospodarczych. Nie opowiada o życiu w Kanadzie, Japonii czy Australii. Nie pokazuje francuskich ani brytyjskich pól uprawnych. To spot reklamowy Angoli – kraju niespełniającego kryteriów demokracji według badań Freedom House,

zajmującego 57. miejsce od końca w liczącym 210 pozycji rankingu przestrzegania praw i wolności obywatelskich. Państwa, w którym, jak wynika z raportów Międzynarodowej Organizacji Pracy oraz inicjatywy Humanium, co czwarty nieletni zmuszony jest do pracy w celu utrzymania rodziny, a bardzo wielu z nich pracuje w miejscach niebezpiecznych, takich jak kopalnie złota i diamentów, lub jest wykorzystywanych seksualnie za pieniądze. Angola funkcjonuje też jako punkt przerzutowy narkotyków i ludzi, zarówno na terenie Afryki, jak i do Europy. A za wyrażanie swoich poglądów politycznych, zwłaszcza nieprzychylnych obecnemu rządowi, wciąż można tu dostać na ulicy pałką w głowę. Wprawdzie organizowane są regularne wybory, jednak za fasadą ich powszechności i wolności kryją się represje wobec uczestników debaty politycznej, zauważyła Johannes Beck z Deutsche Welle.

Mimo to Angola w wydaniu mlekiem i miodem płynącym gości niemal codziennie w telewizji Euronews. Ten nadający z Lyonu kanał informacyjny jest efektem współpracy kilkunastu organizacji mediowych z Europą i Afryką, zrzeszonych w inicjatywie

Media Global Networks. Jednak za uruchomieniem i finansowaniem telewizji stoi Naguib Sawiris, egipski multimiliarder, magnat telekomunikacyjny i budowlany. Euronews koncentruje się niemal wyłącznie na tematach europejskich, bardzo dużo miejsca poświęcając kwestiom unijnym i newsom z Brukseli; przerw na reklamę ma niewiele. Co ciekawe, te nieliczne są niemal w całości zagospodarowane przez spoty krajów, które nie uchodzą ani za ostoję demokracji i praw człowieka, ani za idealne miejsce do prowadzenia działalności gospodarczej czy nawet spędzenia wakacji.

Jeśli widz nie trafi akurat na widowiskę z rajskiej Angoli, to może się dowiedzieć, jakie atrakcje turystyczne oferuje Arabia Saudyjska. Zobaczyć tańce przy rozpalonym na pustyni ognisku, w których na równych prawach udział biorą uśmiechnięci mężczyźni i rozbawione kobiety. Kiedy zaś blok reklamowy się skończy, widza czeka prawdopodobnie jeden z licznych programów poświęconych Dubajowi lub, szerzej, Zjednoczonym Emiratom Arabskim. Dowie się z niego, że są to miejsca „zmieniające całe życie”, jak o Dubaju mówi dla Euronews brytyjski kucharz celebryta

Gordon Ramsay. Naszpikowane nowoczesnymi technologiami serce świata przyszłości, gdzie kwitnie wolność, a każdy może wybrać swoją ścieżkę. Taki schemat zaoferować można zresztą nie tylko tym, którzy śledzą europejskie kanały.

Jeśli przełączymy się chociażby na CNN, zobaczymy to samo – reklamówki tych samych miast czy państw, czasem tylko z innymi zachodnimi gwiazdami. Amerykańska stacja preferuje akurat krótkometrażowy filmik „Historia się rozpoczyna”, w którym Dubaj zachwala popularne aktorki Gwyneth Paltrow, Kate Hudson i Zoe Saldana. Szybki rajd po pozostałych globalnych kanałach informacyjnych mógłby jeszcze zaowocować zaproszeniami do Kataru, Azerbejdżanu czy Kuwejtu. Czyli państw, które w rankingu Freedom House są jeszcze niżej od Angoli. Kontrast pomiędzy reklamowanym wizerunkiem a rzeczywistością jest szczególnie ostry w przypadku Arabii Saudyjskiej, 10. najgorszego obszaru na świecie pod względem przestrzegania praw obywatelskich i wolności politycznych.

Listę krajów paradytacyjnych, otwarcie niedemokratycznych lub traktujących demokrację co najwyżej fasadowo, które regularnie reklamują się w globalnych mediach głównego nurtu, można by jeszcze poszerzyć o dobrych kilka, a nawet kilkanaście pozycji. Nie powinien też dziwić fakt, że prym wiodą wśród nich państwa Zatoki Perskiej – bardzo bogate, ale mające niewiele wspólnego z poszanowaniem praw człowieka. Dla nich sponsorowanie kolejnych kampanii reklamowych nie stanowi

Futbol zdaje się ulubioną płaszczyzną reklamową niedemokratów.

większego problemu. Wizerunek, a ściślej rzecz ujmując, jego znacząca poprawa, jest natomiast bezcenny. Zwłaszcza gdy na zewnątrz przedstawia się coraz więcej faktów stawiających te państwa w świetle co najmniej niekorzystnym. Niedawny raport dziennika „The Guardian” ujawnił chociażby, że od początku przygotowań do mistrzostw świata w piłce nożnej, które Katar ma zorganizować w przyszłym roku, na budowach poniosło już śmierć 6,5 tys. migrantów.

Trudno oszacować, ile kraje autorytarne wydają na promocję za granicą – dane te najczęściej nie są upubliczniane, podobnie jak honoraria celebrytów występujących w reklamach. Łatwo jednak wyobrazić sobie, że zatrudnienie trzech hollywoodzkich gwiazd, najbardziej znanego na świecie kucharza czy Leo Messiego (który promował Expo w Dubaju) do tanich nie należy. Futbol zresztą zdaje się ulubioną płaszczyzną reklamową niedemokratów. Jak donosi hiszpański

Pomoc sprzedaje się znacznie gorzej niż luksus i wypoczynek.

magazyn sportowy „Marca”, do promowania kraju jako modnego kierunku turystycznego chcieli też Messiego zatrudnić Saudyjczycy. Ten jednak odmówił, podobnie jak jego wielki rywal Cristiano Ronaldo – mimo że każdemu oferowano podobno aż 6 mln dol. za rok działań marketingowych.

Przykład piłkarskich megagwiazd ilustruje ciekawą prawidłowość. Pokazuje bowiem, że jakaś granica w akceptowaniu pieniędzy z autorytarnych krajów istnieje. Miliony z emiratów śmierzda mniej niż saudyjskie petrodolary, przynajmniej im. Bo nie wszystkim, biorąc pod uwagę choćby fakt, że hiszpański związek piłki nożnej przyjął zaproszenie, oczywiście okraszone okazałym czekiem, do przeniesienia ubiegłorocznego meczu o Superpuchar Hiszpanii do Arabii Saudyjskiej.

Być może właśnie pytanie o istnienie i lokalizację tej granicy jest w dyskusji o niedemokratycznych reklamodawcach najciekawsze. Sam fakt pompowania przez nich milionów w kampanie reklamowe nie powinien nikogo dziwić, tak samo jak to, że największe stacje sprzedają

im czas antenowy. To w końcu gigantyczny biznes, który zresztą przekłada się na cenzurę. W końcu wszystkie te kanały donosiły w swoim czasie o morderstwie Dżamala Chaszukdiego, jednoznacznie wskazując zaangażowanie saudyjskiego państwa w całą sprawę. Widać zatem, że spin doktorzy i marketingowcy krajów niedemokratycznych przyjęli strategię opartą na ilości, a niekoniecznie na jakości. Złych historii na swój temat już nie wygłuszają, zwłaszcza w dobie

internetu i coraz trudniejszego do oceniania świata mediów społecznościowych. Wolą je zatem przykryć historiami dobrymi, czasem ciekawymi. Za te drugie nie zawsze nawet muszą płacić. Wspomniana reklamówka Dubaju, zrealizowana nawiasem mówiąc przez znaną z „Opowieści podręcznej” reżyserkę Reed Morano, była produkcją tak cukierkową, że wyżyć się na niej postanowiły największe amerykańskie gazety, na czele z „New York Timesem”. Choć, kto wie, może i to jest elementem akcji promocyjnej? Każdy i tak uwierzy w to, w co zechce.

Warto jednak podkreślić, że to niejedyna droga dla tych krajów. Prześludzone reklamówki z uśmiechami celebrytów mogłyby zamienić na inne spoty, np. o przyjmowaniu uchodźców. Bo fakt, że sześć państw, które zaakceptowały ich u siebie najwięcej, to kraje Zatoki Perskiej, jest relatywnie mało znany. Podobnie jak historia Angoli jako przyczółku dla uciekinierów z Kongo prześladowanych za poglądy. Pomoc sprzedaje się jednak znacznie gorzej niż luksus, bezproblemowy wypoczynek albo perspektywa własnej kariery. Ale przykrywa własne grzechy. Współczesny kapitalizm nieraz już przecież pokazał, że pieniędzmi da się zasypać nawet najgłębszy dół nieetycznych zachowań.

m.mazzini@tygodnikprzeгляд.pl



SPECJALIŚCI od mocnych dokumentów

Jak się robi największy festiwal filmowy w historii Polski

Rozmawia Mateusz Demski

Jak nastrój po Paszportach „Polityki”?

– Wstyd się przyznać, ale ta nagroda wzbudza mieszane uczucia. Kultura przez pandemię znalazła się w opłakanym stanie, sytuacja wciąż jest dramatyczna, więc kiedy człowiek dostaje taką nagrodę, w takich okolicznościach przyrody, to stara się być powściągliwy w fetowaniu sukcesów. Mam nadzieję, że będę jedynym w historii Paszportów odbiorcą takiej nagrody, a kultura wróci na swoje miejsce.

Nie da się ukryć, że rok 2020 był bardzo ciężki dla kultury i ludzi, którzy ją tworzą. Jako Millennium Docs Against Gravity musieliście zredefiniować wszystkie plany, stworzyć nowy wzorzec festiwalu filmowego.

– To był ogromny sprawdzian dla nas wszystkich. Również dla organizatorów szeroko pojętego życia kulturalnego. Instytucje działające zarówno na poziomie lokalnym, jak i ogólnokrajowym zostały postawione przed zasadniczym pytaniem: co jest w obliczu kryzysu najważniejsze? Na ile kultura jest ważna dla samych organizatorów, a zarazem na ile oni są potrzebni swojej publiczności. Z naszej pozycji, to znaczy festiwalu filmowego, który od ponad dekady rokrocznie organizowany jest w kilku polskich miastach w tym samym czasie, najważniejszym wyznacznikiem było zachowanie ciągłości i kontaktu z widzami. Właśnie dlatego jeszcze przed wprowadzeniem pierwszego, marcowego lockdownu podjęliśmy decyzję o przeniesieniu festiwalu z początku maja na wrzesień. Była to jedna z najlepszych decyzji, jakie nasz zespół wspólnie podjął.

W poprzednich latach organizowaliście festiwal wyłącznie w kinach, ale w tym roku pandemia wymusiła na was wprowadzenie formuły hybrydowej – część wydarzeń odbywała się na dużym ekranie, a część w internecie. Jak udało się tak błyskawicznie dostosować do nowych warunków?

– Sytuacja była nowa i dynamiczna. Na początku maja, a więc w terminie, w którym

ARTUR LIEBHART

– założyciel i dyrektor największego w kraju festiwalu filmów dokumentalnych Millennium Docs Against Gravity. Laureat Paszportu „Polityki” 2021 w kategorii kultura zdalna.



co roku planowo odbywał się nasz festiwal, trochę napręde i przy wsparciu dwóch istniejących platform VOD zorganizowaliśmy wydarzenie online: Docs Against Isolation. Ta skromna inicjatywa, która miała być nagrodą pocieszenia, namiastką Millennium Docs Against Gravity, zgromadziła aż 65 tys. widzów. To o tyle zaskakujące, że pokazaliśmy zaledwie 40 filmów, które nasi widzowie znali z poprzednich edycji, a nawet mogli je zobaczyć w telewizji. Inna sprawa, że analizując zasięgi tego wydarzenia, zauważyliśmy, że nasze filmy były oglądane zarówno w Warszawie, jak i w takich wsiach jak Wambierzyce, gdzie wcześniej nie udało nam się dotrzeć. Ten spektakularny wynik pokazał nam więc, że ludzie są spragnieni kina, a tego typu formuła online może dać im poczucie wspólnoty w tym trudnym czasie. I że we wrześniu musimy być przygotowani na dwa scenariusze – festiwalu stacjonarnego w kinach i online.

Również ze względu na wciąż niepewną sytuację epidemiologiczną.

– Im bliżej września, tym więcej energii poświęciliśmy na przyglądanie się nastrojom, emocjom i postawom w społeczeństwie. Braliśmy pod uwagę choćby to, jaki wpływ na stosunek ludzi do przebywania w instytucjach kultury mają zaostrzające się reżimy sanitarne i wprowadzane ograniczenia. Poczuliśmy, że przy wysokim progu strachu najprawdopodobniej konieczne będzie wprowadzenie formuły hybrydowej, uwzględniającej zarówno kina, jak i platformę VOD. Przyszedł wrzesień, festiwal rozpoczęliśmy tradycyjnie w kinach w siedmiu polskich miastach i zobaczyliśmy zaskakujący efekt. Na pierwszy rzut oka było widać, że ludzie nawet w tym trudnym czasie chcą chodzić na nasze filmy. Aby dać widzom więcej komfortu psychicznego, zorganizowaliśmy pokazy w większej liczbie sal niż w latach poprzednich. Pozwoliło to rozrzedzić publiczność, dać poczucie bezpieczeństwa, co zaowocowało 65 tys. widzów w kinach. Nawiasem mówiąc, to najlepszy, tuż po Wenecji, ubiegłoroczny wynik festiwalu filmowego na świecie. Natomiast dwa tygodnie później przenieśliśmy imprezę w przestrzeń wirtualną, gdzie pokazaliśmy 100 filmów i przyciągnęliśmy dodatkowe 101 tys. widzów. Mówiąc obrazowo, przeskoczyliśmy skoczną,

która na potrzeby tego wywiadu może symbolizować popularność festiwali filmowych w Polsce. A noty za styl chyba też były dość wysokie, skoro dostaliśmy ten Paszport.

MDAG przyciągnął łącznie 170 tys. widzów i tym samym stał się największym festiwalem filmowym w historii Polski. To zasługa nie tylko filmów, ale również szerokiej oferty inicjatyw i wydarzeń towarzyszących.

– Bardzo ważne były dla nas działania, które mogłyby zbliżyć twórców i publiczność. W trakcie pierwszej części festiwalu, która odbyła się w kinach, udało nam się zorganizować wiele spotkań na żywo. Polskie reżyserki i reżyserzy jeździli od miasta do miasta i rozmawiali z publicznością, spotkania i panele dyskusyjne z zagranicznymi gośćmi nagrywaliśmy za pośrednictwem komunikatorów internetowych. Poza tym przygotowaliśmy zestaw materiałów dodatkowych, które miały urozmaicić i wzbogacić uczestnictwo

Mam nadzieję, że będę jedynym w historii Paszportów odbiorcą takiej nagrody, a kultura wróci na swoje miejsce.

w festiwalu. Z tych naszych wysiłków, z tego szerokiego inwentarza filmowo-merytorycznego i połączenia dwóch przestrzeni kontaktu ze sztuką filmową wytworzyła się nowa jakość, która zainteresowała stałych widzów i przyciągnęła nowych.

Mówił pan przecież, że festiwal dotarł w najdalsze zakątki kraju. Z tego wynika, że przejście do internetu niesie korzyści.

– Na pewno widzimy w tym sposób docierania do coraz to nowych grup społecznych. Stworzenie platformy VOD sprawiło, że filmy festiwalowe po raz pierwszy na taką skalę mogły zostać obejrzone przez osoby, które nie mieszkają w największych ośrodkach kulturalnych kraju i nie mają do pewnych wydarzeń dostępu. Inną grupą są ci, którzy nawet jeżeli mieszkają w dużych miastach, to ze względu na rodzinę i pracę nie mogą sobie pozwolić na uczestnictwo w trwającym prawie dwa tygodnie festiwalu. Możliwość oglądania filmów w domu traktujemy więc jako bardzo ważny aspekt, który przyczynia się do przełamywania barier i wyrównywania szans w dostępie do

kultury. Również jako sposób nawiązania więzi z osobami nieuprzywilejowanymi ekonomicznie, których nigdy wcześniej na naszych seansach nie widzieliśmy. Nie mam wątpliwości co do tego, że doświadczenie online z festiwalami filmowymi już zostanie. **Ale bierzecie pod uwagę powrót do kina? Inaczej jednak ogląda się film na sali, w obecności innych widzów.**

– Ależ oczywiście. W tym momencie olbrzymim zadaniem dla organizatorów festiwali i dla instytucji powołanych do upowszechniania kultury filmowej jest znalezienie takiego sposobu, który nie zaburzy dotychczasowego porządku. Nie mam wątpliwości, że prawdziwą świątynią sztuki filmowej jest kino z dużym ekranem i to tam powinno się znajdować centrum wszelkich wydarzeń. Tak samo ma się sprawa z muzyką i salami koncertowymi, w przypadku zaś teatru w ogóle nie wyobrażam sobie przejścia do internetu. Rzecz jasna, żyjemy w czasach globalnej

cyfryzacji i wielkich portali streamingowych. Musimy się przystosować do tych nowych realiów i zwyczajów widza internetowego, a przy tym podjąć próbę stworzenia alternatywy dla filmowej paszy, którą można znaleźć w ofercie największych graczy na rynku. A kiedy już normalność do nas powróci, to czuję, że ludzie i tak masowo wrócą do wspólnego przeżywania kina w kinie.

W śmierć kina spowodowaną postępującą cyfryzacją też pan nie wierzy?

– Wciąż są twórcy przekonani o tym, że ich filmy są przeznaczone do oglądania wyłącznie na dużym ekranie. Niech przykładem będzie Céline Sciamma, francuska reżyserka nagrodzonego na festiwalu w Cannes „Portretu kobiety w ogniu”, która otrzymała lukratywną propozycję, aby prawa do światowej dystrybucji tego tytułu sprzedać Netflixowi. A jednak twórcy powiedzieli „nie” i odmówili współpracy. Bardzo podobny przykład dają właśnie organizatorzy Cannes, najważniejszego festiwalu filmowego na świecie, którzy wyznają zasadę, że jeśli dana produkcja

► nie jest przeznaczona do dystrybucji kinowej, to do oficjalnej festiwalowej selekcji nie ma wstępu. Nie jesteśmy więc skazani wyłącznie na streaming. Kina nie przestaną istnieć z jednego prostego powodu – streaming nie daje wystarczającego zwrotu wielkim studiom produkcyjnym. To kina wciąż generują główny przychód, który zapewnia stabilność branży i byt całego Hollywood.

MDAG od 17 lat konsekwentnie promuje pełnometrażowe kino dokumentalne, które pozwala wyrobić sobie opinię na wiele ważnych społecznie tematów. Czy trudno było się przebić z taką formą sztuki filmowej do masowego odbiorcy?

– Naszą podróż rozpoczęliśmy w 2004 r. Wówczas pokazaliśmy zaledwie 19 filmów na jednej sali w Kinotece w Warszawie. Notabene trudno to nazwać festiwałem, nawet w katalogu funkcjonowaliśmy jako przegląd. Ale już podczas tej pierwszej, zorganizowanej małym kosztem imprezy okazało się, że istnieje zapotrzebowanie na ambitne dokumenty. I tak ta podróż się zaczęła, dalszy rozwój był błyskawiczny – już przy drugiej i trzeciej edycji udało nam się zdobyć dużych sponsorów, od 2008 r. rozszerzyliśmy działalność do dwóch miast. Aktualnie jesteśmy w tym samym czasie w aż siedmiu miastach z programem filmowym i spotkaniami po projekcjach.

To sukces pewnej idei...

– Już na etapie pierwszej edycji zależało nam na pokazywaniu specyficznego rodzaju kina dokumentalnego, którego w Polsce nie było. Postawiliśmy zatem na dokumenty poruszające ważne tematy społeczne, obyczajowe, polityczne, które przy tym wszystkim zachowywały wizualne, czysto filmowe walory. Z upływem lat dodawaliśmy do tej koncepcji kolejne elementy. W 2007 r. wprowadziliśmy konkurs poświęcony filmom ekologicznym. W kolejnych latach pochylaliśmy się nad dramatycznymi świadectwami kobiet z najdalszych zakątków świata. W 2008 r. zaprosiliśmy do współpracy Amnesty International, organizację monitorującą od 30 lat naruszanie praw człowieka.

W ten sposób pokazujemy losy ludzi oddalonych od nas czasem o tysiące kilometrów oraz inne spojrzenie na świat, które pobudza do refleksji, dyskusji, działania.

A jak pan myśli, skąd się bierze panująca od pewnego czasu w Polsce moda na dokument? Jaki sposób na widownię znaleźliście przez te 17 lat?

– Nigdy nie chcieliśmy ograniczać się do trwającego dwa tygodnie festiwalu. Nasze działania od początku zakładały aktywne, całoroczne plany – zależało nam na ogólnopolskiej



Kadr z filmu „Dla Samy”

promocji i dystrybucji filmów w kinach oraz na ich sprzedaży do telewizji. Już po kilku miesiącach naszego istnienia okazało się, że wprowadzamy do polskich domów tyle dokumentów, ile nigdy wcześniej nie widziano. A nie jest to lekkie kino, nie przyciąga magią dużych nazwisk. Nasza praca przyczyniła się zatem

Dokument to nie jest lekkie kino, nie przyciąga magią dużych nazwisk.

do wychowania świadomej widowni, która w kinie poszukuje czegoś więcej niż łatwej rozrywki. Kino dokumentalne jest kinem wymagającym i inspirującym. Zmusza do zadumy, zbliża do drugiego człowieka, stoi za nim idea poszukiwania autentyczności. To trend, który można zauważyć na świecie – młodzi, korzystający z kina ludzie nieprzypadkowo wybierają dokument zamiast filmów fabularnych.

Może mamy już dość naskórkowego odbierania rzeczywistości, czym karmi nas nowe media? Coraz bardziej tęsknimy do kontaktu z prawdziwym człowiekiem.

– Zgadzam się. Naskórkowość jest najskuteczniejszym zabójcą naszego zainteresowania światem. Żyjemy w czasach, kiedy ludziom sprzedaje się informacje w formie szczątkowej i wyrwykowej. Weźmy „Ostatniego z Aleppo”, dokument, w którym poznajemy nie tylko ogrom zniszczeń, jakich dokonała wojna w Syrii, ale i osobistą tragedię ludzi, którzy w tych wydarzeniach brali udział. Nasza wiedza o konflikcie syryjskim sprowadza się zwykle do kilkusekundowych migawek z mediów społecznościowych. Natomiast dokument otwiera szansę na przebicie się przez tę powierzchowną warstwę, pokazuje bardziej złożony obraz rzeczywistości poprzez losy bohaterów filmu. Dokument jest bezcenny, bo stanowi rodzaj syntezy i zarazem analizy emocji, które stoją za sytuacjami spotykającymi ludzi.

Jak będzie wyglądała najbliższa edycja Millennium Docs Against Gravity?

– Planujemy zorganizować festiwal w maju. Zaczniemy od wersji stacjonarnej, kinowej, a następnie umożliwimy dostęp do filmów w internecie. Wszystko zależy od tego, czy na taki wariant koronawirus nam pozwoli. Mamy już zaprogramowaną ponad połowę filmów. I wiele z nich można uznać za dowód, że dokument nie tylko silnie rezonuje z najbardziej aktualnymi problemami współczesnego świata. Jeden z filmów nie jest być może dosłowną relacją ze „zdobycia Kapitolu”, ale opowiada o ludziach,

którzy tam byli i popierają taki stosunek do świata. Będziemy więc za pośrednictwem kina reagować na rzeczywistość i poszerzać świadomość naszej widowni.

W poprzednich latach motto naszego festiwalu brzmiało: „Zobacz, czy rozumiesz świat i czy świat rozumie ciebie”. Teraz wychodzimy do widzów z hasłem „Z czułości do świata”, bo zarówno twórcy filmów dokumentalnych, organizatorzy festiwalu, jak i widownia dzielą to współodczuwanie i troskę. Próbuje wyzwoić to, co najważniejsze w kinie, a także w prawdziwym życiu – emocje.

Mateusz Demski

NA EKRANACH

NOMADLAND

reż. Chloé Zhao, prod. USA,
w kinach od 19 marca

Fern w efekcie kryzysu w 2008 r. straciła pracę, dach nad głową i wiarę w sprawiedliwość. Ale skoro wciągnęła się w nią Frances McDormand, nie ma obaw, że zobaczymy kolejny dramat o kobiecie na dnie. I rzeczywiście: bohaterka nie pozwala nawet nazywać siebie bezdomną, a co dopiero uważać się nad sobą. Mieszka w kamperze, którym przemierza Stany, a na przystankach żyje za minimum. To podtapie pracę przy pakowaniu paczek dla Amazona, to najmie się w knajpie, by w kolejnym miejscu sprzątać po-



le namiotowe. Reżyserka Chloé Zhao nie próbuje zaczarować rzeczywistości – pokazuje problemy bezmiejscowych (tak mówią o sobie ludzie żyjący jak Fern) z dostępem do służby medycznej czy napiętnowanie, jakie funduje im zamożna część społeczeństwa. Ale nigdy nie odmawia swojej bohaterce godności, nawet gdy jej wybory wydają się kontrowersyjne, stoi po jej stronie. I choć

Artur Zaborski

KURTyna W GÓRĘ

MIĘDZY OKŁADKAMI

POETKA W CZASIE MARNYM

Poetka (Krystyna Janda) wiedzioną przecuciem rychłej śmierci i dręczona obawą, że jej męża nie będzie stać na pogrzeb, rozpoczyna starania, aby jej pochówek odbył się na koszt państwa w alei zasłużonych. Jej trud może wydawać się daremny, skoro

najbliżsi, nawet ukochany mąż, z zawodu księgowy, nie doceniają jej wysiłku i pytają o korzyści materialne, jakie daje pisanie. Lży więc świat, miota przekleństwami, przypominając swoją słowną agresją protesty Strajku Kobiet. Ten pozornie plugawy język przynosi oczyszczenie, staje się jedyną skuteczną formą pozbycia się bezradności i wyrazem gniewu

na obojętność i głupotę wielu ludzi – to tak przy okazji wytyk pod adresem ciotek kulturalnych zasromanych brzydkimi słowami.

Głębię spektaklowi nadaje poezja, wiersze, które płyną od czasu do czasu ze sceny: wykonany w duecie poemat o muzyce cmentarnej (Janda, Warchoł), a na koniec piękna fuga o odchodzeniu i pozostawianiu po sobie śladu, którą obdarza widzów Olgierd Łukaszewicz. Bo tak naprawdę to jest spektakl o śmierci bez trwogi.

Tomasz Miłkowski

Jarosław Mikołajewski, „Aleja Zasłużonych”, reżyseria Krystyna Janda, Teatr Polonia, premiera 26 lutego 2021



Mary Reynolds

Ogrodowe przebudzenie. W trosce o ziemię i nas samych

tłum. Katarzyna Makaruk

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021

Powoli robi się wiosna. Za moment znów ruszymy do ogrodów i na działki, wtedy warto sięgnąć po książkę, w której Mary Reynolds opisuje, na czym powinna polegać prawdziwa więź człowieka z przyrodą. Przedstawia wizję odnowy ogrodu jako siedliska dla roślin karmiących i wspierających swojego opiekuna, udzielając przy tym czytelnikom wielu bezcennych rad. To połączenie atlasu przyrody, poręcznego poradnika i zbioru „zielonych” esejów czyni książkę nieoczywistą propozycją. Od babcinych porad po filozoficzne dysputy, od kwestii designu po DIY (*Do It Yourself*). Reynolds pokazuje, że kształtowanie ogrodu może być jednocześnie rodzajem pracy nad sobą. Ogrodnictwo ma zatem wielki aspekt duchowy, który dużo łatwiej odkryć i pielęgnować, gdy ma się taki literacki przewodnik.

Rafał Piłkuła



NA POWAŻNIE

MIŁOŚĆ I REWOLUCJA

„Olga” to muzyczna opowieść związana z polityczną historią Brazylii wystawiona w Operze Bałtyckiej. Rzadko możemy usłyszeć współczesną operę z tego kraju, ale teatr w Gdańsku ma Brazylijczyka na dyrektorskim stanowisku. Poznajemy losy dziewczyny wrażliwej na krzywdę społeczną, która trafiła na czasy ścierających się totalitaryzmów, komunizmu i faszyzmu. Do przedstawienia zaangażowano czołówkę polskich wokalistów, którzy część swoich kwestii śpiewają, a część mówią, jak w operetce. Publiczność może też wysłuchać dawno u nas niespiewanej „Międzynarodówki”.

Bronisław Tumiłowicz



Jorge Antunes, „Olga”, kierownictwo muzyczne José Maria Florêncio, reżyseria Romuald Wicza-Pokojski, Opera Bałtycka, spektakl 7 marca 2021

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Katarzyna Niedurny

– Wychodziłem z domu i spotykałem ludzi z najwyższych kręgów intelektualnych. Tu na rogu mieszkał Andrzej Wajda, w najbliższym sąsiedztwie gen. Bałuk – jeden z ci-chociemnych, uczestnik powstania warszawskiego. Obok wybitni architekci, adwokaci, profesorowie. Jesteśmy ludźmi Żoliborza – o życiu w najmniejszej dzielnicy Warszawy opowiada Daniel Passent.

Wraz z początkiem działań Strajku Kobiet Żoliborz z dużą częstotliwością zaczął się pojawiać w gazetach. Jako modna dzielnica spacerowa, rzecz jasna. Szczególnie dla dużych grup zorganizowanych, z kulminacyjnym punktem programu przed budynkiem przy ulicy Mickiewicza. Surowym, mało charakterystycznym, nawiązującym do tradycji willi modernistycznej. Ta forma miejskiej turystyki nie pozwala jednak w pełni uchwycić niezwyklej historii, architektury i atmosfery wyjątkowej dzielnicy.

Niepodległy Żoliborz

Wyjątkowej, bo najbardziej podkreślającej swoją odrębność. – Kiedy wychodzę z domu, to w którąkolwiek stronę bym poszedł, zawsze dochodzę do granic Żoliborza – mówi mieszkający w centrum dzielnicy Daniel Passent. – To osobne miasteczko, w którym wszystko da się załatwić. Mało jest powodów, żeby stąd wyjeżdżać – dodaje.

Kazimierz Brandys opisywał to miejsce jako wyspę i utopię. Sama zaś po przeprowadce na ulicę Popiełuszki szybko dowiedziałam się, że właściwa nazwa to Stołeczna.

– Chociaż oficjalnie zmieniono ją w latach 90., bo władzom wydawało się dziwne, że w stolicy jest Stołeczna. Myślano, że to niepotrzebne powtórzenie. Tymczasem mieszkańcy wiedzieli, że tą ulicą do Warszawy dopiero można dojechać, bo Żoliborz to jednak inne miasto – tłumaczy Igor Piotrowski z Instytutu Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego.

Pierwsze plany zagospodarowania przestrzennego Żoliborza powstały w 20-leciu międzywojennym na fali niepodległościowego entuzjazmu. Wcześniej te tereny były właściwie

Wyspa Żoliborz

To osobne miasteczko, w którym wszystko da się załatwić. Mało jest powodów, żeby stąd wyjeżdżać – mówi Daniel Passent



puste. Dawna zabudowa została zburzona pod konstrukcję Cytadeli. Z przeszłości ocalała tylko nieco filuterna francuska nazwa Joli Bord, czyli piękny brzeg, jak miała go ochrzcić Marysieńka Sobieska zamieszkująca w pałacyku położonym na pobliskim, nazwanym na jej cześć wznie-sieniu – Marie Mont, co przetrwało z kolei w dzisiejszej nazwie dzielnicy Marymont.

Dużo było tu miejsca pod szerokie, reprezentacyjne aleje, parki, kameralne budownictwo w pełni czerpiące z angielskiej koncepcji miasta ogrodu. To była nowa dzielnica dla nowej Polski kontrastująca z ciasnotą XIX-wiecznego miasta. Zapowiedź świetlanej przyszłości II Rzeczypospolitej. Dodatkowo zaś oddzieleniu Żoliborza od starej Warszawy sprzyjały jego granice. Z jednej strony – rzeka, z drugiej tory kolejowe.

– W 20-leciu do centrum trzeba było jechać przez bardzo nieoczywiste, zamknięte tereny: dużą dzielnicę żydowską albo częściowo przynajmniej spauperyzowaną, niezadbaną

i niebezpieczną starówkę – tłumaczy Igor Piotrowski.

W tak oddzielnym świecie centrum wyznaczał plac Wilsona – rozchodzące się od niego ulice (Adama Mickiewicza, Juliusza Stowackiego i Zygmunta Krasińskiego) dzieliły przestrzeń na części. Historycznie pierwszą był Żoliborz Oficerski. – Tutaj widać tradycyjne oblicze dzielnicy. Po odzyskaniu niepodległości ostatnim wzorem narodowej architektury był styl dworski. To on stał się podstawą budownictwa dla konserwatywnych wojskowych – wyjaśnia badacz. I rzeczywiście, odchodząc kilka kroków od głównych arterii, wkracza się w inny świat. Przy uliczkach do dzisiaj stoją obok siebie białe dworki, jak wyjęte z „Pana Tadeusza”. Tutaj, czyli w mieście, kilka minut tramwajem do ruchliwego centrum.

W czasie II wojny światowej Żoliborz nie poniósł tak dużych zniszczeń jak reszta stolicy – większość zabudowy została zachowana. Nie spodziewanie więc w porównaniu z odbudowaną starówką ta dzielnica,



Na początku XX w. przechodniów szokowała bryła modernistycznej willi architektów Brukskich.

Szklany Dom przy Mickiewicza 34/36 zbudowany został według zasad Le Corbusiera.

pomyślana jako nowoczesna, stała się w Warszawie ostoją przeszłości i tradycji.

Czerwony Żoliborz

W latach 20. i 30. spacerujący zachwycali się jednak przede wszystkim nowoczesnością. Ich wzrok przyciągała szokująca jak na tamte czasy bryła modernistycznej willi architektów Brukskich (Niegolewskiego 8), zaskakiwały rozwiązania wprowadzane na osiedlach i koloniach. Niewątpliwie ciekawość budził Szklany Dom (Mickiewicza 34/36) – zwieńczenie architektury przedwojennej – zbudowany ściśle według zasad Le Corbusiera i wyposażony w parking podziemny, pełne zaplecze socjalne oraz trzy tarasy dostępne dla mieszkańców. Na jednym z nich na przyjęciu gościł po wojnie sam Pablo Picasso.

Nowość wiązała się także z lewicowością. Kolejnym przymiotnikiem, który łatwo przylegał do słowa Żoliborz, jest czerwony. Odpowiedzialny za to był głównie szybko rozrastający

się ruch spółdzielczy. W latach 20. działało tu aż 27 spółdzielni! Najważniejsza to założona z inicjatywy Polskiej Partii Socjalistycznej i Związku Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa. – To symbol żoliborskiej inteligencji. W tych domach zawsze mieszkali ludzie o spółdzielczo-lewicowo-socjalistycznej proweniencji. Dziś na ich cześć nazywane są ulice. Na przykład ulica Teodora Toeplitza – nadmienia Daniel Passent.

Pomysł na działanie spółdzielni był prosty. W budowanych koloniach mieszkania miały być małe i wygodne. W sam raz dla osiedlającej się

W latach 20. działało tu aż 27 spółdzielni, w tym najważniejsza – Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa.

tam klasy robotniczej. Rekompensatą za niewielką przestrzeń prywatną była duża przestrzeń publiczna – stółki, pralnie, suszarnie i rozległe tereny zielone. Szybko okazało się jednak, że w planowaniu tej inwestycji zabrakło jednego elementu – mieszkania nie były tanie. A przynajmniej okazały się zbyt drogie jak na kieszeń polskiego robotnika, który znacznie chętniej osiedlał się na pobliskim Marymoncie, zostawiając przestrzeń nowej dzielnicy bogatszym.

Chociaż nie wszystkim dobrze się tu powodziło. Ten modernistyczny

sen miał również koszmarną stronę. W 20-lecie istniał położony tuż przy torach (okolice dzisiejszej ulicy Rydygiera) Żoliborz Barakowy, czyli slamsy dla biedoty mieszkającej w starych wagonach i poskładanych z byle czego chatkach. – O tym miejscu w ogóle się nie mówiło, a już na pewno nie jako o części „prawdziwego Żoliborza”, który miał być w końcu ładny i nowoczesny, a nie brzydki i biedny – podkreśla Igor Piotrowski. – Wizerunek dzielnicy został uratowany przez wyrzucenie z pamięci jej części.

Jak więc było z czerwonym Żoliborzem? – Żoliborz może być bardziej czerwony niż reszta Polski, ale pamiętajmy, że ten kraj nie był przesadnie lewicowy. I tu daleko było do przesady. Udało się za to stworzyć mit tej dzielnicy, przede wszystkim dzięki inteligencji, członkom spółdzielni, którzy wprowadzili się tu zamiast robotników. I którzy mieli po wojnie szeroki dostęp do mediów, więc mogli opowiadać o dzielnicy, co chcieli – dodaje varsavianista.

W latach 70. wprowadzili się tu Agnieszka Osiecka i Daniel Passent. Dom, w którym dziennikarz mieszka do dziś, zbudowany został przez kolejną spółdzielnię – tym razem Spółdzielnię Mieszkaniową Oświata – i początkowo miał być przeznaczony, podobnie jak inne zabudowania przy ulicy, dla członków Zespołu Pieśni i Tańca Mazowsze. Jednak przypisany do niego właściciel zrezygnował i w ten sposób dom trafił do słynnej pary. – Byłem jednak związany

z Żoliborzem, na długo zanim się tu sprowadziłem, ponieważ mieszkali tu moi najbliżsi przyjaciele – opowiada Passent. I wymienia dziennikarza Andrzeja Krzysztofa Wróblewskiego, historyka prof. Andrzeja Garlickiego, fizyka prof. Mariana Grynberga, operatora filmowego i reżysera Marka Nowickiego, a także swoich sąsiadów – wybitnych architektów, adwokatów, przedstawicieli świata artystycznego, w tym mieszkających przy sąsiedniej ulicy Krystynę Zachwatowicz i Andrzeja Wajdę. – Do żoliborskiej inteligencji zaliczyć ▶



Żoliborz upodobał sobie artyści i inteligencja.

- ▶ też można Jarosława Kaczyńskiego. Ale on nie przynosi chwały dzielnicy – dorzuca Passent.

Zielony Żoliborz

W głowach słuchaczy radiowych przebojów Żoliborz, zgodnie ze słowami piosenki zespołu T.Love, pozostaje nade wszystko zielony. Dzielnice rzeczywiście można przejść tropem skwerów i parków. Od Sądów Żoliborskich, w których, jak sama nazwa wskazuje, co roku kwitną drzewa owocowe, przez park Żeromskiego z pozostałościami Fortu Sokolnickiego, po ulubione miejsca spacerów Daniela Passenta – park przy dawnej Cytadeli i kanałek w parku Kępa Potocka. Tego obrazu dopełniają ogrody przy domach jednorodzinnych i osiedlach. Zgodnie z założeniem WSM najwyższej 50% każdej działki przeznaczone było pod zabudowę – reszta to miejsce na tereny zielone.

Pasy zieleni pojawiają się również dość niespodziewanie między jezdniami szerokich ulic, co najbardziej jest widoczne w alei Wojska Polskiego. Tu akurat zadziałał przypadek bądź, jak kto woli, porażka oficerskiego planu. Początkowo trasa prowadząca od placu Grunwaldzkiego aleją przez plac Inwalidów miała pełnić funkcje reprezentacyjne. Zamierzano dobudować tu kolejne ulice: Kawalerii, Artylerii... i stworzyć z tego kompleksu miejsce defilad oraz przemarszów wojskowych. Zanim jednak ukończono budowę, wybuchła

II wojna światowa. Projekt nie został dokończony, a władze PRL nie chciały kontynuować sanacyjnego planu. Za to stworzyły własne arterie, bliżej centrum. Tym sposobem szeroka ulica została inaczej zagospodarowana. Zamiast żołnierzy można na niej spotkać spacerowiczów oraz klientów weekendowego bazaru śniadaniowego – jednej z lokalnych inicjatyw mieszkańców. Z pożytkiem dla dzielnicy.

Współczesny Żoliborz

Poruszający tematy ekologiczne „Wilsoniak” wydaje się bardziej lewicowy, poważny „Informator Żoliborza” lekko konserwatywny. Jako darmowe periodyki nie leżą raczej

Rekompensatą za niewielką przestrzeń prywatną była duża przestrzeń publiczna – stołówki, pralnie, rozległe tereny zielone.

w tych samych miejscach. „Gazeta Żoliborza” ma najbardziej rozrywkowy repertuar – na słupach ulicznych widać reklamujące ją plakaty, z których uśmiecha się Maciej Orłoś. Do tego istnieje spora liczba grup sąsiedzkich w mediach społecznościowych. Mieszkańcy najmniejszej dzielnicy Warszawy zdecydowanie mają co czytać.

Innym wyrazem przywiązania do lokalności są tu nazwy. Trzeba mówić plac Wilsona tak, jak się pisze, a nie kierując się oryginalną wymową nazwiska znanego polityka. Warto

używać starych nazw ulic, takich jak wspomniana Stołeczna. To podkreśla przynależność, tajną wiedzę niedostępną reszcie mieszkańców stolicy (choć mnie, Ślązaczce, jej zdobywanie wychodzi całkiem dobrze). – Moja ciotka żoliborzanka do 1989 r. używała przedwojennej nazwy plac Wilsona, chociaż stał się on placem Komuny Paryskiej. Kiedy po przełomie wrócono do dawnej nazwy, ciocia zaczęła używać tej PRL-owskiej – śmieje się Piotrowski.

Przywiązanie do dzielnicy to także własna mapa miejsc ulubionych. Dla Daniela Passenta to kawiarenki w parku w pobliżu Cytadeli, kawiarnia Bliklego na placu Wilsona, winiarnia Winny Przystanek przy placu Inwalidów. – A pomyśleć, że kiedy się wprowadzałem w latach 70., był tu tylko jeden punkt żywienia zbiorowego: bar mleczny na Czarnieckiego – uśmiecha się dziennikarz. – Tożsamość bierze się ze wspólnoty. Jesteśmy ludźmi Żoliborza, bo jesteśmy zadowoleni z tego, jak się rozwija, jaki jest ładny i sympatyczny. Nie chciałbym mieszkać w innym miejscu. Ten dom to stolica mojej rodziny i ciekaw jestem, kto tu zamieszka, kiedy z żoną wyprowadzimy się już na zawsze.

Czasem tożsamość kształtuje się w protestach. Od kilku lat punktem zapalnym jest kwestia mostu na Pragę – przedłużenia ulicy Krasińskiego. Dzięki niemu można ułatwić dojazd do centrum. Nie jest to jednak po myśli żoliborzan, którzy obawiają się wzmożonego ruchu. Powrót do rozmowy o inwestycji oznacza

kolejne petycje i listy wyrażające sprzeciw wobec budowy. – Złośliwi powiedzieliby, że żoliborzanie przede wszystkim nie chcą, żeby po dzielnicy chodzili im ludzie z Bródna, tradycyjnie zamieszkanego przez proletariát – kończy nasz spacer po dzielnicy Igor Piotrowski.

Najwidoczniej Żoliborz lubi swoją *splendid isolation*.

Katarzyna Niedurny

W czasie pisania korzystałam z publikacji „ŻOL. Ilustrowany atlas architektury Żoliborza” wydanej przez Centrum Architektury.

10 FAKTÓW O KŁAMSTWIE

1. Wszyscy kłamią...

... czasami, a nawet kilka razy dziennie, choć niewiele osób przyznałoby się otwarcie do kłamstwa. Wyobraź sobie, że na ulicy zaczepia cię dziennikarz, który przeprowadza sondę, i pyta cię, jak często kłamiesz. Powiedziałbyś prawdę? Odpowiedz sobie w duchu. Z reguły wydaje nam się, że wszyscy dookoła kłamią, a my jesteśmy najbardziej uczciwi i prawi. Tymczasem każdy w mniejszym lub większym stopniu nagina prawdę. Czasem myślimy nawet, że kłamcy to ludzie z jakimś dziwnym defektem, wadą, której my na pewno nie posiadamy. Kłamiemy jednak wszyscy i robimy to nawet kilka razy w ciągu dnia. W większości przypadków sięgamy po białe kłamstwa, czyli te wypowiedziane dla czyjegoś dobra lub po to, by nie zrobić komuś przykrości. Choć nie są intencjonalne ani egoistyczne, lecz altruistyczne – niemniej jednak wciąż są to kłamstwa.

2. Nie ma niezawodnej oznaki kłamstwa

Jedno spojrzenie i już wiem, że ktoś kłamie! Kiedy słyszę, że ktoś tak mówi, jestem pewna, że ta osoba nie ma zbyt dużej wiedzy o psychologii kłamstwa. Niestety, nie ma jednego gestu, jednej mikroekspresji czy ruchu, który wskazywałby w stu procentach na to, że właśnie spotkał się na swojej drodze oszusta. Wykrywanie kłamstwa polega na analizie wielu wskaźników kłamstwa naraz. Osoba, która wykrywa kłamstwo, szuka wskazówek świadczących o tym, że ktoś doświadcza silnych emocji podczas odpowiadania na niewygodne pytania. Pod wpływem stresu czy strachu ciało zdradza myśli, wysyłając na zewnątrz sygnał fałszu. Gdybyśmy znali niezawodną oznakę kłamstwa, prawdopodobnie wszyscy kłamaliby mniej. Jeden z mitów na temat kłamania mówi, że kłamca nie potrafi utrzymywać kontaktu wzrokowego. Przypomnij sobie moment, w którym jako dzieciak coś przeskrobałeś, a twój rodzic zawołał cię i powiedział: „Spójrz mi w oczy i powiedz prawdę”. Większość z nas znalazła się

Wszyscy kłamią

Profilanka radzi,
jak wiedzieć
więcej niż inni



w podobnej sytuacji i z biegiem lat nauczyliśmy się, że prawdopodobność zależy od patrzenia w oczy. Dlatego też, gdy zdarza nam się kłamać, utrzymujemy kontakt wzrokowy dłużej niż zwykle, by nie zostać przyłapanym na gorącym uczynku. Patrzymy dłużej na drugą osobę również po to, by sprawdzić, czy połknęła haczyk i kupiła naszą historię.

3. Nie istnieją kłamcy idealni

To, że ktoś nie został zdemaskowany i przyłapany na kłamstwie, nie oznacza jeszcze, że jest kłamcą idealnym. Tak naprawdę każdy z nas – oprócz kłamców patologicznych – wysyła pewne sygnały, gdy kłamie. Niektóre z nich, np. mikroekspresje, są automatyczne. Nawet jeśli próbujemy je powstrzymać, to na sekundę prawdziwa emocja ujawnia się na naszej twarzy. Problem polega tylko na tym, że nie zawsze druga osoba ma na tyle intuicji lub jest na tyle przeszkolona, by z lawiny informacji wyłuskać ziarno prawdy.

4. Ludzie z reguły są kiepscy w wykrywaniu kłamstwa

Wykrywanie kłamstwa to bardzo trudne zadanie. Aby to zrobić skutecznie, w jednym momencie trzeba analizować wiele czynników – gesty, słowa, mimikę, pozycję ciała, przestrzeń osobistą, brzmienie głosu rozmówcy. Dodatkowo od samego początku musimy znać punkt odniesienia danej

osoby, normę, dzięki której będziemy mogli wychwycić rzeczy niepokojące. Przeciętny człowiek bez odpowiedniego przygotowania nie będzie wiedział, na co dokładnie zwracać uwagę. Co więcej, najczęściej zwracamy uwagę głównie na treść wypowiedzi potencjalnego kłamcy, skupiamy się na tym, co mówi. A tymczasem wprawny kłamca będzie nad tym panował i ważył słowa, by nie zostać zdemaskowanym. Poza tym gdybyśmy byli dobrzy w wykrywaniu kłamstwa, uniknęlibyśmy wielu przykrości w naszym życiu, a nie ma chyba na świecie człowieka, który by nigdy nie został oszukany.

5. Nie istnieje stuprocentowo skuteczny wykrywacz kłamstw

Wariograf, popularnie zwany wykrywaczem kłamstwa, tak naprawdę nie wskazuje na to, czy ktoś kłamie, czy nie. Analizuje jedynie reakcje fizjologiczne – wzrost ciśnienia tętniczego i inne parametry – i na tej podstawie ocenia, czy podczas zadawania pytania ktoś się denerwował. Może to być przesłanką do stwierdzenia, że kłamie, ale nie daje stuprocentowej pewności.

6. Kłamstwa są ludziami potrzebne do funkcjonowania w społeczeństwie

Ale nie wszystkie! Konieczne są nam białe kłamstwa, czyli te bardziej niewinne i nieszkodliwe, kiedy np. mówimy koleżance z pracy, że ▶

► pięknie wygląda w nowej fryzurze, choć w rzeczywistości myślimy, że jej fryzjer musiał mieć zły dzień. Wyobraź sobie, że świat to maszyna. Białe kłamstwo ją naoliwia i sprawia, że mechanizm działa sprawnie. Dzięki temu, że czasem sięgamy po białe kłamstwo, lepiej współpracujemy z innymi ludźmi i unikamy konfliktów. Pamiętajasz film „Czego pragną kobiety”?

Każdy z nas – oprócz kłamców patologicznych – wysyła pewne sygnały, gdy kłamie.

Mel Gibson, który gra w nim głównego bohatera, za sprawą dziwnego splotu wydarzeń zyskuje supermoc, polegającą na tym, że słyszy, co się dzieje w głowach wszystkich otaczających go kobiet, a jest ich w życiu Nicka, kobienciarza, sporo. Okazuje się, że większość z nich nie wypowiada na głos prawdziwych myśli. Jeśli lepiej się nad tym zastanowić, chyba nikt z nas nie chciałby wiedzieć, co tak naprawdę sądzi na nasz temat mijający nas na schodach sąsiad czy nasz szef.

7. Kłamcy oszukują też siebie

Zdecydowanie tak! Aby kłamca skutecznie kłamał, często musi sam uwierzyć w swoje kłamstwa. Dzięki temu po prostu z większą łatwością przychodzi mu oszukiwanie. Nie bez powodu mówi się, że kłamstwo wypowiedziane sto razy staje się prawdą. U wielu kłamców tak to właśnie działa.

8. Powodów kłamstwa jest niemal tyle, ilu ludzi na świecie

Ludzie kłamią, by uzyskać konkretne korzyści. Kłamiemy, by ukryć błędy albo wykroczenia. Kłamiemy, by chronić inne osoby lub siebie. Kłamiemy, by zdobyć pieniądze lub władzę. Czasem kłamiemy, by kogoś rozśmieszyć lub robić sobie z niego żarty. Kłamiemy, by zbudować pozytywny wizerunek. By poczuć się na moment lepiej. By skrzywdzić innych. By zyskać sławę. Niektórzy

kłamią notorycznie i patologicznie, uciekając od rzeczywistości. A czasami kłamiemy, choć nie do końca wiemy dlaczego...

9. Komunikacja niewerbalna zdradza oszusta

Wykrycie kłamstwa na podstawie analizy wskaźników niewerbalnych wcale nie jest proste. Dlaczego właśnie te wskaźniki są ważne? Dlatego, że kłamcy skupiają się na kontrolowaniu słów, często są świetnymi opowiadaczami i ćwiczą w głowie swoje wypowiedzi. Ludzie z natury obserwują przede wszystkim to, co kto mówi. Ślepo wierzą w słowa. Tymczasem kłamstwo przecieka z gestów, mikroekspresji, tonu głosu – dzięki nim można je zdemaskować dużo szybciej niż przez analizowanie długiej i bogatej w szczegóły wypowiedzi kłamcy.

10. Ludzi łączą pewne... kłamstewka

Jakie to kłamstwa? Przypomnij sobie, ile razy w życiu zdarzyło ci

25

Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena

Warszawa

20
marca
>
2
kwietnia
2021

SPONSOR GŁÓWNY

MECENAS

LOTTO

ORLEN

EUROPEJSKIE CENTRUM MUZYKI KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

SINFONIA CRACO VIVA

INSTITUT JAKUBA WIERCIŃSKIEGO

TELEFONIA

pap

KULTURA

HEXELINE

STRÖER

RZECZPOSPOLITA

PWM EDITION

VOGUE

BEETHOVEN

www.beethoven.org.pl

się powiedzieć: „Już prawie jestem na miejscu”, „Ta sukienka wcale nie była tak droga”, „Nie odebrałem, bo telefon mi padł”, „Twój mejl trafił do spamu”, „Czuję się dobrze” – choć to wszystko wcale nie było prawdą? Pewnie trudno ci policzyć, bo zdarzało się to bardzo często. Pocieszające jest to, że nie jesteś w tym sam.

PRAWDA CZY FAŁSZ? OBALAMY MITY O KŁAMSTWIE

Mit: gest wieży zawsze wskazuje, że na pewno masz do czynienia z osobą pewną siebie? FAŁSZ

Gest ten – od dłuższego czasu stosowany przez osoby publiczne – stał się wręcz prześmiewczo kojarzony ze złymi nawykami wizerunkowymi. Lepszym sposobem na okazanie pewności siebie jest postawa otwarta – otwarte ręce (ramiona), wyprostowana sylwetka, niekrzyżowanie nóg. Dlaczego gest wieży stał się ryzykowny? Jak możesz być postrzegany, kiedy go zastosujesz? Z rozmów z ludźmi wynika, że kojarzy się on z manipulacją, programowaniem neurolingwistycznym oraz ze sztucznością. Zdradzę ci, że wystarczy niewielka zmiana, by podbudować pewność siebie i osiągniętych wyników bez konieczności sięgania po gest wieży. Jak to zrobić?

Badania wykazały, że stężenie kortyzolu (hormonu stresu) można zmniejszyć, spędzając zaledwie dwie minuty w tzw. pozycji mocy. Należy stanąć stabilnie na podłodze, rozstawić nogi na szerokość bioder, wyprostować plecy, ściągnąć łopatki, unieść głowę i oprzeć ręce na biodrach (opcjonalnie). Przyjmij tę pozycję i zatrzymaj się w niej na dwie-trzy minuty – szczególnie gdy za chwilę czeka cię stresująca sytuacja – a zwiększysz swoje poczucie pewności siebie!

Mit: Świadome używanie technik związanych z mową ciała sprawia, że człowiek staje się „oszustem”? FAŁSZ

Żyjemy w świecie konsumpcjonizmu i jesteśmy narażeni na manipulację z każdej strony. Sprzedawcy używają języka korzyści, by się do nas dopasować. W marketach rozpyla się zapachy jedzenia, by ludzie więcej kupowali. Produkty układa się na

półkach tak, by klienci zrobili większe i droższe zakupy. Reklamy w mediach dostosowuje się do określonych grup docelowych. Wszystko to wpływa na nasze decyzje. Funkcjonowanie w takim świecie powoduje, że ludzie są ostrożni, gdy słyszą o technikach, które w założeniu mają polepszyć ich funkcjonowanie. Przesyt doniesień o tym, że ktoś ma dla nas złoty środek na wszystkie nasze problemy, powoduje zniechęcenie. Nic w tym dziwnego, że niektórzy z tak dużą nieufnością podchodzą do informacji o technikach związanych z mową ciała.

Chciałabym jednak, aby każdy traktował wiedzę o mowie ciała jako trening samego siebie i swojej postawy. Powinniśmy myśleć o mowie ciała jako o narzędziu, w które wyposażała nas natura. I tylko od nas zależy, czy sięgniemy po nie świadomie, czy nie. Osoby pewne siebie, odnoszące sukcesy, sportowcy, którzy dobiegają pierwsi na metę, wykonują takie gesty odruchowo, bezwiednie,

Kłamiemy nawet kilka razy w ciągu dnia.

bo wierzą w to, kim są. Jeśli istnieją taktyki, które pozwolą człowiekowi prowadzić lepsze życie, czuć się lepiej, poprawić kondycję psychiczną – dlaczego z nich nie skorzystać? Jak to mówi słynna badaczka mowy ciała Amy Cuddy: „Udawaj, aż uwierzysz”. Gdy uwierzysz, twoje zachowanie nie będzie sztuczne, lecz stanie się integralną częścią ciebie.

Mit: Założenie rąk na piersiach to oznaka kłamstwa bądź tego, że ktoś się z nami nie zgadza? FAŁSZ

Odczytywanie mowy ciała po pojedynczych sygnałach prowadzi do myślenia schematami i sprawia, że ludzie traktują tę sztukę jak wróżbiarstwo. W rozkodowywaniu komunikatów niewerbalnych ważny jest kontekst oraz wszystkie sygnały, jakie wysyła nam ciało. Dopiero interpretacja grupy gestów pozwala nam zbudować pełen obraz człowieka. Założone ręce mogą oznaczać wiele rzeczy, np. „jest mi zimno”, „jest mi niewygodnie”, „nie zgadzam się z tobą”, „jestem w nowej sytuacji i czuję się niekomfortowo”. Bez kontekstu i całościowej analizy gestów nie zyskasz

pewności, co dany gest może oznaczać w przypadku konkretnej osoby w danym momencie.

Mit: Mowa ciała to wymysł i nikomu niepotrzebna wiedza, miękka i niepraktyczna. Jeśli w ogóle się komuś przydaje, to tylko politykom podczas kampanii wyborczej? FAŁSZ

Coraz częściej spotykam się z taką opinią i za każdym razem mnie ona dziwi. W ogólnej świadomości funkcjonuje wiedza o tym, że pierwsze wrażenie jest ważne. Matki oceniają na podstawie mowy ciała niemowlaka jego potrzeby. Wysyłamy sygnały niewerbalne każdego dnia. Po sposobie chodzenia i po wyglądzie – najczęściej nieświadomie – określamy profesjonalizm osób, z którymi się stykamy. Jak to możliwe, że żyjemy w przekonaniu, że mowa ciała to wiedza niepraktyczna, potrzebna tylko politykom? Mowa ciała jest częścią człowieka. Umiejętność jej odczytywania pozwala szybciej i lepiej rozumieć intencje drugiej osoby. Jednym z wielu narzędzi

jest choćby odzwierciedlenie, które pozwala nam wczuć się w rozmówcę i sprawia, że szybciej przełamujemy pierwsze lody. W takich sytuacjach jak rozmowa rekrutacyjna, negocjacje czy sprzedaż ta umiejętność jest niezbędna.

Mowa ciała niezbędna jest także w życiu prywatnym, chociażby w sztuce uwodzenia. Pewność siebie, która jest kluczem do nawiązywania nowych kontaktów, budujemy, dbając o odpowiednią postawę ciała. Utrzymanie kontaktu wzrokowego, uśmiech, gesty świadczące o otwartości, uścisk dłoni – to wszystko wiele mówi o drugim człowieku. Często nie uświadamiamy sobie wagi ani znaczenia tych gestów, ale kiedy na moich szkoleniach pojawia się ćwiczenie z uścisków dłoni, wielu uczestników mówi: „Nie wiem, co ten uścisk oznacza, ale podświadomie zaufałam tej osobie”.

Fragmenty książki
Natalii Hofman
Jak wykręcić kłamstwo,
Znak Literanova,
Kraków 2020





Bielszy odcień bieli

CO TRZEBA
WIEDZIEĆ
O ŚNIEGU

Robert Borkowski

Styczniowe śnieżyce zapoczątkowały wyjątkowo długą zimę, od jakiej przez ostatnie lata się odzwyczailiśmy. Fantastycznej pogodzie towarzyszył jednak ogólnopolski *lockdown* ograniczający wypoczynek dzieci i młodzieży szkolnej oraz uprawdopodobniający bliską już upadłość wielu małych stacji narciarskich. Wobec powszechnych zakazów funkcjonowania wyciągów i zablokowania narciarskich wyjazdów do Włoch, Austrii i na Słowację Polacy zaczęli się zaopatrywać w narty biegowe oraz sprzęt skiturowy. Sprzedawcy i serwisanci narciarscy są zgodni co do tego, że żaden rząd nie zrobił tyle dla spopularyzowania narciarstwa skiturowego, co obecny. Na wykonanie drobnych nawet usług w serwisach w całej Polsce trzeba było czekać po kilka dni. Renesans popularności przeżyły też sanki, wykorzystywane nie tylko przez dzieci, ale i przez dorosłych, co nie podobało się policji ścigającej podejmowane próby narodowej rekreacji.

Notabene kolejny raz rząd wykazał się brakiem znajomości obowiązującego prawa, w rozporządzeniu zamknął bowiem „stoki narciarskie”, a takiego pojęcia w materii ustawowej RP nie ma. W stosownej Ustawie o bezpieczeństwie i ratownictwie w górach i na zorganizowanych terenach narciarskich z 2011 r. występuje pojęcie „zorganizowanego terenu narciarskiego”, na który składają się „trasy zjazdowe przylegające do urządzeń wyciągowych”, „narciarskie trasy biegowe” i „półka ćwiczebne”.

Ponad miesiąc zimowej aury już się jednak skończył i tylko w górskich rejonach można jeszcze uprawiać wędrówki po białych szlakach. Narciarstwo zjazdowe natomiast uprawiać można jedynie w ośrodkach, które, licząc na wzmożone zainteresowanie narciarzy, zaryzykowały i zdążyły naśnieżyć trasy, by z minimalnym zyskiem lub niewielką stratą zamknąć ten dziwny sezon. Ale koniec prawdziwej zimy nie oznacza końca zimowych wypadków turystycznych i narciarskich. Najwięcej ofiar lawiny w górach zabierają bowiem wiosną.

Śnieg, który dostarcza zimą tyle radości, a w ekosystemie pełni niezwykle ważne funkcje oczyszczania powietrza i nawadniania gleby wiosną, to opad atmosferyczny płatków złożonych z różnych kryształków lodu, występujących najczęściej w formie sześcioramiennych gwiazdek. Zdaniem fizyków każdy

kryształek jest inny i są one niepowtarzalne. Opady śniegu występują w postaci śnieżycy, a czasami burzy śnieżnej, jak również tzw. niepłatkowych hydrometeorów, czyli krup śnieżnych, śniegu ziarnistego, a także gradu i ziaren lodowych. Burza śnieżna, zwana śnieżycą, zadymką, zawieją śnieżną, zamiecią albo po góralsku kurzawą (lub kurniawą), to gwałtowny, obfity opad z towarzyszącym mu silnym wiatrem, który powoduje, że śnieg nie opada od razu na ziemię, by wiązać się równomiernie z podłożem, ale jest przenoszony na duże odległości. Gdy zaś opada,

Najwięcej ofiar lawiny w górach zabierają wiosną.

tworzy zaspy o znacznej nieraz wysokości. Tego rodzaju masy nawiewanego śniegu, zwłaszcza mokrego, powodują zagrożenia dla sieci elektrycznych, budynków i drzewostanu. Widoczność podczas śnieżycy jest często ograniczona, co może powodować wypadki na drogach oraz poślizgnięcia w górach na zasypianych szlakach. Akcje ratunkowe podczas burz śnieżnych są bardzo utrudnione. Czasami, choć rzadko, podczas burzy śnieżnej może dojść do wyładowań atmosferycznych.

Silne śnieżycy w Rosji i Kazachstanie zwane są *buran*, a na Syberii *purga*, natomiast w Ameryce Południowej stosuje się na określenie analogicznego zjawiska słowo *temporal*, w Ameryce Północnej *blizzard*, a na Alasce *burga*. „Wielki biały huragan”, czyli burza śnieżna, która miała miejsce w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie w 1888 r., spaliła komunikację oraz codzienne funkcjonowanie miast i osad na wiele dni. Potworne wiatry o prędkości do 130 km/godz., opady śniegu dochodzące do 1 m i zaspy śnieżne do 15 m wysokości dotknęły całe wschodnie wybrzeże Ameryki Północnej.

Po opadzie biały puch spowija ziemię pokrywą o różnej grubości, gęstości, temperaturze oraz wilgotności. Nie każdy śnieg jest jednakowo mokry i ciężki. Najsuchszy puch śnieżny, o wilgotności 5%, występuje w Górach Skalistych, śnieg w krajach alpejskich osiąga do 15%, a śnieg sztuczny sypany z armatek

pracujących na stokach aż 35% wilgotności. Istnieją różne rodzaje śniegu, doskonale rozpoznawane przez ludzi gór i wytrawnych turystów, takie jak puch świeży, puch zsiadły, gips (przewiany lub zbity), śnieg zmrożony, szreń łamliwa, lodoszreń, lód, śnieg mokry, ziarnisty oraz wiosenny, wysokogórski firn. Nie jest jednak prawdą, jakoby w językach eskimo-aleuckich występowało kilkadziesiąt określeń barwy śniegu. Aczkolwiek rdzenni mieszkańcy Arktyki rozróżniają ze szczegółami odmiany śniegu i rozmaite zjawiska hydrometeorologiczne, zapewne w nieco większym stopniu niż narciarze i taternicy, posługując się bogatszym zasobem słownictwa w tym kluczowym dla ich przetrwania obszarze wiedzy praktycznej.

Śnieg może mieć różne zabarwienie, nie zawsze jest biały – połączony z płatami lodu przybiera kolor niebieskawy lub zielonkawy, wiosenny śnieg ma odcień szary. Również może być zabarwiony na czerwono obecnością glonów albo na inne kolory pod wpływem pyłów i zanieczyszczeń, które wirujące płatki ściągają podczas opadów, przyczyniając się do oczyszczania powietrza. Nierzadko w opadach śniegu na południu Europy znajduje się drobniutki piasek pustynny niesiony przez setki kilometrów wiatrem z Sahary.

Znaczne masy śniegu gromadzą się pod wpływem wiatru na wierzchołkach gór albo na graniach po ich zawiętrznej stronie zwane są nawisami śnieżnymi. Te piękne nieraz formy zestalonych bloków wiszących nad przepaścią lub zboczem stanowią ogromne zagrożenie dla turystów i narciarzy. Pod żadnym pozorem nie wolno na nie wchodzić! Pęknięcie, podcięcie lub zerwanie nawisu wywołuje lawinę, czyli gwałtowne staczanie się bądź osuwanie ze zbocza masy śniegu. Przyczyną zejścia lawiny może być zwiększone obciążenie masy śniegu albo ziemi pod wpływem opadów, wstrząsu, silnego wiatru, działania człowieka lub przez zmiany metamorficzne pokryw śnieżnej, pod wpływem nasłonecznienia, opadów deszczu, a wiosną naprzemiennego roztopiania i zamarzania. Wyróżnia się lawiny śnieżne w formie ogromnych pyłowych obłoków złożonych ze śnieżnego puchu, lawiny płytowe, zwane inaczej deskami, czyli

ześlizgujące się górne warstwy śniegu słabo związane z twardszym śniegiem znajdującym się pod spodem. Tego rodzaju lawiny często są dziełem człowieka podcinającego płytę śniegu i uruchamiającego w ten sposób śmiertelne zagrożenie na zboczu góry. Trzecim rodzajem są lawiny gruntowe złożone z ogromnych mas śniegu odrywających się całkowicie od górskiego podłoża, co ma miejsce zazwyczaj późną wiosną. Osobnym zjawiskiem w górach wysokich oraz w strefach polarnych są lawiny lodowe w postaci mas lodu zsuwających się z lodowców w wyniku pęknięcia tzw. seraków lodowych lub cielenia się lodowca.

Pierwszy historyczny zapis o ofiarach lawin w polskich górach odnosi się do tragedii tatrzańskiej z 1856 r., kiedy to lawina schodząca ze zbocza Ornaku zasypała pięciu górników pracujących przy kopaniu rudy żelaza. Do największych współczesnych lawin śnieżnych w Polsce należała ta w Białym Jarze w Karkonoszach w marcu 1968 r. – porwała 24 osoby, 19 nie przeżyło. W akcji ratunkowej trwającej kilkanaście dni brało wówczas udział 1,1 tys. osób. Jest to miejsce dość niebezpieczne, znacznych rozmiarów lawiny schodziły tam również w latach 1974 r. i 2008. Największą tragedią górską ostatniego 20-lecia była lawina pod Rysami

Rzadko podczas burzy śnieżnej może dojść do wyładowań atmosferycznych.

w styczniu 2003 r., w której zginęło ośmiu licealistów z Tychów. Na kanwie wydarzeń znad Morskiego Oka powstał w 2010 r. film fabularny „Cisza”, który zakłamuje rzeczywistość przyczynę zdarzeń. Pseudoprzewodników prowadzących w góry wycieczki szkolne jest jednak więcej, niż się wydaje, a przecież wystarczy przypomnieć rozporządzenie premiera Włodzimierza Cimoszewicza, które swego czasu nakładało na organizatorów wycieczek górskich dla dzieci i młodzieży obowiązek zapewnienia fachowej przewodnickiej asekuracji.

Inna tatrzańska lawina, która ześliznęła się nocą w Dolinie Goryczkowej w 1956 r., pochłonięła pięć ofiar, ▶

niszcząc całkowicie maleńkie, drewniane schronisko, którego po tej tragedii nie odbudowano. W obecnym sezonie zimowym doszło już do wypadków lawinowych w Tatrach, będących udziałem narciarzy skiturowych. W styczniu dwóch narciarzy porwała lawina pod Suchym Wierchem Orna-
czańskim w Dolinie Kościeliskiej, na szczęście zostali uratowani. Również szczęśliwie, bo tylko urazem nogi pechowej taterniczki, zakończył się jej lot w lawinie pod Kościelcem. Znacznie mniej szczęścia miało w lutym trzech skiturowców, którzy z nieświadomych przyczyn spadli z lawiną spod Kopy Kondrackiej na słowacką stronę. Uratował się jeden, który po długotrwałym marszu do schroniska na Kondratowej wezwał pomoc, niestety już spóźnioną.

Rosnąca popularność turystyki narciarskiej uprawianej na skiturach, powszechna i naiwna wiara w niezawodność GPS i w to, że smartfon zawsze zapewni połączenie, będą owocować zwiększoną liczbą wypadków w górach. Doskonały sprzęt, nowoczesna elektronika i nawet posiadanie zestawów lawinowych nie zastąpią znajomości topografii, meteorologii i wiedzy o śniegu. Do przeżycia potrzebna jest bowiem pokora umożliwiająca rozumienie gór.

Badanie fizyki śniegu i lodu, ich struktur i ruchu oraz wpływu na środowisko jest przedmiotem dociekań glaciologii, mechaniki oraz ekologii. Modelowanie ruchu mas śnieżnych pozwala rozumieć i monitorować zagrożenia, a także rozwiązywać zagadki z przeszłości, np. tę związaną z tragedią na Przełęczy Diatłowa na Uralu w 1959 r., gdy śmierć poniosło dziewięciu studentów, uczestników wyprawy narciarskiej, biwakujących w namiotach rozbitych na zboczu ośnieżonej góry Chołatczachl. Wokół tragedii i utajnienia na 50 lat śledztwa przez radziecką prokuraturę narodziło wiele mitów i teorii spiskowych. Pisano o krwiożerczym rosyjskim yeti, rytualnym mordzie popełnionym przez tubylczych Mansów, a także o zabójstwie dokonanym przez radzieckie służby specjalne. Tymczasem współczesne komputerowe modelowanie ruchu struktur śnieżnych pozwoliło na ustalenie, że lawina twardego śniegu uderzyła w namioty, powodując ciężkie obrażenia części grupy, ocalała reszta

przeniosta się z rannymi kolegami w bezpieczne miejsce, próbując rozpałić ognisko, lecz ze względu na silny mróz wszyscy zmarli w wyniku hipotermii. Uczestnicy wyprawy do końca walczyli o przetrwanie swoje i poszkodowanych kolegów.

Najnowsza symulacja komputerowa, którą przeprowadził dr Johan Gaume z Laboratorium Symulacji Śniegu i Lawin Politechniki w Lozanie, potwierdziła wcześniejszą hipotezę rosyjskiego znawcy gór i śniegu Jewgienija Bujanowa. Kolejny raz nauka poświadczyła znaną ludziom gór prawdę, że lawina może zejść nawet ze stosunkowo łagodnego zbocza. W celu uniknięcia większego zagrożenia lawinowego w niektórych krajach służby ratownicze używają ładunków wybuchowych do kontrolowanego wywoływania lawin poprzez eksplozję, która usuwa nadmiar śniegu oraz

Najsuchszy puch śnieżny, o wilgotności 5%, występuje w Górach Skalistych, sztuczny śnieg z armatek ma aż 35% wilgotności.

nawisy śnieżne ponad stacjami narciarskimi. Działania takie prowadzą w szczególności śnieżnych sezonach ratownicy z Horskiej Záchrannej služby, odstrzeliwując lawiny nad stacją narciarską w Zubercu w Tatrach Zachodnich. Jest to miejsce chętnie odwiedzane przez Polaków z racji bliskości granicznego w Chyżnem.

Śnieg odbijający ekspozycję słoneczną wielokrotnie ekspozycję na promieniowanie UV, co może powodować tzw. ślepotę śnieżną. Jest to ostre zapalenie spojówek oraz nabłonka rogówki spowodowane nadmierną ekspozycją na promieniowanie UV w wysokich górach, na nasłonecznionym i zaśnieżonym terenie. Schorzenie objawia się po upływie 4-12 godzin w postaci bólu oczu i głowy, łzawienia i pieczenia oczu, zamglonego widzenia oraz światłowstrętu. Ma zazwyczaj charakter przejściowy i ustępuje po dwóch-trzech dniach, lecz zdarza się i trwałe uszkodzenie wzroku. Najbardziej znaną postacią życia publicznego cierpiącą na chroniczną postać tego

schorzenia był gen. Wojciech Jaru-
zelski, który nabawił się go w 1941 r. podczas zesłania na Syberię i do końca życia musiał chronić wzrok przeciwnymi soczewkami. Do zabezpieczenia przed nadmiarem światła słonecznego stosuje się współcześnie okulary przeciwsłoneczne z bocznymi osłonami oraz filtrem UV i polaryzacyjnym (tzw. okulary lodowcowe) albo gogle. Ludy żyjące w śnieżnych krainach stosowały rozmaite zabezpieczenia oczu przysłonami, Tybetańczycy wykonywali osłony ze zwisającym włosiem jaka, a Inuici opaski ze ścięgna karibu.

Trzeba też pamiętać, że śnieżne wędrówki bez odpowiedniego ubioru i obuwia mogą się kończyć tragicznie. Wychłodzenie organizmu zachodzi głównie poprzez mechanizm promieniowania ciała w podczerwieni, w wyniku parowania potu, parowania podczas oddychania, jak również przez przewodzenie w następstwie wymiany ciepła z otoczeniem i konwekcję, gdy temperatura powietrza jest niższa niż temperatura skóry. W wyniku utraty ciepła zagrożona jest termoregulacja organizmu, czyli zdolność utrzymywania stałej temperatury ciała niezależnie od temperatury otoczenia. Termoregulacja fizjologiczna polega na wzroście przemiany materii oraz skurczach mięśni powodujących dreszcze, a termoregulacja świadoma – na doborze odpowiedniego ubioru, zaplanowaniu i znalezieniu schronienia oraz przyjmowaniu ciepłych napojów i pożywienia.

Turystka uratowana przez GPR na zboczach Babiej Góry, idąc w góry w negliżu, postanowiła eksperymentalnie poddać się termicznej regulacji i tylko szybkie działanie ratowników uchroniło ją przed śmiercią, aczkolwiek uszczerbek na zdrowiu będzie dawał się jej we znaki do końca życia. O ile morsowanie może być korzystne dla zdrowia, o tyle próby jego stosowania podczas dłuższej wędrówki po śniegu kończą się wyczerpaniem, hipotermią, odmrożeniem, amputacjami, a w razie braku pomocy śmiercią. A pandemiczna nuda może prowadzić do coraz dziwniejszych pomysłów na budowanie *ego*.

Robert Borkowski jest profesorem Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, instruktorem i ratownikiem narciarskim, przewodniczącym Podkomisji Ratownictwa Narciarskiego KTN ZG PTTK Ski Patrol

Znam człowieka!

Przepraszam za suchara z drugiej połowy lat 80. na początek. W zjeździe KPZR za czasów Gorbaczowa brał udział Czukcz. Po powrocie ze zjazdu relacjonował nowości: otóż w kraju zwyciężyła rewolucja październikowa, w wielkiej wojnie ojczyźnianej zwyciężyliśmy Niemców, Stalin zmarł, a my budujemy komunizm. Ale najważniejsze, że to wszystko robimy dla dobra człowieka. I ja tego człowieka WIDZIAŁEM!

Uchwalono, a prezydent podpisał, nową ustawę o służbie zagranicznej. Po co? Przecież PiS i tak rządzi polityką zagraniczną i jej kadrami. Jest jednak w dalszym ciągu wielu funkcjonariuszy partii rządzącej, którzy chcą się sprawdzić w dyplomacji, ale nie mają wykształcenia, nie znają języków itd. Kobietą, dla której uchwalono ustawę, jest np. Małgorzata Gosiewska, parlamentarzystka kilku kadencji, absolwentka liceum. Pani postanka kadry MSZ już od dawna ustawia, forując jednych, a blokując, skutecznie lub nie, drugich. Teraz chce zostać ambasadorem. I nawet już wie, jakim zostanie (my też wiemy).

Kolejka chętnych na wyjazd jest dłuższa. Wiceminister Marcin Przydacz chce pojechać do Waszyngtonu. Jest jednak problem. Do 2018 r. Przydacz był wicedyrektorem Biura Spraw Zagranicznych w Kancelarii Prezydenta. Jeszcze większym problemem jest jego zaangażowanie przed 2015 r. w Klubie Jagiellońskim i Fundacji Republikańskiej. Nie tak do końca jest więc swój! Dlatego rozważa także wyjazd do przedstawicielstwa przy ONZ w Genewie lub Nowym Jorku. Kłopot ma również Radosław Gruk, który ma jechać do Taszkontu. Był zastępcą dyrektora Biura Spraw Osobowych, wielkorządcą kadrowym na placówkach. Nie odpowiada mu standard rezydencji w Uzbekistanie. Wolałby inną, a najchętniej kupić

nową! Oczywiście chciałby to załatwić, zanim wyjedzie, bo z pozycji ambasadora nie załatwi.

À propos BSO... W ubiegłym tygodniu dyrektorzy departamentów dostali od Biura Spraw Osobowych (czyli od dyrektora generalnego Andrzeja Papierza) polecenie, by nie wdrażać ustawy. Bo ma być nowelizowana pod nadzorem Kancelarii Premiera. Cóż tam, chłopaki, zamierzacie włożyć?

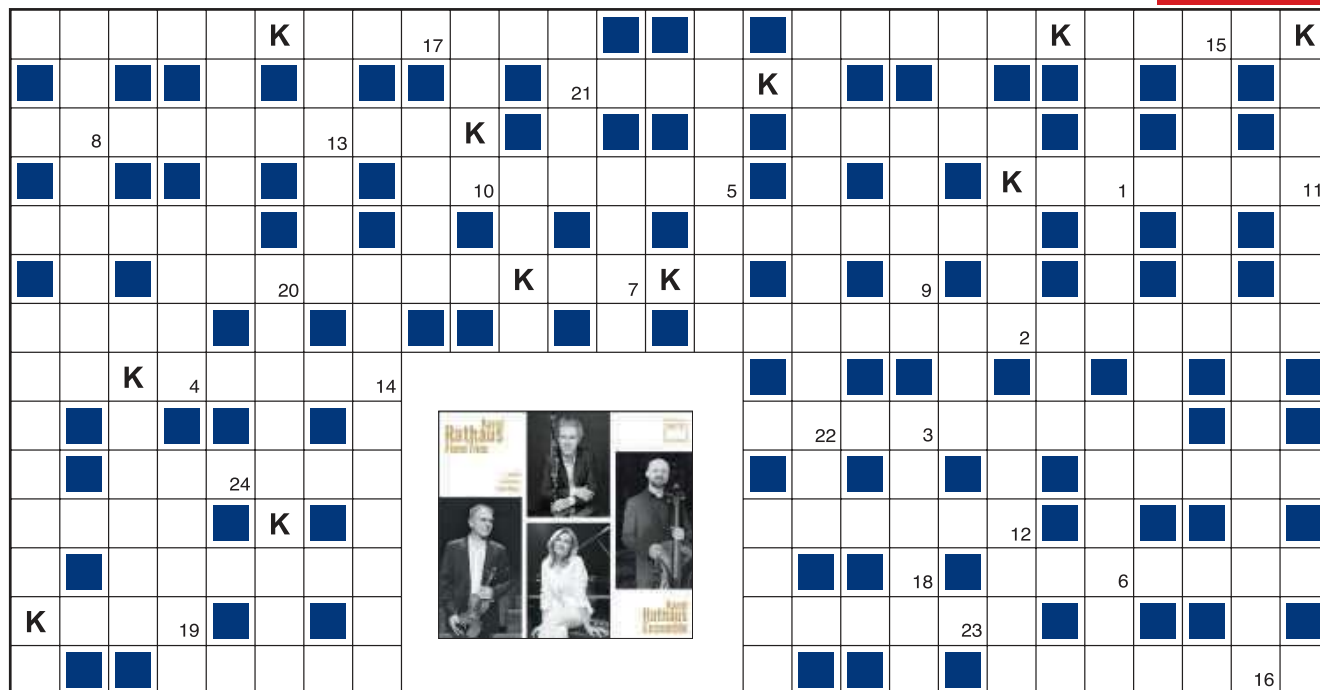
Poświęćmy chwilę na opisanie jednej z grup niezadowolonych z ustawy. Ważnej grupy. Chodzi o absolwentów Akademii Dyplomatycznej z tego roku i z lat ubiegłych. Zdawali egzaminy, by dostać się na aplikację, przechodzili szkolenia, staże w departamentach centrali i na placówkach. Zdali bardzo trudny egzamin końcowy, na którym byli czołgani przez dyrektora generalnego i jego kolegów. Znają minimum bardzo dobrze dwa języki. Zaczynają od najniższego stopnia, czyli *attaché*, i z takim wyjeżdżają na pierwszą placówkę. Z czego są niezadowoleni? Otóż nowa ustawa przewiduje, że po trzech latach pracy na placówce małżonki posłów, siostrzeńcy i bratankowie ministrów, którzy jako „pracownicy zewnętrzni” trafili do ambasad, będą mogli zdawać egzamin na członka służby zagranicznej. Oni wyjeżdżali na II sekretarzy czy nawet wyżej. Teraz są przenoszeni z lepszych na jeszcze lepsze placówki i awansowani. Za rok będą mogli zdawać egzamin. Ponieważ w służbie zagranicznej rangę I sekretarza osiąga się po siedmiu-ośmiu latach, będą o tyle lat w karierze przed tymi, którzy przeszli Akademię Dyplomatyczną.

To tak, żebyśmy wiedzieli, ile warta w MSZ jest nauka, a ile układy i znajomości.

Attaché

Do domu – ostatni lot przywożący etiopskich Żydów w ramach operacji Zur Israel, podczas której do Izraela wróciło 2 tys. osób.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- smali cholewki
- od starożytności jego liść motywem ozdobnym
- w muzyce chóralnej partia wokalna niższa od sopranu
- księżyc Jowisza jak nimfa opiekunka Zeusa
- ogłoszenie zamieszczone w prasie
- gubernatorem tego stanu był Bill Clinton

- szczególne względy, uprzejmości
- „The... Globe” – gazeta z filmu „Spotlight”
- siedmiomilowe z wiersza Brzechwy
- Beata Igielska lub Monika Olejnik
- imię dyrygenta, skrzypka i kompozytora Młynarskiego
- tam angielska szkoła męska z internatem

- sanitarny, pracy lub ochrony danych
- nazwisko matki Marii Seweryn
- monotonia, jednakowość
- dobrze, gdy osiągnięta obopólna
- ścinał trawę, zboże
- i stragan, i bałagan
- Wolność wiodącą go na barykady namalował Delacroix
- dawanie lub żądanie wziętek
- Królewskie ze Starą i Nową Pomarańczarnią
- niegodziwiec, łajdak
- w niej urzędzenia do sterowania pracą stacji kolejowej
- świecąca reklama
- nad Berlinem w tytule filmu Wima Wendersa

- N dla fizyka
- krótki utwór beletrystyczny
- rzeki lub wydarzeń
- danych osobowych albo praw konsumenta
- Viadrus jej bóstwem
- siedziba Zeusa
- wietrzna lub czarna
- ...renesansu – Zamość
- od jego nazwiska wzory na tkaninach i ceramice z PRL
- rozdroże
- i schematyczność, i biegiłość
- obce wypisane z rodzimym odpowiednikiem przez wkuwającego
- postępuje samowolnie, lekceważąc innych
- królewszczyna
- nadawana szlachcicowi dożywotnio
- C w rzymskim systemie zapisywania liczb
- Delfina Potocka dla Zofii Potockiej

- drzew, zboża albo włosów
- cygański lub kolejowy
- rodzinne miasto Józefa Bema
- zbiór rysunków, reprodukcji tworzących całość
- zatonął podczas dziewiczego rejsu
- szyfon, muślin lub żorżeta
- zachowania samców ptaków w okresie godowym
- dyżur marynarza na statku
- znak interpunkcyjny przed nieoczekiwanymi słowami
- nad nim Zwierzyniec i Szczepieszyn
- mazowieckie z Warszawą (i tak być powinno)
- opad śniegu z silnym wiatrem
- dobry... nie pożyczaj

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1004”. Do rozlosowania płyty „Karol Rathaus. Piano Trios” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 21 marca 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1001” z nr. 9: Nadmiar faktów gubi akcję.
Nagrody otrzymują: Elżbieta Lewandowska z Warszawy, Janina Pyra ze Stalowej Woli, Aleksandra Szewczyk z Krakowa.

PENETRACJE

MONDE
diplomatique

**PRZEMYSŁAW
WIELGOSZ,**
REDAKTOR NACZELNY

Liberalizacje przeprowadzane pod auspicjami WTO pozwoliły podzielić rynek farmaceutyczny między kilku największych graczy, a porozumienia o ochronie własności intelektualnej (TRIPS) dały im monopol nad technologiami niezbędnymi do produkcji kluczowych leków. Od niemal trzech dekad korporacje farmaceutyczne zarabiają na tych regulacjach krocie, a każda próba produkcji leków i kuracji generycznych (tak samo skutecznych, ale wielokrotnie tańszych od korporacyjnych) w Indiach czy RPA wywoływała wściekłość i procesy sądowe. Ten system doprowadził do uformowania się prawdziwego farmaceutycznego apartheidu.

charaktery
magazyn psychologiczny

**PROF. TOMASZ
MARUSZEWSKI,**
PSYCHOLOG

Bogactwo spiskowych interpretacji jest w zasadzie nieograniczone. Niedawno usłyszałem, że noszenie maseczek powoduje wysychanie mózgu itd. Teoriom spiskowym często towarzyszą antysemityzm i ksenofobia. Czynnikiem sprzyjającym teoriom spiskowym jest lęk. Dowodzą tego liczne badania psychologów społecznych, którzy stwierdzili, że w okresie sesji egzaminacyjnej pojawiały się silniejsze oznaki antysemityzmu aniżeli w ciągu semestru. Zresztą teorie spiskowe są w zasadzie niemożliwe do obalenia

– każdy, kto próbuje je krytykować, jest uważany za uczestnika spisku.

WO

DR AGNIESZKA GRAFF,
PISARKA, PUBLICYSTKA

Jak wiele kobiet zostałam przez życie zaskoczona. Po wieloletnim związku z mężczyzną i bolesnym rozstaniu zakochałam się w kobiecie. Jesteśmy z Magdą prawie cztery lata, razem z moim synem i dwoma psami stanowimy dobrą, ciepłą rodzinę, funkcjonujemy towarzysko jako para, a rodzice akceptują nasz związek. Zasadniczo unikam upubliczniania życia prywatnego, ale uznałam, że pora na publiczną wypowiedź w tej sprawie, bo wiem, że to jest potrzebne jako gest polityczny.

STYL

MAGDALENA RÓŻCZKA,
AKTORKA

Ktoś mi powiedział, że w Interwencyjnym Ośrodku Preadopcyjnym w Otwoczku brakuje łóżeczka. Pojechałam do Otwoczka z zamiarem oddania łóżeczka. I tam... zostałam. Spotkałam pielęgniarki, lekarki, panią dyrektor i psycholog, które stworzyły to miejsce z czułości i troski o drugiego człowieka. W Polsce działają tylko trzy takie ośrodki, trafiają do nich najmłodsze dzieci, które są przygotowywane do adopcji. Łódzki ośrodek preadopcyjny nazywa się Tuli Luli, to nazwa trafiona w punkt: tam się niemowlęta tuli i lula, zanim trafią do rodziców adopcyjnych i rodzin zastępczych. Żeby nie zostały same.

Aby język giętki...

PROF. JERZY HAUSNER
O ŁUPIENIU PRZEZ WŁADZĘ

Im bardziej władza używa siły, tym bardziej łupi wszystkich, aby się utrzymać.

WŁADYSŁAW FRASYNIUK
O SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ

Obrosła głównie mitami. Tak się za-konspirowali, że nikt nic o nich nie wie.

MAJA POPIELARSKA
O POTRZEBIE LENISTWA

Coraz częściej lubię sobie odpuszczać, poleżeć i porobić... nic.

BORYS SZYC O KOBIECIACH

Kobiety sprowadzają nas na ziemię, mniej myślimy wtedy o sobie.

JAROSŁAW FLIS
O PLATFORMIE OBYWATELSKIEJ

To dziś partia „ważniaków”, których nikt poza samymi ważniakami specjalnie nie lubi.

PROF. EWA ŁĘTOWSKA
O ADAMIE BODNARZE

Jego wpływ wart jest tyle, ile jego reputacja. Jest szanowany, bo umiejętnie wykorzystał swoje walory.

MAGDA UMER O AGNIESZCE OSIECKIEJ

Była zbyt mądra, zbyt inteligentna, zbyt wrażliwa i – niestety – zbyt bezradna.

KINGA PREIS O AKTORSTWIE

To emocjonalny egoizm. Wieczne szukanie, często intuicyjne.

JAN ENGLERT O KŁAMSTWACH

Mężczyźni kłamią, a kobiety nie mówią całej prawdy. To moje odkrycie.

JACEK CYGAN O PISANIU PIOSENEK

Piosenkę pisze się dla milionów, trzeba ją napisać na termin, to rodzaj rzemiosła artystycznego.

KATARZYNA KWIATKOWSKA
O CÓRCIE JAŚMINIE

Dziecko to jest świetny antydepresant, stymulator i doping w jednym.

KUBA WOJEWÓDZKI
O MICHALE FIGURSKIM

Gdyby policzyć nasz wspólny czas w radiu, to byliśmy jak bracia. A wspólny czas w sądach – byliśmy jak małżeństwo.



Tradycyjne stroje syryjskich Kurdyjek są niezwykle piękne. Co roku w mieście Al-Kamiszi odbywa się ich prezentacja podczas Kurdyjskiego Dnia Odzieży.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Popęd w skali Richtera

W Fair Oaks w Kalifornii dziki indor zdemolował gabinet dentystyczny. Ptasi furiat się zniszczenie, dopóki nie został schwytany przez specjalistów. – Myślałam, że to trzęsienie ziemi. Indyk wbijał pazury w ściany, które będziemy teraz musieli przemalować. Rozbite szkło uszkodziło fotele dentystyczne – relacjonuje Donna McDonald, kierowniczka gabinetu. Winne prawdopodobnie są hormony: trwa okres godowy i ptak zapewne pomylił swoje odbicie w szybie z potencjalnym rywalem o względy samic. Inni mi słowy, nie myślał o niedzieli, tylko o...

Wygumkowany

Spore emocje wzbudziło usunięcie z filmu „Kosmiczny mecz 2” animowanego skunksa, znanego polskim widzom jako Pepé Le Swąd. Postać, stworzona w 1945 r., ma w zwyczaju m.in. całować kobiety bez pytania ich o zgodę. We wspomnianej produkcji mieliśmy zobaczyć molestanta w scenie inspirowanej „Casablanką”, w której pocałował w rękę Greice Santo, a ta w odpowiedzi oblała go drinkiem i spoliczkowała. Reżyser usunął jednak ten wątek, co bardzo rozczarowało aktorkę. Miała bowiem nadzieję, że „pokaże chłopcom i dziewczynkom, że zachowanie Pepé jest nieakceptowalne”. Trudno, trzeba będzie znaleźć inny sposób na narobienie smrodu wokół tego skunksa.

Pożytki z krwiopijców

Dzięki pandemii COVID-19 rekordowe wyniki sprzedaży notuje firma Bio-Gen z Namysłowa, będąca czołowym euro-



pejskim dostawcą pijawek lekarskich. Zdaniem niektórych lekarzy, związki produkowane przez te bezkręgowce mogą bowiem wspomagać rekonwalescencję po covidzie, m.in. ułatwiając rozpuszczanie blizn w płucach oraz zapobiegając powstawaniu zakrzepów. Zainteresowanym ozdrowieńcom radzimy jednak pamiętać, że przed użyciem pijawki należy się skonsultować z lekarzem, gdyż każde zwierzę niewłaściwie stosowane zagraża naszemu życiu lub zdrowiu.

Pomysł jak się patrzy

Japoński zespół taneczny zaproponował nową formułę uczestnictwa w spektaklach teatralnych, minimalizującą ryzyko epidemiczne. Widzowie pokazów Moonlight Mobile Theater siedzą na stołkach w oddzielnych kabinach okalających scenę, którą obserwują przez szczeliny przypominające te w skrzynkach pocztowych. W danym momencie artystów może podziwiać maksymalnie 30 osób, ale nie wybrzydajmy. Lepszy nieliczny widz niż nic!

Się gra – się ma!

Sowita nagroda pieniężna czeka na zwyciężczynię lub zwycięzcę show opartego na kultowej grze wideo, polegającej na przechodzeniu żabą przez ruchliwą ulicę. Mowa o „Froggerze”, niegdysiejszym hicie salonów gier, wydanym w 1981 r. Podczas programu, który wyemituje platforma streamingowa Peacock, zawodnicy na własnej skórze doświadczą losu cyfrowego płaza, mierząc się z trudnymi do ominięcia przeszkodami (podobno można się spodziewać m.in. mechanicznych hipopotamów). Niestety, do rywalizacji mogą się zgłaszać jedynie obywatele USA. A niech to ropucha kopnie!

MEMY BEZ ŚCIEMY





Gdziekolwiek spojrzę, jestem obserwowany. Goście hotelu w zoo Pairi Daiza w Brugelette w Belgii i spotkanie z niedźwiedziem polarnym w zoo we francuskiej Miluzie.

Chrapanie na ekranie

26-letni Amerykanin, niejaki Asian Andy, zarobił 16 tys. dol. na internetowej transmisji swojego snu. Gdy przebywał w objęciach Morfeusza, widzowie wysyłali mu datki oraz próbowali go obudzić. Było to możliwe, gdyż videoblogger zainstalował aplikację odczytującą na głos wiadomości tekstowe towarzyszące dotacjom. Wpłacający prześcigali się w pomysłach na zakłócenie mężczyźnie odpoczynku, np. prosili domowego asystenta głosowego o włączenie muzyki. Może nie rozumiemy nowych mediów, ale nie udało nam się dotrzeć do końca wydarzenia. Zasnęliśmy...

Hacjenda w zasięgu kliknięcia

Marzysz o własnym dworcu, ale nie masz wujka w zarządzie Orlenu? Ofertę wysyłkowej sprzedaży tanich domów znajdziesz na platformie AliExpress, czyli chińskim odpowiedniku Allegro. 62-metrową willę w wersji do złożenia wprowadzisz do Polski za mniej niż 60 tys. zł. Firma Steel Structure zapewnia, że może przygotować dom z lekkiej stali, klasyczny dom modułowy, ale też obiekt na bazie kontenerów. „Można skorzystać z gotowych wzorów albo przedstawić swoje plany czy nawet rysunki”, informuje. Współczujemy kurierowi, który będzie wnosił te wszystkie paczki na szóste piętro...



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska,
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazini, Tomasz Miłkowski,
Lech Miodek, Jan Ordynski, Wojciech Osinski (Berlin),
Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tuńłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredytorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pynzar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupieczowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPLPLP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Kompozycja z samolotem, 1972



Krzyk, 1963

Władysław Hasior

Większość wystawianych prac Władysława Hasiora, zgromadzonych przez Galerię Starmach, pochodzi z lat 60. i początku 70. Był to szczególny czas w twórczości zakopiańskiego artysty, płodny i nowatorski. Hasior rozpoczął wtedy tworzenie wielu cyklów czy też typów prac, które później kontynuował latami albo powracał do nich i powielał tematykę. Są to assemblaże, sztandary, obiekty. Sztandar zyskał dzięki niemu nowe, drugie oblicze. Stał się materiałem z pogranicza rzeźby, malarstwa, tkaniny artystycznej oraz happeningu. Hasior był oczarowany przedmiotem. Cała jego sztuka, w pewnym stopniu także sztandary,

zbudowana została na fascynacji obiektem. Na potrzeby gromadzenia ciekawostek i pamiątek, których pełno było w jego pracowni. To zbieractwo świadczy o zainteresowaniu człowiekiem, życiem codziennym bardziej niż teorią artystyczną. To sztuka płynąca z potrzeby wyrażenia siebie, z potrzeby codziennego dialogu z rzeczywistością, ale również z zachwyty folklorem i góralszczyzną.

**Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie
pl. Zdrojowy 2
do 2 maja**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Krucyfiks, lata 70.



Czarownica, 1968



Śpiewaczka z ustami ze srebra, 1968



Sztandar Baranka Wielkanocnego, 1971–1972

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Twarzą w twarz

**Kleczewska, Chotkowski, Libera
Adamczyk, Bożek, Ciężkowska,
Duchnowski, Fertacz, Jarmicki, Kęska,
Kos, Kwiatkowski, Mrowiec-Matuszak,
Parol, Pieczyński, Pyć, Robaszkiewicz,
Stolarska, Stramowski, Świeżewski,
Witkowska, Wysokińska, Żemła**

**premiera warszawska: 19 marca 2021
premiera bydgoska: 27 marca 2021**

Nowy spektakl w reżyserii Mai Kleczewskiej na podstawie filmów Ingmara Bergmana, ze scenografią autorstwa artysty i performerera Zbigniewa Libery.

Bergman w swojej twórczości skupiał się na badaniu wnętrza psychiki człowieka w ekstremalnej sytuacji. Swoich bohaterów zamykał na „wyspie” – w relacjach rodzinnych, w państwach objętych stanem wyjątkowym. Jest Przewodnikiem po czasie „kwarantanny” – zamknięcia, izolacji, wglądu i konfrontacji. Przeprowadza nas przez proces przemiany. Intymny proces transformacji i przewartościowania. I śmierci.

koprodukcja Teatru Powszechnego w Warszawie i Teatru Polskiego w Bydgoszczy

Patroni
medialni

Wyboreza

wyboreza.pl
WARSZAWA

cojosi.grano24



repertuar online: www.vod.powszechny.com
www.powszechny.com

POMÓŻ NAM **POMAGAĆ**



PRZEKAŻ
1%



KRS 0000225587

www.pck.pl